

WYDANIE SPECJALNE NA NOWY ROK

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 1/661 4 STYCZNIA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Patryk Jaki broni decyzji Zbigniewa Ziobry

Gdzie będą szukać azylu Tusk i jego ludzie?

Jak liberalni katolicy atakują tradycjonalistów

Joanna Bojańczyk o fatalnej kuchni Amerykanów



KONIEC HEGEMONII

AMERYKI

Co Chiny zrobią ze swą potęgą? • Czy Rosja wróci do Europy? • Dlaczego Unia Europejska nie liczy się w tym wyścigu?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE

Dziękujemy naszym Czytelnikom i Inwestorom za udział w ofercie publicznej akcji Do Rzeczy SA – spółki w drodze na NewConnect.

Dzięki Wam — społeczności, która od lat wspiera niezależne, konserwatywno-liberalne media — zebraliśmy w dwóch rundach ponad 3 mln zł nowego kapitału na rozwój.

To realna siła, która pozwala nam rosnąć, inwestować i tworzyć ambitne projekty: rozwój portalu, treści wideo, kanałów społecznościowych oraz nowych inicjatyw, które wkrótce zaprezentujemy.

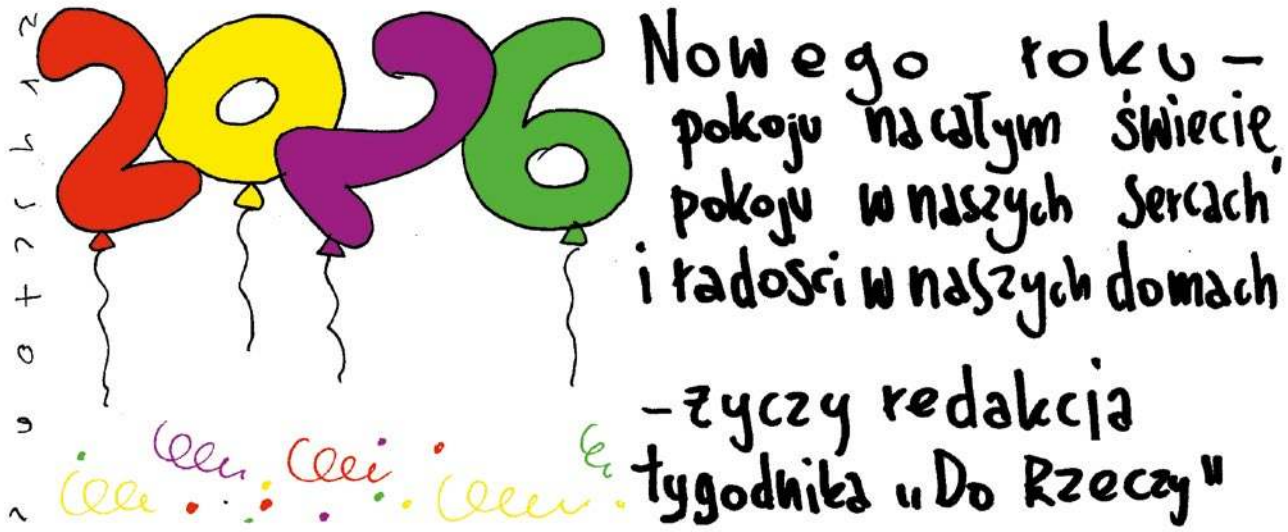
Dziękujemy.
Rozwijamy się dla Was.

Zespół i Redakcja Do Rzeczy SA
Twoje media. Wspólna sprawa.



Więcej informacji na
WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

eprasa.pl 204cc1c0e





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wróżby na 2026 r.

Czy rok 2026 będzie rokiem gwałtownych przetasowań na polskiej scenie politycznej? Jest to wielce prawdopodobne. Jeszcze pół roku temu, a więc po zwycięstwie w wyborach prezydenckich Karola Nawrockiego, sytuacja wydawała się jasna. Teoretycznie największym beneficjentem sukcesu byłego prezesa IPN powinien być właśnie Jarosław Kaczyński jako ten, który wskazał, namaścił i ostatecznie doprowadził do wygranej. A jednak, co jest swoistym paradoksem, wygląda na to, że prezes może stać się ofiarą, jak to się ładnie mówi, własnego sukcesu.

Jarosław Kaczyński nie zauważył w porę, że rosnąca grupa wyborców prawicy jest serdecznie zmęczona tymi samymi twarzami, tymi samymi trikami, tymi samymi do znudzenia powtarzanymi sloganami. Nie zareagował na czas na nieustaną kampanię samochwalstwa Mateusza Morawieckiego, który to, ufny w poparcie prezesa, jakby nigdy nic postanowił zostać głównym kandydatem na stanowisko przyszłego premiera.

Polityka jest sztuką udawania i tworzenia iluzji, jednak sama umiejętność kreowania złudzeń nie wystarczy. A to jest właśnie to, w czym mistrzami stali się Mateusz Morawiecki i jego zaplecze. Doprawdy, trzeba mieć nieprawdopodobne zadufanie, żeby wierzyć w to, że Polacy tak szybko zapomną o jego decyzjach i dostrzegą w nim tego, kim nigdy nie był – przywódcę oporu wobec ideologicznych szaleństw Unii, wobec etatyzmu, centralizmu, ograniczeń wolności.

O ile zatem były premier nie może stanąć na czele ruchu suwerennościowego i wolnościowego, o tyle może, wykorzystując swoje „dokonania", stać się jednym z przyszłych filarów tego, co umownie można by nazwać „wielką koalicją" sił porządku. Nie widzę powodu, dla którego nie mógłby powstać obóz politycy, łączący w sobie większość KO – z wyłączeniem najbardziej wściekłego anty-PiS i część PiS – z centrową, proeuropejską grupą wokół byłego premiera, szczególnie jeśli taki pomysł uzyskałby wsparcie naszych amerykańskich sojuszników.

Sondaże pokazują, że w przyszłości będą możliwe dwa rozwiązania: rządy szerokiej prawicy, PiS, Konfederacji i Korony Brauna albo rządy zmutowanej PO i PiS – w tym przypadku zapewne bez Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego. W większości państw europejskich w sytuacji zagrożenia przez nowe siły antysystemowe – a do takich można zaliczyć przede wszystkim partię Brauna i w pewnym stopniu Konfederację – establishment zwiera szeregi.

Czy tak trudno sobie zatem wyobrazić, że były premier oderwie się ze swą grupą od PiS i w ten sposób stworzy podstawę dla dalszych rządów globalistyczno-unijno-centrowo-europejskich? ©℗

NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ JUŻ W PONIEDZIAŁEK 5 STYCZNIA 2026 R.

eprasa.pl 2049cc1e0e



TEMAT TYGODNIA

14 MICHAŁ KRUPA
WIELOBIEGUNOWY ŚWIAT
Koniec hegemonii Ameryki

17 WOJCIECH GOLONKA
CO CHINY ZROBIĄ ZE SWĄ POTĘGĄ?

20 ADAM WIELOMSKI
CZY ROSJA WRÓCI DO EUROPY?

23 MACIEJ SZYMANOWSKI
GRUPA WYSZEHRADZKA: BĘDĄ URODZINY CZY STYPA?

26 ŁUKASZ WARZECHA
DLACZEGO UNIA EUROPEJSKA SIĘ NIE LICZY?

KRAJ

30 PIOTR SEMKA
LINOSKOCZEK MORAWIECKI
Co planuje były premier

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KAMELEONIZM DONALDA TUSKA

34 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
PIS MUSI WRÓCIĆ DO KORZENI

37 RADOSŁAW WOJTAS
GDZIE BĘDĄ SZUKAĆ AZYLU TUSK I JEGO LUDZIE?

40 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
INACZEJ NIŻ KORPORACJE. PROJEKTY WŁADYSŁAWA GROCHOWSKIEGO

KULTURA

42 PIOTR SEMKA
AMERYKANIN W PARYŻU
Twórczość Johna Singera Sargenta

46 PIOTR GOCIEK
PIĘĆ OKAZJI DO MYŚLENIA

48 GRZEGORZ KONDRASIUK
CHOCHOŁ I ZAMACH NA NARODOWĄ SCENĘ

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAK LIBERALNI KATOLICY ATAKUJĄ TRADYCJONALISTÓW
Wierni zamknięci w swoich bańkach

56 FILIP MEMCHES
SAMOBÓJCZE TENDENCJE DEMOKRACJI POLSKIEJ

HISTORIA

58 PIOTR GONTARCZYK
KOMEDIANCI DO WYNAJĘCIA
Polscy aktorzy w antypolskich filmach

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAKAZANY OWOC
Podróżnicza moda na Rosję

66 TERESA STYLIŃSKA
IRAN – LEW, KTÓRY ZMIENIŁ SIĘ W KOTA

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
DROGA DO BILIONA
Kosmiczne wynagrodzenia prezesów

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
AMERYKA EATS
Czy w Stanach da się dobrze zjeść?

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2049cc1e0e

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA),* **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela),* **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym),* **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **obraz wygenerowany przez AI, oprac. graf. 12 kredek**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Fejkowa rocznica", Jerzy Karwelis, „DRz" nr 45/2025

Szanowni Państwo,
nawiązując do znakomitego artykułu red. Jerzego Karwelisa „Fejkowa rocznica", chciałbym przypomnieć innego błogosławionego – ks. Michała Rapacza, beatyfikowanego 15 czerwca 2024 r. W wielkim skrócie: w nocy z 11 na 12 maja 1946 r. uzbrojona bojówka komunistyczna napadła na plebanię w Płokach. Wyprowadzono ks. Rapacza, a ostatnie słowa, które słyszeli domownicy, to: „Niech się dzieje wola Twoja, Panie". Mordercy zaprowadzili księdza do pobliskiego lasu i tam dokonali bestialskiego mordu. Liczne rany na ciele księdza świadczyły o ciężkich torturach, którym został poddany przed śmiercią.

Pomimo procesu w sprawie śmierci księdza nikt nigdy nie został wykryty i ukarany za tę zbrodnię. Męczeńska śmierć błogosławionego ks. Michała Rapacza była jednym z pierwszych morderstw, których dopuścili się przedstawiciele reżimu i tzw. władzy ludowej w powojennej Polsce.

Z poważaniem
Bogusław Wójcik

„Dzisiaj w Betlejem. I w Strefie Gazy", Krystian Kratiuk, „DRz" nr 51/2025

Szanowna Redakcjo,
z ogromnym poruszeniem przeczytałem opublikowany przez Państwa tekst poświęcony losowi chrześcijan w Ziemi Świętej. Jest to jeden z tych artykułów, które nie pozwalają przejść obojętnie. Zestawienie śmierci św. Szczepana z codziennym „powolnym męczeństwem" chrześcijan Gazy, Betlejem, Jerozolimy czy Zachodniego Brzegu wydaje się szczególnie trafne. Uświadamia ono, że męczeństwo nie zawsze musi mieć formę jednorazowego aktu przemocy – może być również procesem systematycznego wyniszczania: przez wojnę, blokady, ekonomiczne duszenie, emigrację wymuszoną strachem i brakiem perspektyw. Dane przytoczone w tekście – zwłaszcza proporcja ofiar w tak niewielkiej wspólnocie jak chrześcijanie Gazy – robią wstrząsające wrażenie i trudno je zignorować.

Chciałbym szczególnie podziękować za pokazanie, jak bardzo ten dramat pozostaje niewidoczny w głównym nurcie światowych mediów. A przecież mówimy o wspólnocie, która współtworzyła historię tej ziemi od samych początków chrześcijaństwa i która dziś realnie stoi na krawędzi zaniku. Ten artykuł jest wołaniem o pamięć, o uczciwość w patrzeniu na rzeczywistość i o solidarność, która nie kończy się na deklaracjach. Pokazuje, że chrześcijaństwo w Ziemi Świętej może wkrótce stać się jedynie muzealnym wspomnieniem, jeśli świat nadal będzie odwracał wzrok.

Z wyrazami szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Cudowna przemiana

Szanowna Redakcjo,
z prawdziwym wzruszeniem przyjęłam informację o planowanej zmianie nazwy Centralnego Portu Komunikacyjnego na swojsko brzmiący Port Polska. Wreszcie! Bo przecież – jak powszechnie wiadomo – problemem CPK nie były miliardy kosztów, harmonogramy, analizy ani sens całego przedsięwzięcia, lecz ta nieszczęsna nazwa. Centralny. Port. Komunikacyjny. Jakże to brzmiało… centralistycznie.

Cieszy szczególnie fakt, że projekt, który jeszcze niedawno był przez obecną władzę określany jako megalomański, pisowski, szprychowy potwór i lotnisko widmo, dziś wraca do łask w wersji odmienionej brandingiem. To dowód, że w polskiej polityce nie ma rzeczy niemożliwych: wystarczy zmienić szyld, a krytykowany projekt magicznie staje się własny, rozsądny i europejski. Nazwa Port Polska ma w sobie wszystko, czego CPK rzekomo nie miał: ciepło, wspólnotowość i patriotyzm w wersji light. Dzięki temu nikt już nie będzie pamiętał, że jeszcze wczoraj słyszeliśmy o „gigantomanii", „betonowaniu kraju" i „lotnisku dla wybranych". Dziś to już nie CPK – dziś to Port. Nasz. Polski. Lepszy.

Z niecierpliwością czekam na dalsze kreatywne rebrandingi. Bo, jak widać, w Polsce nie trzeba budować od nowa – wystarczy zmienić nazwę.

Z wyrazami uznania
Maria Kulesza

eprasa.pl 2049cc1e0e



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

U paryskiej Pani

Rok temu, 8 grudnia 2024 r., uroczyście otwarto katedrę Notre Dame po remoncie trwającym ponad pięć i pół roku. Przez cały 2025 r. świątynię odwiedziło ponad 11 mln zwiedzających. Katedra poświęcona imieniu Najświętszej Marii Panny prześcignęła pod tym względem nawet Luwr, który zwiedza rocznie „tylko" 8,5 mln turystów.

Ludzie wierzący zapełniają kaplicę, której centralnym punktem jest największa relikwia katedry – korona cierniowa Chrystusa, którą według tradycji przywiózł z krucjat na Bliskim Wschodzie św. Ludwik, król Francji. Przybysz z Polski kieruje swoje pierwsze kroki oczywiście do dawnej kaplicy św. Germaina, która siedem lat temu otrzymała nową patronkę – Matkę Boską Częstochowską. To, że mamy własną kaplicę w tym starożytnym miejscu, to ogromny zaszczyt. Podobny wyjątek gospodarze katedry zrobili jeszcze tylko dla tak drogiej Meksykanom Matki Boskiej z Gwadelupy. Ze współczuciem słuchałem, jak francuscy przewodnicy łamią sobie język, przedstawiając kaplicę jako Chapelle de Notre Dame de „Cseen--stooo-soová".

Dobrze pamiętam „starą katedrę sprzed pożaru". Jej ściany były poszarzałe od setek lat osadzania się sadzy ze świec i naturalnej patyny prochu stuleci. Teraz wypiaskowane mury katedry wydają się wręcz zbyt czyste. Na szczęście nie zmaterializowały się pomysły wytapetowania starej świątyni sztuką nowoczesną. Ale zwolennicy artystycznych nowinek jednak coś tam wytargowali i w czterech kaplicach zawieszono nowoczesne obrazy oraz gobeliny. Moim zdaniem nie bardzo pasują do starych murów. Podobnie parę witraży, na szczęście w nie najbardziej widocznych miejscach, także zaprojektowali nowocześni artyści. Francuscy katolicy mówią, że pożar był swoistym szczęściem w nieszczęściu. Remont kapitalny spowodował odbudowanie na nowo wielu już zmurszałych elementów świątyni.

Ale ważniejszy jest pewien wstrząs duchowy. Ta wspomniana już wizja płonącej katedry jako symbolu końca chrześcijaństwa ośmieliła i zmobilizowała wielu francuskich wiernych. I dowodem na to są zarówno pielgrzymki grup z całej Francji, jak i liczne chrzty, które mają miejsce w świątyni od momentu ponownego jej otwarcia. Ta świątynia zawsze będzie się kojarzyć z gen. Charles'em de Gaulle'em. To on jako pierwsza głowa francuskiego państwa wkroczył do tej świątyni tuż po wyzwoleniu Paryża 26 sierpnia 1944 r. De Gaulle złamał w ten sposób wcześniejszy republikański nieformalny dogmat zabraniający urzędującym prezydentom republiki uczestniczyć w trakcie sprawowanego urzędu w nabożeństwach w Notre Dame. Duch generała gdzieś chyba jest obecny wśród tych prastarych murów. Dlatego pomodliłem się za spokój jego duszy. W końcu był z nami w najtrudniejszym dla nas momencie sierpnia 1920 r. jako francuski doradca wojskowy w polskim sztabie generalnym. Takie rzeczy się pamięta.

A dzięki wizerunkowi Pani Częstochowskiej paryska Notre Dame to także „nasze" miejsce w Paryżu. Zajrzyjcie tam, gdy traficie nad Sekwanę. ©℗



FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

MICHAŁ URBANIAK NIE ŻYJE

W wieku 82 lat zmarł 20 grudnia wybitny kompozytor, aranżer, saksofonista, skrzypek i muzyk jazzowy Michał Urbaniak. Urodził się 22 stycznia 1943 r. w Warszawie, ale dorastał w Łodzi. Nagrał kilkadziesiąt płyt i zagrał tysiące koncertów. Występował m.in. w zespołach Andrzeja Trzaskowskiego, Krzysztofa Komedy. Jako jedyny Polak zagrał u boku Milesa Davisa na kultowej płycie „Tutu". Występował także z Chickiem Coreą, Billym Cobhamem czy z Elvinem Jonesem. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

dwaj panowie g

Święta, święta i po świętach. My jednak wrócimy do wydarzeń ciut wcześniejszych. Niesłychanie bawi nas przeciwstawianie w mediach oficjalnej wigilii PiS na Nowogrodzkiej i wigilii nieoficjalnej, u Mateusza Morawieckiego, w biurze przy Lwowskiej. Otóż, kochani, chcemy podkreślić, że WSZYSTKIE wigilie, które nie odbywają się 24 grudnia, są nieoficjalne.

Natomiast w kwestii dwóch konkurencyjnych spotkań wigilijnych PiS – mało kto zauważył sprawę podstawową: to nie jest tak, że u Morawieckiego demonstracyjnie pojawili się ci, którzy nie pojawili się przy Nowogrodzkiej. Otóż w zdecydowanej większości byli to działacze zaliczający tak jedną, jak drugą wigilię. Zresztą po to właśnie Mateusz zorganizował swoją odpowiednio później. Zatem z liczeniem zdrajców na zdjęciach bylibyśmy ostrożni.

Niektórzy byli jednak nieostrożni. W partii pojawił się oficjalny wniosek, by wywalić z PiS posła Ireneusza Zyskę, niegdyś kukistę. Za co? Ano za to, że w mediach społecznościowych oficjalnie i pod nazwiskiem twierdzi, iż przyszłym premierem powinien być ojciec Mateusz – i basta! Część działaczy uznała to za działanie na szkodę partii, Polski i w ogóle kosmosu.

Wracając do spraw wigilijnych. Spotkania świąteczne mieli także europosłowie. W Strasburgu, bo tak akurat wypadła sesja. Było zabawnie, gdyż okazało się, że nieoficjalna wigilia PiS odbywa się po sąsiedzku z nieoficjalną wigilią Platformy, znaczy Koalicji Obywatelskiej. Śmiechom nie było końca, gdy poszczególni goście wchodzili nie tam, gdzie trzeba, na nie te, co trzeba, nieoficjalne wigilie.

Omyłkowe wejścia na niewłaściwe wigilie mają jednak swoje zalety. Na przykład dzięki temu nasze wiewiórki dostrzegły, że duszą towarzystwa podczas spotkania Koalicji Obywatelskiej był gość nieoczywisty – wicenaczelny „GazWybu" Bartosz Wieliński. Informujemy o tym, gdyż wspieramy niezależne, apolityczne dziennikarstwo.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zamykając wątek świąteczny – mamy nadzieję że święta były obfite. Gdyż zauważyliśmy przed świętami niepokojące zjawisko. Chodzi o ubywanie naszej klasy politycznej. Dosłowne. Liczone w kilogramach. Ktoś powiedziałby, że chodzi o szlachetną praktykę poszczenia w Adwencie. Nie, prawda jest nieco inna.

Przechodzimy zatem do konkretów. Niemal w oczach ubyło dobre dziesięć kilo szefa resortu spraw wewnętrznych Marcina Kierwińskiego. Znika też w zastraszającym tempie członek PKW Ryszard Kalisz. Ale i w ławach opozycji coraz mniej jest kilogramów. Jacek Sasin niebawem będzie wyglądał jak szczypiorek, zdecydowanie mniej jest też posłanki Gembickiej. Zanik następuje też w przypadku Mentzena. Moglibyśmy jeszcze tak wymieniać długo. Nasze wiewiórki utrzymują, że mamy do czynienia z ponadpartyjną frakcją pod nazwą „Ozempic".

W MSZ atmosfera gęsta. Niejaki Wiśniewski, wszechwładny szef służby zagranicznej, jest już prawie na wylocie. Choć beknąć powinien sam Radek. Za co? Otóż nasz dyplomatołek w ramach dojeżdżania poprzedników zlecił kontrolę wydatkowania pieniędzy m.in. na tzw. pomoc rozwojową. Służby skarbowe wzięły się za robotę i odkryły, że były środki, które wydatkowano nieprawidłowo. Problem polega na tym, że wśród nich znalazły się pieniądze przyznane organizacji, na której czele stoją osoby związane z obozem obecnej władzy. Dotacje kazano zwrócić. Na korytarzach szepcze się, że z tego powodu szału miała dostać Janka Ochojska.

Szykuje się wielki powrót. Do rodzinnego Wrocławia. Po latach poniewierania go przez Tuska po różnych okręgach odległych od miejsca zamieszkania słynny Grzegorz „Zniszczę Cię" Schetyna postanowił, że w przypadku odwołania prezydenta Jacka Sutryka ze stanowiska stanie w szranki wyborcze, starając się o tę posadę. Już starożytni mawiali: lepiej być pierwszym w prowincji niż drugim w Rzymie.

Bylibyśmy hipokrytami, czyniąc wyrzuty rzecznikowi służb specjalnych Jackowi Dobrzyńskiemu, że w ramach ORMO służył w tzw. Młodzieżowej Służbie Ruchu. Nie dlatego, że sami służyliśmy w powyższych organach, lecz dlatego, że służyli w nich bohaterowie naszej młodości: Tytus de Zoo oraz Pan Samochodzik. Z tymi bohaterami mamy ten sam problem, co Radio Erewań pytane: „Czy to prawda, że Czajkowski był pederastą? Owszem. Ale nie za to go cenimy".

Przeczytaliśmy wywiad Radka Sikorskiego w polskiej edycji pisma „GQ". To taka odmiana „Playboya", tyle tylko, że bez gołych celebrytek szczujących golizną. W USA pismo odniosło sukces dzięki świetnym tekstom i wywiadom. Polskiej edycji nie wróżymy takiego sukcesu po lekturze wywiadu z Radkiem Sikorskim, w którym zabrakło tylko pytania: „Dlaczego jest pan takim wspaniałym geniuszem?". A na poważnie: Czemu nikt nigdy nie zadał pytania Radkowi: „Ilu utłukł pan ruskich w Afganie?"? My byśmy je zadali, gdyby tylko Radek chciał z nami gadać. Ale nie chce.

Z tego samo powodu nie wpuszczono nas na promocję pisma „GQ". Ale oczywiście nasi najlepsi ludzie tam byli. Jednym z głównych sponsorów był InPost. Na sam koniec promocji przewidziano atrakcję dla gości. Zamiast wręczania gadżetów przez hostessy miało się odbyć odbieranie ich z wystawionego przy wyjściu paczkomatu. Niestety, paczkomat się popsuł. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pic i mem

Mówi się o Tusku, że nie umie nic poza robieniem picu. Okazuje, że picować też nie umie. Najnowszy, dobitny przykład: rebranding Centralnego Portu Komunikacyjnego na Port Polska. Portale branżowe, zwykle tej władzy życzliwe, tym razem dały głos specjalistom od marketingu i PR, którzy nie zostawili na Tusku suchej nitki.

Komu się chce, bez trudu wygugla; komu nie, temu streszczę tylko wtopy największe. Po pierwsze: domena internetowa. Jeśli zamierzamy stworzyć nową markę, to pierwszą rzeczą, o którą trzeba się w dzisiejszych czasach zatroszczyć, jest zarezerwowanie wcześniej odpowiedniej domeny. Tymczasem domeny „portpolska" zostały wykupione przez jakiegoś internautę, który w godzinę (!) po ogłoszeniu przez Tuska nowej nazwy stwierdził, że wciąż są one dostępne, więc je wziął i założył tam konta satyryczne, na których teraz robi sobie z Tuska jaja.

Elementarzem PR jest też to, że rebranding marki przeprowadza się po to, by wskazać inwestorom i konsumentom nową jakość, która ma ich przyciągnąć. CPK źle brzmi, no dobrze, potrzeba nowej nazwy – niech będzie. Więc należy się zastanowić, co ta nowa nazwa ma powiedzieć. Że produkt – w tym wypadku inwestycja – niesie określną wartość i jaką. Tymczasem Tusk potrafił uzasadnić zmianę tylko „odcięciem się" od PiS, twierdząc, że „CPK to nazwa skompromitowana i źle się kojarzy". Mniejsza o to, że to zwyczajnie nieprawda, żadne badania takich złych skojarzeń nie potwierdzają, przeciwnie, CPK stał się, wbrew Tuskowi, symbolem polskich aspiracji i rozwoju. Ale gdyby nawet – rebranding tylko dla „odcięcia się" to szkolny, podstawowy błąd, bo zamiast na zalety, zwraca uwagę na wady. Wiedzą państwo, dlaczego żadna linia lotnicza nie reklamuje się, „nasze samoloty nie spadają"? Właśnie dlatego.

Wszystkie opisane przez fachowców błędy sprawiły, że zmiana znanej nazwy na nową, ewidentnie wymyśloną naprędce, zamiast „dać projektowi nową energię", jak zachwalały tuskowe lizusy, stała się memem. A ludzie i tak będą mówić „CPK". Tak jak wciąż mówią „Platforma", a nie „Koalicja". ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Alarm dla szkoły!

Nie ma bardziej rodzinnego, pięknego czasu, jak polska Wigilia i święta Bożego Narodzenia. Dziś jednak muszę popsuć trochę humor. W cieniu wielkich problemów, którymi żyły ostatnio Polska, Europa i świat, niemal w sposób niezauważony odbywa się przygotowanie do największego uderzenia właśnie w rodzinę. W ostatnich dniach listopada rozporządzeniem MEN zapoczątkowano zmiany w podstawach programowych. To, co szykuje nam obecnie resort edukacji, to nie jakaś kolejna zmiana, lecz kompletna przebudowa nauczania i funkcjonowania szkoły.

Pod bałamutną nazwą „Kompas jutra" kryje się implementacja globalistycznej agendy ONZ, wielkiej operacji społecznej zmieniającej w ogóle istotę systemu oświaty. Odchodzi się od funkcji nauczania, a w to miejsce tworzy się system, który ma kształtować przekonania i postawy młodych ludzi. Lewica zawsze walczyła o pierekowkę dusz i to się właśnie dzieje. Osobnik, jakiego ma ambicje ukształtować ten nowy system, ma być wyzwolony od wychowania domowego, przekazu rodzinnego, ma nie być związany z kulturą swojego kraju.

Tak w realu tworzy się właśnie Europejski Obszar Edukacyjny. Na przykład do szóstej klasy nie będzie żadnych lektur, żadnego kanonu wspólnych treści. Za to anonimowi autorzy (spoza naszego kraju) chcą już od najmłodszych lat narzucić naszym dzieciom system, który umieszcza ucznia nie w realnym, lecz wyobrażeniowym świecie. Dokument jest pełen zaklęć o perswazyjnym charakterze: „budowanie przekonania o własnej skuteczności", „budowanie poczucia wpływu na otoczenie", „przekonanie jednostki, że jest częścią grupy, która ją akceptuje, potrzebuje jej i docenia ją". Każde z dzieci może sobie konstruować wizję świata i wyobrażenie własnej osoby, niezależnie od prawdy i realnego stanu rzeczy. Pomyślicie: dom wariatów? Gorzej! To wyrachowany zamach na szczęśliwą przyszłość naszych dzieci. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Za blisko elektoratu



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Jest taka sytuacja, że zgodnie z prawomocnym wyrokiem sądu Konrad Kuźmiński i Eryk Złoty to złodzieje są, złodzieje normalnie. Stop. Psa ukradli i zostali za to skazani. Stop. Ale czemu ja tu jakimiś dwoma lewackimi nołnejmami z Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt mózgi państwu zawracam? Ponieważ te właśnie złodzieje, obok marszałka Czarzastego na scenie przed Sejmem, wzięli udział w przedstawieniu, którego celem było nakłanianie do odrzucenia weta prezydenta Nawrockiego do ustawy łańcuchowej. Stop. Ja rozumiem, że gdyby ten ustawowy bubel przeszedł w kształcie, w którym chciał Czarzasty, to ci dwaj złodzieje mogliby legalnie odbierać rolnikom psy i umieszczać je w schroniskach. Ja to rozumiem, ale żeby się druga osoba w państwie lansowała ze złodziejami? Czy to nie jest za blisko elektoratu, panie Włodku?

Jacek Dobrzyński, rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka, okazał się ORMO-wcem, takim społecznym, ideowym pomocnikiem Milicji Obywatelskiej. Stop. Taki trochę jakby komuszek wielbiący Związek Sowiecki i sojusz robotniczo-chłopski. Stop. Ale to nie wszystko, bo należał jeszcze nasz czerwony towarzysz do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Stop. Zdemaskowany ORMO-wiec przyznał, że był ORMO-wcem, ale stwierdził, że był w ORMO w drogówce. Tyle że tam nie było drogówki. Stop. Jacuś, weź się przejedź…

To bez wątpienia przejdzie do historii jako osiągnięcie Donalda Tuska, być może największe a może nie, bo przecież jeszcze trochę porządzi. Stop. Otóż Tusk przed kamerami pokazał, że z czterech cyfr 5 potrafi narysować pieska w odpowiedni sposób, po kolei łącząc cyferki ołówkiem. Stop. W przedszkolach szok, w żłobkach niedowierzanie…

Krystyna Janda w czasie jednego z wywiadów zwierzyła się, że synowie traktują ją jako osobę lekko upośledzoną. Stop. No i?

Wojciech Dukaczewski w „Wyborczej”, wróć, przepraszam bardzo, oczywiście Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej” ujawnił tajne informacje o leczeniu Sławomira Cenckiewicza. Stop. I ten Czuchnowski zaczął rozpaczać, że mu właśnie wypominają, że ma żonę, którą wcześniej była Dukaczewska, znaczy żoną czerwonawego gen. Dukaczewskiego była, ale Czuchnowski nie przyjął nazwiska Dukaczewski, chociaż chyba mógł i wtedy by chyba nie wypominali, i może by nawet pasowało? Stop. W każdym razie wyczyn gadzinówki Michnika i Czuchnowskiego zgodnie nazwano świństwem prawdopodobnie dlatego, że to w czystej postaci świństwo. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ZĄB NIEZGODY

Jeszcze niedawno Filip Chajzer chwalił się „nowymi" zębami. Celebryta i właściciel kebabowni przeszedł popularny wśród gwiazd zabiegu bondingu. Zachwyt nie trwał jednak długo. Były prezenter TVN opublikował na swoim Instagramie pełną oburzenia relację, twierdząc, że zabieg przyczynił się u niego do rozwoju bakterii w jamie ustnej. Dentysta Piotr Trafidło regularnie współpracuje z licznymi celebrytami, a więc taka antyreklama nie mogła pozostać bez komentarza. – Filip oczywiście wykonał u mnie bonding wraz ze swoją dziewczyną, jak i też przywiózł do mnie swojego znajomego, abym wykonał mu metamorfozę zębów. Pojechał szczęśliwy i zadowolony – przekonuje w zamieszczonym na Instagramie nagraniu. Zgodnie ze słowami dentysty Chajzer miał prosić go także o „zrobienie nowych zębów" jednemu z pracowników odpowiedzialnych za dostarczanie kebabów. – Filip, wybacz, ale ja nie będę wszystkim twoim znajomym i pracownikom robił za darmo zębów – komentuje lekarz. Dodał, że bonding to zabieg bezpieczny. Na odpowiedź Chajzera nie trzeba było długo czekać. Skonsultował się już z innymi specjalistami stomatologicznymi, którzy wyjaśnili mu, w jak złym stanie znajduje się jego uzębienie. – Być może są ludzie, na których to działa. Na mnie, niestety, zadziałało to tak, że codziennie rano, w środku dnia i wieczorem, czyli zawsze wtedy, kiedy myję zęby, pluję krwią, taką czystą krwią. Do tego wszystkiego niemal w każdym zębie, w którym mam bonding, jest dziura. Te zęby są popsute. Udało mi się dowiedzieć, że dzieje się to tak dlatego, że pomiędzy bonding a zęba wchodzą bakterie beztlenowe, których nie da się wyszczotkować. One powodują destrukcję zębów oraz dziąseł, co może doprowadzić do utraty własnych zębów, które macie pod tym bondingiem – relacjonuje. Zarzucił dentyście złamanie tajemnicy lekarskiej oraz niewłaściwe przedstawienie ustaleń dotyczących ich współpracy. – Panie Piotrze, nie wykonano mi tego zabiegu za darmo, na zasadzie umowy. Wykonano go poprzez wykorzystanie moich zasięgów celem reklamy do uzyskania większej liczby klientów. To, co pan dzisiaj opowiada, to nie dość, że złamał pan tajemnicę lekarską, to jeszcze to jest kompletnie pozamerytoryczne – przekonuje Chajzer. Niby nie za darmo, a jednak za darmo. Groch z kapustą.



FOT. ARTUR RAKOWSKI/ARTSERVICE/FORUM

KSIĘCIA CZAR

Niektórzy marzą, by Polską znowu rządził król. Dopóki jednak monarchia musi pozostać w sferze marzeń, dopóty trzeba zadowolić się naszą, polską „royal family". Jan Lubomirski-Lanckoroński, potomek jednego z polskich rodów magnackich, jest znanym przedsiębiorcą i filantropem. Książę lubi „bywać", a ostatnio zagościł w Kanale Zero. Lubomirski-Lanckoroński niezwykle poważnie podchodzi do swojego pochodzenia. – Jest to dla mnie bardziej przypomnienie kwestii tego, czym powinienem się zajmować, a ja to traktuję bardzo poważnie. Nie tytuł, tylko kwestie tego, co za tym idzie, czyli ta tradycja rodzinna. Ja nie mam tak, że się ogromnie obrażam czy bardzo chcę, żeby mnie tak tytułowano, ale z drugiej strony nie uważam, że powinienem się z tym kryć. To jest jedna z najstarszych polskich rodzin, jedna z najbardziej działających – wyznał. Krzysztof Stanowski zapytał, kiedy jego gość dostrzegł, że tytuł ma znaczenie. Okazuje się, że gdy „royals" był jeszcze nastolatkiem, wykorzystywał go do podrywania dziewczyn. – Dosyć nieładnie zacząłem to wykorzystywać, mając świadomość gdzieś w wieku 15–16 lat, bo rzeczywiście dziewczynom się to podobało – ujawnił. No która nie poleci na „księcia"? Każda!

BEZ STRACHU

Kolejny odcinek refleksji noworocznych. Daniel Martyniuk nie oszczędza swoich obserwatorów. Teraz postanowił powspominać burdę, którą wywołał dwa lata temu w sylwestra w hotelu w Zakopanem. „Wyzywał żonę od k..ew, a ta nie mogła powstrzymać płaczu. Potem zaczął zaczepiać gości pensjonatu. Jednemu z nich zabrał smyczek od skrzypiec i wymachiwał przed resztą gości. Gdy ktoś mu go zabrał, zaczął być agresywny. Choć było już późno w nocy, to Daniel zaczął grać na ustawionym w hotelowym lobby pianinie, którego używanie było zakazane. Gdy jeden z gości zwrócił mu uwagę, wdał się z nim w szarpaninę. Obsługa wezwała policję […]. Interwencja nie przyniosła jednak żadnego skutku. Daniel Martyniuk próbował chronić się znanym nazwiskiem ojca" – tak incydent opisywał „Super Express". Trzydziestosześciolatek nie odpuszcza. Z okazji „dwurocznicy" awantury zapowiedział, że hotel… zapłaci mu rekompensatę. „Ale to tandetnie wygląda. Welcome in Poland. Osobiście powiem, że po tym, co się wydarzyło w Zakopanem w sylwestra, ten hotel Belvedere zapłaci mi rekompensatę. I frajerek w dresiku Gucci też mnie przeprosi. Biznesmenie zasrany w wieśniackim ubranku. Nigdy nie lubiłem tego miejsca, a teraz go nienawidzę" – grzmi na Instagramie. Martyniuk udostępnił wideo z zagranicznego zimowego kurortu. „W Polsce takich imprez nie ma, bo policjanty zawijają w sylwestra z pokoju hotelowego, a zasrane redaktorki ustawione przez frajerów czekają w krzakach, aż panowie i panie zmuszeni będą musieli mnie wyprowadzić, bo nie mieli innego wyjścia, ale i honoru też nie. Tyle w temacie. Mądrzy skumają. Ja już nikogo się nie boję, na pewno nie Polaków" – stwierdził. Cytując klasyka: Danielu, nie denerwuj się. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam u was po Winter Holidays? Wszystko dobrze? U nas… no cóż, można się co roku łudzić, że tym razem będzie inaczej, że może ten małomiasteczkowy mental się zmieni, no ale też niestety jak co roku okazuje się, iż Wigilia musi mieć charakter religijny, słownictwo wokół tego okresu roku jest nacechowane skrajnie jednostronnie i z brakiem poszanowania dla mniejszości, a stoły jak zawsze uginają się pod ciężarem potraw, w których dominują zabite osobozwierzęta i majonez.

No, ale po kolei. Z jednej strony jechaliśmy do niewielkiego ośrodka na spotkanie z osobami płodzącymi i dalszą rodziną z nadzieją, iż może dwa lata rządów świeckich i postępowych sprawiły, iż nawet w niewielkich ośrodkach przez jakąś osmozę czy inne tajemnicze zjawiska zostały przyswojone normy cywilizowanego świeckiego państwa.

Z drugiej strony mamy świadomość, że trwająca kadencja Karola Nawrockiego (nie nazwiemy go prezydentem, iż nadal nie podliczono głosów, a wybory powinny zostać powtórzone wkrótce po powtórzeniu karnego Błaszczykowskiego z Euro 2016) spowodowała masowy zwrot młodych mężczyzn, zwłaszcza z mniejszych ośrodków, w stronę toksycznej męskości, czyli tej związanej z wąsami, podkoszulkami, przemocą i kiełbasą.

Myśleliśmy też, iż po latach walki o świecki charakter Wigilii i spotkań świątecznych nie będziemy musieli się oburzać na obecne na niej symbole religijne – i to związane wyłącznie z chrześcijaństwem. W końcu nie po to rząd ustanowił Wigilię dniem wolnym od pracy, iżby korzystali z tego wyłącznie katole, ale jest to inkluzywny dzień wolny, włączający w jego obchody każdego.

Dlatego podczas spotkania wieczornego z rodziną zupełnie zbędne wydały nam się te wszystkie szopki, stajenki, opłatki, kolędy i modlitwy. A kiedy próbowaliśmy partycypować w ubieraniu choinki i oparliśmy się czołem o pień, dziękując za jej poświęcenie, zostaliśmy wyśmiani do tego stopnia, iż nawet nie próbowaliśmy wieszać na gałązkach naszych świeckich bombek w kształcie narządów rozrodczych, iż z pewnością zostałyby uznane za nazbyt prowokacyjne.

Sałatka jarzynowa to wciąż niestety ziemniaki, marchew, seler i groszek, a nie topinambur, bataty, jarmuż czy rukola, więc całe Winter Holidays chodziliśmy głodni

Pewną iskierkę nadziei rozpalił w nas wigilijny jadłospis, składający się niemal wyłącznie z produktów wege, może poza osobokarpiem (wciąż nie mamy jasności, czy ryba to zwierzę). Niestety, okazało się, iż nie wynika to ze zmieniającej się wrażliwości wobec osobozwierząt, a z tego, iż w Wigilię tradycyjnie nie zjada się mięsa. Już kolejnego dnia stoły uginały się pod ciężarem mięs, wędlin, pasztetów – a to wszystko po prostu skąpane było w majonezie. Sałatka jarzynowa to niestety wciąż ziemniaki, marchew, seler i groszek, a nie topinambur, bataty, jarmuż czy rukola. Całe Winter Holidays chodziliśmy więc głodni.

Kolejnym elementem, który niezmiennie wprawia nas w stan lekkiego, acz permanentnego napięcia, są świąteczne rozmowy przy stole. Z założenia miałyby one być przestrzenią dialogu, wymiany doświadczeń i wzajemnego wysłuchania się. W praktyce jednak szybko okazuje się, iż dialog oznacza tu raczej monolog wujka, który „nikogo nie obraża, tylko mówi, jak jest" (czyli, że Kaczafi ma zawsze rację), a wymiana doświadczeń sprowadza się do porównań cen paliwa i długości kolejek w markecie.

Nie możemy też nie wspomnieć o obowiązkowym spacerze po obiedzie, który w założeniu miałby służyć trawieniu, wyrównaniu poziomu glukozy, wyrobieniu normy kroków na dzień i kontemplacji zimowej przyrody, a w praktyce kończy się spotkaniami z sąsiadami i wymianą opinii o „tym, co się dzieje w tym kraju", no a wiadomo, iż w mniejszych ośrodkach panuje przekonanie, iż dzieje się źle i że kiedyś to było. Nawet świeże powietrze zdaje się być tu przesiąknięte nostalgiczno-narodowym ciężarem. Dlatego z niewypowiedzianą ulgą wróciliśmy do większego ośrodka, gdzie czekają już na nas przygody związane z obchodami sylwestrx, o czym opowiemy wam kolejnym razem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Lista nieodebranych

Karol, naprawdę nie odbierałeś telefonów od Rudego?

Daj spokój, Zbyszek. Jakbym ja miał tak od każdego odbierać, tobym nic innego nie robił.

No, ale to premier jednak…
On jest taki premier, jak ja ruska onuca. Weź no podaj mój telefon.

Proszę.

Odblokowałem. Zobacz teraz sam listę nieodebranych. Jest Rudy?

Jest, osiem razy.
No trudno.

Ale jest też Naczelnik. Dwadzieścia siedem razy.
No trudno. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Zwierzęta udomowione powinny mieć obywatelstwo".

PROF. MAGDALENA ŚRODA, *filozof, w TVP Info*

eprasa.pl 2049cc1e0e



LEGISLACYJNY WAŁEC CZY TROSKA O ZDROWIE?

USTAWA TYTONIOWA W OGNIU KRYTYKI EKSPERCKIEJ

Prace nad projektem ustawy o numerze UD 213 o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych, nazywanej potocznie ustawą tytoniową, wchodzą w decydującą fazę. Choć Ministerstwo Zdrowia deklaruje walkę o zdrowie publiczne i ochronę młodzieży, to rynek oraz rolnicy biją na alarm. Razem z Kamilem Moskwikiem, ekspertem specjalizującym się w analizie rynków regulowanych, zastanawiamy się, czy wylewanie dziecka z kąpielą nie stało się nową metodą legislacyjną.

Ministerstwo Zdrowia deklaruje, że zaostrzenie przepisów ma służyć ochronie młodzieży przed epidemią produktów jednorazowych. Tymczasem przedstawiciele rynku, ekonomiści i rolnicy biją na alarm. Obecny kształt ustawy, procedowany w cieniu gabinetów, może przynieść skutki odwrotne do zamierzonych, dewastując przy tym legalnie działający sektor gospodarki. To, co w teorii ma być krucjatą o zdrowie, w praktyce zamienia się w gospodarczy thriller. Stawka jest wysoka: ważą się losy miliardowych wpływów do budżetu oraz stabilność tysięcy polskich gospodarstw rolnych.

PRAWO NIEZAMIERZONYCH KONSEKWENCJI

Analizując tryb wprowadzania zmian w ustawie tytoniowej, trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z szerszym zjawiskiem, które nasz rozmówca – ekspert rynkowy Kamil Moskwik – określa prawem niezamierzonych konsekwencji.

– Obserwujemy dziś zjawisko, w którym niemal każda nowa regulacja, wprowadzana w szczytnych celach, w zderzeniu z rynkową rzeczywistością przynosi

eprasa.pl 2049cc1e0e

efekty uboczne, nierzadko sprzeczne z założeniami – tłumaczy Moskwik.

Doskonałym przykładem tego mechanizmu były tegoroczne bardzo wysokie podwyżki akcyzy na wyroby tytoniowe. Pod pretekstem walki o zdrowie publiczne Ministerstwo Finansów zwiększyło pierwotnie zaplanowaną podwyżkę akcyzy aż o 150 proc. W efekcie zamiast wzrostu wpływów z tytułu akcyzy mamy drastycznie kurczący się legalny rynek i wpływy na niemal niezmienionym poziomie.

– Należy się spodziewać, że Ministerstwo Finansów nie zrealizuje swoich planów związanych z wysokością wpływów budżetowych z tytułu podatku akcyzowego od wyrobów tytoniowych w 2025 r., które miały być wyższe o 15 proc. w porównaniu z rokiem 2024. Jest to związane m.in. z bezprecedensowym spadkiem legalnej sprzedaży wyrobów tytoniowych i rosnącą presją ze strony nielegalnego handlu.

Z kolei resort zdrowia bierze na celownik saszetki nikotynowe, planując niemal całkowite wyeliminowanie ich wariantów smakowych. Tymczasem specyfika tego produktu opiera się właśnie na dodatkach smakowych, więc zakaz aromatów poza tytoniowym na dobrą sprawę eliminuje tę kategorię z rynku.

Ekspert zwraca uwagę na fakt, że większość krajów europejskich dopuszcza smaki w saszetkach nikotynowych, a co za tym idzie, należy spodziewać się napływu tych produktów z krajów ościennych.

– Z perspektywy logiki finansów publicznych, a także zdrowia publicznego taka polityka jest niezrozumiała. Smakowe saszetki nikotynowe, które stanowią 90 proc. rynku, będą najpewniej dalej nabywane przez konsumentów, ale w nielegalnym obiegu lub z korzyścią dla budżetów krajów ościennych – zauważa analityk.

ROLNIK SZUKA STABILNOŚCI

Dla polskiego rolnictwa te legislacyjne niuanse mają wymiar egzystencjalny. Polska jest potęgą w uprawie tytoniu – jesteśmy trzecim co do wielkości producentem surowca, co pozwala nam zaspokajać blisko 40 proc. zapotrzebowania Unii Europejskiej, a popyt na tytoń z Polski nie maleje – inne kraje bardzo cenią jego jakość. Według raportu „Wpływ produkcji wyrobów tytoniowych na polską gospodarkę", opracowanego przez ekonomistów z Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych (CASE), w całym sektorze tytoniowym oraz jego otoczeniu pracuje prawie 30 tys. osób w przeliczeniu na pełne etaty, a praca blisko 560 tys. osób jest związana pośrednio lub bezpośrednio z sektorem tytoniowym.

– Pamiętajmy, że biznes tytoniowy to nie tylko uprawa, lecz także dalsze etapy, jak suszenie czy produkcja wyrobów tytoniowych – to ważna gałąź gospodarki. Jesteśmy europejskim liderem nie tylko w zakresie surowca. Zdecydowana większość wyprodukowanych w Polsce papierosów – a według danych za rok 2023 było to aż 85 proc. całkowitego wolumenu produkcji – również trafia do krajów UE, czyniąc z nas jednego z najważniejszych producentów w Europie – komentuje Moskwik.

Obecnie pozycja ta jest jednak realnie zagrożona. Gdzie leży problem? Spadki legalnej sprzedaży we wszystkich kategoriach wyrobów tytoniowych i tlący się powrót szarej strefy wpływają nie tylko na producentów gotowych wyrobów i budżet państwa, lecz także na cały powiązany łańcuch dostaw.

– Uderzenie w rynek szeroko pojętych wyrobów nikotynowych to bezpośredni cios w popyt na polski surowiec, a także w małe punkty sprzedaży detalicznej – podkreśla ekspert, wskazując na wielopoziomowe skutki nadmiernych regulacji.

Resort rolnictwa deklaruje co prawda, że dobro plantatorów tytoniu jest priorytetem, a w polityce unijnej należy uwzględniać ewentualne szkody gospodarcze. Jednak w zderzeniu z pędzącym walcem legislacyjnym resortu zdrowia te zapewnienia wydają się tracić na znaczeniu.

INWESTORZY NA WALIZKACH

Chaos wokół ustawy UD 213 wpisuje się w szerszy obraz niestabilności prawa, który staje się bolączką polskiej gospodarki. Ekspert przypomina, że państwo, które w teorii ma być gwarantem stabilności, staje się partnerem chimerycznym, paraliżującym planowanie.

Branża tytoniowa jest tego dobitnym przykładem. Firmy, ufając ustaleniom z Ministerstwem Finansów w postaci mapy drogowej akcyzy, planowały swój biznes i kolejne inwestycje.

– Mówimy o gigantycznych nakładach. Firmy tytoniowe inwestują w Polsce miliardy w centra produkcyjne, zatrudniają setki tysięcy osób w fabrykach w całym kraju. Pamiętajmy, że te spółki są jednymi z większych płatników podatków w Polsce. Odpowiadają za 8 proc. całkowitych wpływów budżetu państwa. W 2023 r. wartość inwestycji sektora przekroczyła 900 mln zł, co oznacza wzrost o 171 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Największy nacisk położono na rozwój nowoczesnych technologii, w tym produkcję wyrobów nowatorskich oraz tworzenie centrów usług wspólnych, wspierających dystrybucję. Ich wkład do polskiego budżetu jest ogromny, więc i mandat do tego, by oczekiwać stabilnego prawa, wydaje się oczywisty – wyjaśnia Moskwik.

Nadmierne regulacje sprawiają, że inwestorzy zaczynają rozważać ograniczanie produkcji lub przenoszenie zakładów za granicę, co już dzieje się u naszych zachodnich sąsiadów, gdzie zamykane są wieloletnie fabryki.

PREZENT DLA SZAREJ STREFY

Wprowadzanie prohibicyjnych rozwiązań w pośpiechu niesie ze sobą jeszcze jedno, poważne zagrożenie, o którym mówi się wprost: rozkwit czarnego rynku.

– Rynek ma swoją logikę. Jeśli legalne produkty znikają lub stają się zbyt drogie, to pojawia się impuls do zakupów poza systemem – ostrzega analityk.

W miejsce certyfikowanych produktów z polskich fabryk rynek może zalać fala towarów z przemytu, nieposiadających żadnych atestów. Straci na tym budżet (brak akcyzy i VAT), straci legalny biznes, który nie ma szans w starciu z nieuczciwą konkurencją, a przede wszystkim straci zdrowie publiczne – z powodu braku kontroli nad składem produktów z podziemia.

Legislacyjny pośpiech i brak rzetelnej debaty nad projektem UD 213 to papierek lakmusowy polskiej polityki gospodarczej. Jak zauważa nasz rozmówca, nadregulacja nigdy nie jest darmowa – jej koszt ponosimy wszyscy, a zamiast rozwoju fundujemy sobie walkę o przetrwanie. Czy rząd zdąży zawrócić z tej drogi, zanim regulacyjny bumerang uderzy w polskie rolnictwo i gospodarkę z pełną mocą?

eprasa.pl 2049cc1e0e



Amerykańska korekta

Michał Krupa

Jeżeli Trump rzeczywiście pójdzie za kluczowymi założeniami Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, to nie będzie gonił za światową dominacją. Jego polityka ma wzmocnić Amerykę, którą przejął – gospodarczo, militarnie i strategicznie – i wyznaczyć trwały kurs dla kolejnych pokoleń przywódców. Amerykańskie stulecie definitywnie dobiegło końca. Witamy w stuleciu wielobiegunowym

Ameryka już nie chce być imperium – przynajmniej nie na papierze. Po dekadach niekończących się interwencji wojskowych, „eksportu demokracji" i forsowania globalnych porządków Stany Zjednoczone stawiają na pragmatyzm, samowystarczalność i ochronę własnego podwórka.

Strategia Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych (NSS), opublikowana 4 grudnia 2025 r., wzbudziła burzliwą debatę w transatlantyckim świecie. Ten zwięzły, liczący 29 stron dokument, wydany w ramach drugiej administracji prezydenta Donalda Trumpa, sygnalizuje zdecydowane zerwanie z globalno-hegemonicznymi ambicjami, które definiowały amerykańską politykę zagraniczną przez dekady. Neokonserwatyści i liberalni internacjonaliści postrzegali Amerykę jako wiecznego globalnego hegemona, eksportującego demokrację, kapitalizm i egzekwującego normy poprzez niekończące się interwencje militarne lub „kolorowe rewolucje". W przeciwieństwie do tego aktualna NSS przyjmuje jako probierz realizm, odzwierciedlający reakcję państwa zmęczonego zagranicznymi uwikłaniami, obciążeniami fiskalnymi i licznymi wewnętrznymi kryzysami. Jak podkreśla Juan Vilasmil na łamach „The American Conservative", NSS jest „piękna" nie ze względu na prozę, ale na „jasność", opiera strategię na „konkretnych interesach realnego narodu: naszego własnego", a nie na „teoriach, sloganach czy mglistych dyskursach o »międzynarodowej społeczności«".

Inny obserwator podkreśla jej reperkusje, przedstawiając ją jako wyzwanie dla – jak to określa sam dokument – „cywilizacyjnego wymazania" Europy i odrodzenie suwerenności państwa narodowego zakorzenionego w przesłaniu takich myślicieli, jak Johann Gottfried von Herder i Samuel Huntington. Ten ostatni pisał w 1996 r. na łamach „Foreign Affairs": „Głównym obowiązkiem przywódców Zachodu nie jest próba przekształcania innych cywilizacji na obraz i podobieństwo Zachodu – co coraz częściej przekracza ich możliwości – lecz zachowanie i odnowa unikatowych cech cywilizacji zachodniej. Odpowiedzialność ta w przeważającej mierze spoczywa na najpotężniejszym państwie Zachodu, Stanach Zjednoczonych Ameryki. Ani globalizm, ani izolacjonizm, ani multilateralizm, ani unilateralizm nie będą najlepiej służyć interesom Ameryki. Najskuteczniej będą one realizowane wówczas, gdy Stany Zjednoczone odrzucą te skrajności i zamiast tego przyjmą politykę atlantycką opartą na ścisłej współpracy z europejskimi partnerami – politykę, która będzie chronić i promować interesy, wartości oraz kulturę cennej i wyjątkowej cywilizacji, którą wspólnie tworzą".

NIEBOTYCZNE KOSZTY

Wygląda na to, że po roku częstego chaosu, sprzecznych narracji, zaskakujących ruchów w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego i polityki zagranicznej oraz zmierzania się z rzeczywistością wielobiegunowego świata admini-

eprasa.pl 2049cc1e0e



FOT. ANDREW CABALLERO-REYNOLDS/AFP/EAST NEWS

stracja Donalda Trumpa przynajmniej w warstwie teoretycznej postawiła na wewnętrzną odnowę nad globalnym nadmiernym rozciągnięciem i w ten sposób dała wyraz najgłębszym dążeniom ruchu MAGA.

Aby zrozumieć niemalże rewolucyjny charakter obecnej NSS, trzeba pokrótce zmierzyć się z dziedzictwem hegemonicznego myślenia, które uzmysłowi ponure dziedzictwo krwi i destrukcji, które ona odrzuca. Po zimnej wojnie neokonserwatyści, tacy jak Paul Wolfowitz, i liberalni internacjonaliści, tacy jak Anne-Marie Slaughter, promowali Stany Zjednoczone jako „niezbędny naród", dzierżący unipolarną moc, by przeobrazić świat. To objawiło się m.in. w zmianach reżimów w Iraku, Afganistanie, „humanitarnych bombardowaniach" w Libii i wojnie zastępczej w Syrii. NATO rozszerzyło się na wschód, pakty handlowe, jak TPP, otaczały rywali, a pomoc zagraniczna podtrzymywała przyczółki „liberalnego porządku", wszystko to w czasie, gdy infrastruktura krajowa niszczała, a dobrobyt amerykańskiej klasy średniej ulegał erozji.

Ludzkie i finansowe koszty były oszałamiające: ponad 8 bln dol. wydanych na wojny po 11 września 2001 r., ponad 7 tys. ofiar śmiertelnych wśród wojskowych i społeczeństwo straumatyzowane klęskami, takimi jak upadek Kabulu. Ponad 40 proc. weteranów z okresu „globalnej wojny z terroryzmem" z września (spośród ok. 2–3 mln osób, które pełniły służbę) otrzymuje świadczenia rentowe z tytułu niepełnosprawności z Departamentu do spraw Weteranów; odsetek ten ma wzrosnąć do 54 proc. w ciągu najbliższych 30 lat. Oznacza to setki tysięcy osób z trwałymi lub dożywotnimi ograniczeniami sprawności. Do 2025 r. sondaże odzwierciedlają głębokie zmęczenie, a większość Amerykanów sprzeciwia się nowym interwencjom militarnym z wyboru.

NSS jawnie określa tę pogoń za globalnym prymatem jako porażkę, która osłabiła Amerykę. Jak czytamy w swoistej preambule do NSS: „Po zakończeniu zimnej wojny elity amerykańskiej polityki zagranicznej same siebie przekonały, że trwała dominacja Stanów Zjednoczonych nad całym światem leży w najlepszym interesie kraju. Tymczasem sprawy innych państw powinny nas obchodzić tylko wtedy, gdy ich działania bezpośrednio zagrażają naszym interesom. Elity te poważnie przeliczyły się co do gotowości Ameryki do niekończącego się ponoszenia globalnych ciężarów, które dla zwykłych obywateli nie miały wyraźnego związku z interesem narodowym. Przeceniły również zdolność USA do jednoczesnego utrzymywania rozbudowanego państwa opiekuńczo-regulacyjno-administracyjnego oraz ogromnego aparatu wojskowego, dyplomatycznego, wywiadowczego i pomocowego działającego na całym świecie. Zainwestowały w głęboko chybione i destrukcyjne wizje globalizmu oraz tzw. wolnego handlu, które doprowadziły do osłabienia klasy średniej i degradacji bazy przemysłowej – fundamentów, na których opiera się amerykańska potęga gospodarcza i militarna. Pozwoliły też sojusznikom i partnerom przerzucać koszty własnej obrony na amerykańskich podatników, a niekiedy wręcz wciągać Stany Zjednoczone w konflikty i spory kluczowe dla ich interesów, lecz marginalne lub całkowicie nieistotne z punktu widzenia Ameryki".

KRYTYKA EUROPY

Jak zauważa były brytyjski dyplomata i oficer MI6 Alastair Crooke, NSS stanowi „niezbędną korektę", gdyż unika „globalnej hegemonii; »dominacji« i ideologicznych krucjat" na rzecz „pragmatycznego, transakcyjnego realizmu skupionego na ochronie kluczowych interesów narodowych". Inni analitycy wiążą zaś to odrzucenie polityki hegemonicznej z głębszymi korzeniami filozoficznymi, czerpiąc z postoświeceniowego romantyzmu: nacisk Jeana-Jacques'a Rousseau na wspólną kulturę dla spójności politycznej, koncepcję Johanna Gottfrieda von Herdera dotyczącą „Volk" i „Kultur" jako wyrazów odrębnych ludów („Żadna narodowość nie została całkowicie wyznaczona przez Boga jako naród wybrany"). Można by rzec, że NSS umieszcza tak często proklamowaną amerykańską wyjątkowość pośród innych wyjątkowych narodów. Oprócz odrzucenia hegemonizmu być może najbardziej znaczącym elementem pod względem praktycznych konsekwencji jest jednak zapowiedź „zakończenia polityki nieustannego rozszerzania NATO", a także celna krytyka Europy.

NSS bierze na celownik europejską stagnację gospodarczą, kryzys demograficzny, utratę suwerenności na rzecz Brukseli oraz postępujące „wymazywanie cywilizacyjne".

„Chcemy, aby Europa pozostała europejska, odzyskała cywilizacyjną pewność siebie i porzuciła swoją chybioną obsesję na punkcie duszącej wszystko regulacji" – głosi NSS. Dokument

eprasa.pl 2049cc1e0e

określa elity Unii Europejskiej jako zagrożenie dla przyszłości samej Europy i w konsekwencji dla interesów Stanów Zjednoczonych. Jednoznacznie wskazuje, że popieranie europejskich sił patriotyczno-suwerenistycznych oraz wzmacnianie oporu wobec obecnego kierunku politycznego Europy leży w interesie Waszyngtonu. Jak zauważa Crooke: „Dlatego oburzenie europejskich elit wywołane miażdżącą krytyką Europy zawartą w NSS nie wynika jedynie z faktu, że Stany Zjednoczone w oczywisty sposób odwracają się od klasy rządzącej w Europie, która dotąd gotowa była podporządkować się Ameryce niemal bezwarunkowo. Dokument ten ostro potępia podważanie przez te elity zasad demokracji, a nawet stawia pod znakiem zapytania ich przydatność jako przyszłych sojuszników".

NSS przywraca roztropność do amerykańskiego rzemiosła państwowego, odzwierciedlając ostrzeżenia amerykańskich ojców założycieli przed „uwikłującymi sojuszami". Waszyngton nie będzie już subsydiował „darmozjadów" ani oddawał suwerenności instytucjom jak ONZ czy WTO; narzędzia dyplomatyczne, ekonomiczne i wojskowe będą wdrażane transakcyjnie, z „wzajemnością i sprawiedliwością" jako zasadami przewodnimi.

Podejście hierarchiczne reorganizuje priorytety: witalność krajowa na pierwszym miejscu, następnie bezpieczeństwo półkuli i rywalizacja wielkich mocy. Siła ekonomiczna jest uznana za „centralną dla bezpieczeństwa narodowego", promując bliższą współpracę rządu z sektorem prywatnym, z ambasadorami przekształconymi w promotorów biznesu, by zabezpieczać kontrakty i wzmacniać konkurencyjność USA. Bezpieczeństwo granic integruje się płynnie z polityką zagraniczną, przedstawiając masową migrację i kartele narkotykowe jako zagrożenia egzystencjalne, a nie kwestie peryferyjne.

Najbardziej uderzającą nowością w NSS, wbrew rozhisteryzowanym reakcjom europejskich elit, jest, wbrew pozorom, nie skądinąd słuszne zakończenie ekspansji NATO czy dążenie do „strategicznej stabilności" w relacjach z Rosją, lecz nadanie zachodniej półkuli pierwszorzędnego znaczenia. Jak zauważa Vilasmil: „Strategia Bezpieczeństwa Narodowego wreszcie przyznaje to, co od dawna było oczywiste: Azja może być globalnym priorytetem, ale to półkula [zachodnia] jest priorytetem cywilizacyjnym".

W optyce obecnej amerykańskiej administracji Ameryka Łacińska przez lata była traktowana jako dodatek, pozwalając na chińskie wtargnięcia gospodarcze, niestabilność Wenezueli napędzającą migrację i kartele meksykańskie zalewające USA fentanylem – zagrożenia erodujące witalność USA bardziej bezpośrednio niż odległe konflikty.

Dokument ogłasza „uzupełnienie Trumpa" do doktryny Monroego jako imperatyw strategiczny: półkula musi pozostać wolna „od wrogiej ingerencji z zewnątrz oraz przejmowania kluczowych zasobów. Strategia jednocześnie wspiera krytyczne łańcuchy dostaw", z czego wynika „dostosowanie naszej globalnej obecności militarnej w celu stawienia czoła pilnym zagrożeniom w naszej półkuli, ze szczególnym uwzględnieniem misji wskazanych w tej strategii, oraz ograniczenie działań w regionach, których względne znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego USA spadło w ostatnich dekadach lub latach".

Bliskość kształtuje potęgę – wielka potęga nie może projektować wpływów globalnie, jednocześnie tracąc autorytet w regionie. Chiny instynktownie zabezpieczają swoje sąsiedztwo; Ameryka musi postępować podobnie, bo państwo, które nie potrafi kontrolować swoich granic, nie może kontrolować własnego przeznaczenia. Jest to powrót do klasycznej amerykańskiej myśli kontynentalnej, od Aleksandra Hamiltona do Johna Quincy'ego Adamsa, którzy postrzegali stabilność i rozwój półkuli zachodniej jako warunek przetrwania Stanów Zjednoczonych.

POTĘGA MIERZONA SPRYTEM

Reakcje na NSS były gwałtowne i jednocześnie przewidywalne: premier Donald Tusk lamentował na X: „Europa jest waszym najbliższym sojusznikiem, nie problemem"; media, jak „The Guardian", donosiły o „pochwałach" Kremla, „The Washington Post" zauważył obranie Europy jako celu wrogich działań USA w miejsce Rosji i Chin. Raport portalu Politico również opisywał Strategię Bezpieczeństwa Narodowego jako „w dużej mierze zgodną z rosyjskim spojrzeniem na świat". Według Politico aprobatywne komentarze Moskwy na temat NSS „podkreślają, jak bliskie stały się ich relacje, odkąd Trump powrócił na urząd na początku tego roku".

Były szwedzki premier Carl Bildt posunął się nawet do scharakteryzowania optyki na Europę jako będącej „na prawo od skrajnej prawicy". Repertuar elit bez pomysłu na siebie i Europę i tęskniących za klarownym imaginarium Joe Bidena: demokracja kontra autorytaryzm, światło kontra ciemność, LGBT kontra Władimir Putin, gdzie takie kategorie jak równowaga sił czy realizm mogą lekko ocierać się wszak o „faszyzm".

Patrząc jednak racjonalnie i chłodnym okiem na dokument, NSS sygnalizuje celową (i wielce spóźnioną!) adaptację Ameryki do multipolarnej rzeczywistości, odrzucając jednoznacznie kakofonię obrońców „jednobiegunowego momentu" na rzecz „ponadczasowych" prawideł równowagi sił.

Dla zmęczonego wojnami i regresem swojej niegdyś niekwestionowanej potęgi narodu ta roztropność obiecuje odnowę: realokację funduszy wojennych na infrastrukturę, wykorzystanie ceł do odrodzenia produkcji, zabezpieczenie granic.

Jeżeli Trump rzeczywiście pójdzie za kluczowymi założeniami tej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, to nie będzie gonił za światową dominacją. Jego polityka ma wzmocnić Amerykę, którą przejął – gospodarczo, militarnie i strategicznie – i wyznaczyć trwały kurs dla kolejnych pokoleń przywódców. Amerykańskie stulecie definitywnie dobiegło końca. Witamy w stuleciu wielobiegunowym, w którym realna potęga mierzona jest sprytem, pragmatyzmem i zdolnością do ochrony własnego podwórka, a nie niekończącymi się wojskowymi wyprawami. Jak wołał w latach 90. słynny konserwatywny republikanin Pat Buchanan: „Republika, nie imperium!". Ruch MAGA i jego intelektualiści zrozumieli, że nadszedł czas, by Ameryka stała się silna, bardziej samowystarczalna i gotowa stawić czoła nowemu, bardziej złożonemu światu – przynajmniej na papierze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

Chiński słoń a polska mrówka



Wojciech Golonka

Chiny w najbliższym czasie będą kontynuowały swą afirmację regionalnego mocarstwa o konsekwencjach globalnych, wzmacniając z determinacją swoją niezależność, przy jednoczesnej ochronie tego, co dlań najcenniejsze – niebotycznego eksportu tej pierwszej fabryki świata

Chwilowa stabilizacja relacji amerykańsko-chińskich, która nastąpiła wraz z bilateralnym szczytem Donalda Trumpa i Xi Jinpinga w październiku w Pusan, w Korei Południowej, dosyć szybko uległa weryfikacji wraz z powracającymi napięciami na linii Waszyngton – Pekin na kanwie nieuregulowanych kwestii spornych i wciąż konfrontacyjnej postawy obu krajów. Ma się rozumieć, celem październikowego szczytu nie było pudrowanie rzeczywistości, a zatwierdzenie tymczasowego modus vivendi mimo napięć i globalnej rywalizacji, dających o sobie regularnie znać również w ostatnim czasie.

Przypomnijmy, że 30 października Stany Zjednoczone i Chiny zawarły roczny, taktyczny rozejm w uciążliwej dla obu państw wojnie handlowej. Wśród głównych postanowień USA zobowiązały się do niepodwyższania ceł na chińskie produkty powyżej 47 proc. oraz zapowiedziały wznowienie eksportu zaawansowanych chipów NVIDIA do Chin, co właśnie następuje. Z kolei Chiny zawiesiły na rok mające wejść w życie ograniczenia w eksporcie metali ziem rzadkich, zniosły embargo na amerykańską soję, sorgo i inne produkty rolne, a także zobowiązały się do ściślejszej kontroli eksportu do Ameryki fentanylu, niezwykle silnego leku opioidowego, siejącego w USA spustoszenie jako zabójczy narkotyk.

Donald Trump przyjął wówczas zaproszenie do odwiedzenia Państwa Środka w kwietniu 2026 r., po której to wizycie Xi Jinping ma z kolei odwiedzić Amerykę – te wzajemne zapowiedziane odwiedziny pozostają w mocy, co wskazywałoby, że obie strony, mimo ciągłych tarć, chcą utrzymać wzajemne relacje na niepogarszającym się poziomie korzystnej dla obu współpracy.

POSMAK MOCARSTWOWOŚCI

To, co należałoby podkreślić jako dostrzegalną od pewnego czasu zmianę postawy w polityce zagranicznej Chin, to przejawianie twardej determinacji, pewnej swej pozycji i możliwości oraz nieskłonnej do kompromisów, zwłaszcza wobec ewidentnie słabszych partnerów, jak Unia Europejska. To odejście od doktryny „ukrywania potencjału" Deng Xiaopinga Jakub Jakóbowski z Ośrodka Studiów Wschodnich określił nastaniem nowych Chin, które się nikomu nie kłaniają: „Przez 10 lat moich rozmów z Chińczykami nie widziałem tak ogromnej pewności siebie, poczucia siły i górowania nad innymi, jak teraz. Wśród ekspertów, dyplomatów, funkcjonariuszy partii".

Komentując to zjawisko na portalu X, polski ekspert relacjonował te nowe podejście nieformalnymi cytatami ze strony swych chińskich rozmówców, których kluczową dominantą jest właśnie przejaw świadomej siebie mocarstwowości. W przypadku Chin nie chodzi zatem o zmianę samej orientacji polityki zagranicznej, a o zajęcie pozycji, w której granie w otwarte karty staje się możliwie bardziej opłacalne i skuteczne niż strategia dotychczasowego niepozornego marszu obliczonego na długofalowe skutki, które właśnie dochodzą do głosu. Wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich podawał przy tym interesujące przykłady z trzech obszarów – regionalnych sporów terytorialnych, gospodarki w ogóle oraz strategii odstraszania nuklearnego. W kwestii dominacji regionalnej stanowisko Chin jest następujące: 20-letnie prawnicze dyskusje o międzynarodowych konwencjach morskich okazały się bezowocne, natomiast fakty są takie, że przewaga militarna Chin na Morzu Południowochińskim jest niekwestionowana, stąd ich roszczenia muszą być uznane: „Kiedy słoń idzie, to może podeptać mrówki. Powinien myśleć o losie mrówek, ale nie miejcie do niego pretensji [jeśli je podepcze]".

Jakóbowski tłumaczył, że w kwestiach gospodarczych Chińczycy otwarcie wskazują na zasadnicze cele ich najnowszego pięcioletniego planu, tj. przygotowanie gospodarki na konfrontację ze Stanami Zjednoczonymi. Przy czym nie chodzi w pierwszym rzędzie o konfrontację

eprasa.pl 2049cc1e0e



zbrojną, a o uzyskanie zupełnej autonomii przemysłowej, odpornej zatem na wstrząsy w postaci międzynarodowych (czytaj: amerykańskich) sankcji i różne embarga. Oddając ponownie głos stronie chińskiej: „Kiedy wygramy konkurencję technologiczną i przemysłową z USA, »pokojowe zjednoczenie« z Tajwanem dokona się samo, bo nikt nie będzie nawet próbował [go zatrzymać]. To »preferowana opcja«, ale kwestia Tajwanu i tak będzie rozwiązana w ciągu 10 lat".

W końcu wspomniany przez eksperta Ośrodka Studiów Wschodnich plan osiągnięcia przez Chiny do 2035 r. parytetów w broni strategicznej ze Stanami Zjednoczonymi i Rosją, czyli awans do światowej ekstraklasy nuklearnej, którego celem ma być utrzymanie chińskiej przewagi wojsk konwencjonalnych w regionie – chodzi o to, aby USA nie mogły rozstrzygnąć ewentualnej wojny, wygrywanej przez Chiny, uderzając w nie jądrowo. Innymi słowy, stabilizacja i zatwierdzenie obecnego układu sił przez atomowy bezpiecznik, wytrącenie Amerykanom z ręki ich ostatniego potencjalnego (choć ryzykownego argumentu): dotychczasowej znaczącej przewagi nuklearnej.

BILANS SIŁ

Z tej interesującej analizy, potwierdzonej przez prof. Bogdana Góralczyka, dyplomatę i jednego z wiodących polskich sinologów, wyłania się obraz Chin nastawionych na wygranie rywalizacji gospodarczo-technologicznej, a w konsekwencji pewnego rozstrzygnięcia na swoją korzyść regionalnej (choć o globalnych skutkach) rywalizacji geopolitycznej, zwieńczającej mocarstwowy status Chin. Ma się rozumieć, przytoczone wypowiedzi świadczą jednak przede wszystkim o próbie pójścia na skróty przez presję psychologiczną wobec oponentów i potencjalnych partnerów: wypadkowa sił i elementów w grze prowadzi do bezwzględnej dominacji Chin, stąd lepiej dogadać się na warunkach Pekinu, niż być zmiecionym przez to, co i tak nieuchronnie nastąpi. Chińskie argumenty co do niepodważalności swej mocarstwowości są jednak częściowo kwestionowane, a to dlatego, że jest ona cały czas szachowana przez zewnętrzne czynniki.

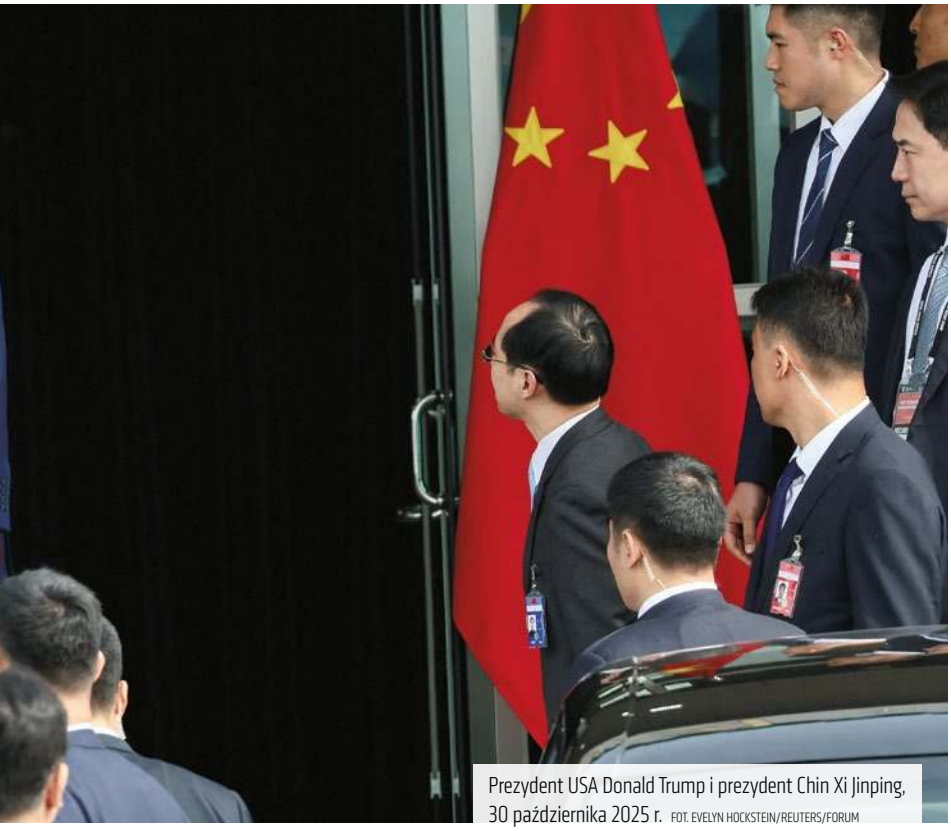
Po pierwsze, na gruncie wojskowym Stany Zjednoczone od dłuższego czasu budują w rejonie Indo-Pacyfiku swego rodzaju miękkie, nieformalne NATO, w ramach strategii „Wolnego i Otwartego Indo-Pacyfiku". Ta miękka sieć sojusznicza, bez formalnych traktatów, skupia wokół USA wielu regionalnych graczy, w tym: Japonię, Australię, Nową Zelandię, Filipiny, Malezję, Koreę Południową, Tajlandię i Wietnam, a nawet Indie.

W kwestii odstraszania Chin przed hipotetyczną inwazją Tajwanu Japonia jest kluczowa z racji swego położenia geograficznego i obecności amerykańskiej armii, a także potencjału własnego. Stąd niedawna deklaracja premier Sanae Takaichi o uznaniu ewentualnego ataku Chin na Tajwan za sytuację zagrażającą przetrwaniu Japonii, co umożliwiłoby jej podjęcie działań zbrojnych poza własnym terytorium. Oznacza to gotowość tego kraju do odegrania jednej z głównych ról w przypadku wojny w Cieśninie Tajwańskiej i na Morzu Wschodniochińskim. Co istotne, brutalną reakcję na to stanowisko chińskiego konsula w Osace, jednego z głównych dyplomatów Chin w Kraju Kwitnącej Wiśni, należałoby, w tym szerszym kontekście, odczytać nie jako indywidualny wybryk, a zamierzoną oficjalną groźbę wobec całego państwa: „Tę brudną szyję, która sama się wtrąca, nie mamy wyboru – musimy ją odciąć bez wahania. Czy jesteście na to gotowi?".

Pytanie Chin, czy Japonia jest rzeczywiście gotowa na ewentualną konfrontację zbrojną wokół Tajwanu, jest pytaniem obosiecznym, ponieważ ostrożne scenariusze gier wojennych wokół tej wyspy, częściowo nawet faworyzujące potencjał chińskiej inwazji, nie wskazują na jednoznaczną wygraną samych Chin. Wprawdzie jeśli wierzyć przeciekom raportów z Pentagonu, same USA mają być świadome niszczycielskiej przewagi chińskich sił zbrojnych, niemniej pytaniem zupełnie otwartym pozostaje kwestia, czy zdobywając mniej lub bardziej rozległe przyczółki na Tajwanie, Chiny byłyby w stanie zająć całą wyspę, podczas gdy utrzymanie tychże przyczółków mogłoby się okazać, na dłuższą metę, niezwykle problematyczne. Innymi słowy, w obecnym bilansie sił, przy zachodzącej możliwości, że konwencjonalna wojna tajwańska okazałaby się dla Chin ślepą uliczką, a której to wojny międzynarodowe konsekwencje handlowe dla Chin byłyby zupełnie niepożądane, mówienie o nieuchronności przyłączenia Tajwanu po dobroci albo siłą jest mimo wszystko narracją głównie propagandową. Czy przypadkiem rzecz się nie ma podobnie w pozostałych obszarach?

Pozostawmy z boku odległą i złożoną, choć jak najbardziej realną kwestię rywalizacji atomowej, gdzie posiadany przez Chiny arsenał – szacowany obecnie na ok. 600 głowic – i tak zdaje się już stanowić wystarczające zaplecze odstraszania nuklearnego. Wprawdzie wyścig w zakresie możliwości sztucznej inteligencji na świecie jest zażarty i brzemienny w skutki, zapewne determinujący w dużej mierze resztę XXI w., to sama technologia ewoluuje przecież cały czas, a w konsekwencji nie da się raz na zawsze rozstrzygnąć rywalizacji technologicznej – można co najwyżej zwiększać swoją przewagę lub nadrabiać niedostatki. Pod tym względem bardziej istotny, z punktu widzenia możliwości technologicznych i przemysłowych, jest położony przez chińskie władze nacisk na zdobycie zupełnej autonomii realizacji tychże możliwości na wypadek wszelakich ograniczeń w łańcuchach dostaw. Innymi słowy, dążenie do uniemożliwie-

eprasa.pl 2049cc1e0e



Prezydent USA Donald Trump i prezydent Chin Xi Jinping, 30 października 2025 r. FOT. EVELYN HOCKSTEIN/REUTERS/FORUM

nia oponentom szachowania własnej gospodarki, co dla mocarstwowości jest rzeczywiście kluczowe.

Problemem nie są tu, w pierwszej mierze, ewentualne luki technologiczne, które w ostatnich dwóch dekadach zostały przez Chiny zręcznie nadrobione z potencjałem na prześcignięcie Zachodu na określonych polach, a stabilne łańcuchy dostaw w kluczowych dlań surowcach (ropa, gaz i węgiel, ruda żelaza, miedź i metale ziem rzadkich, lit i inne metale krytyczne, a nawet zboża), które w dużej mierze opierają się na szlakach morskich. Dramaturgia wokół Tajwanu przesłania być może nieco to, że chińskie siły zbrojne o wiele bardziej potrzebują rozbudowy swej marynarki dla wyartykułowania i utrzymania swej niezależności w skali globalnej, jak ongiś panująca nad wodami Wielka Brytania, niż dla ewentualnej inwazji sąsiedniej wyspy.

Trzeba przy tym zwrócić fakt, że efektywna chińska rywalizacja międzynarodowa maskuje poniekąd problemy jej polityki wewnętrznej. Mimo wojny celnej z USA w 2025 r. rekordowa nadwyżka chińskiej wymiany handlowej przekroczyła bilion dolarów (wzrost o prawie 20 proc. względem poprzedniego roku), natomiast na rynku wewnętrznym Chiny zmagają się ze słabnącą konsumpcją, co stanowi wyzwanie dla utrzymania stabilnego wzrostu gospodarczego (prognozy przewidują spadek PKB od 0,5–1 pkt. proc. względem aktualnego 4,8–5 proc.), a także mierzą się z szybko starzejącym społeczeństwem (coś, co eksperci nazywają „starzeniem się przed wzbogaceniem"). Sytuacja wewnętrzna Chin nie jest jakkolwiek dramatyczna, w zależności od punktu widzenia może być częściowo alarmująca, jednakże wskazywane jeszcze kilka lat temu w Davos za przykład cudu gospodarczego i modelu społecznego Chiny stanęły przed widmem powolnego „zawalania się" od środka, a nacisk położony przez władzę na politykę zewnętrzną ma akurat to do siebie, że do pewnego stopnia odwraca uwagę od kryzysów wewnętrznych.

KONSEKWENCJE DLA POLSKI?

Ta rzeczywista trudność nie zmienia faktu, że Chiny w najbliższym czasie będą kontynuowały swą afirmację regionalnego mocarstwa o konsekwencjach globalnych, wzmacniając z determinacją swoją niezależność, przy jednoczesnej ochronie tego, co dlań najcenniejsze – niebotycznego eksportu tej pierwszej fabryki świata. Stany Zjednoczone zdały się przyjąć ten stan rzeczy na dobre do wiadomości, wypracowując modus vivendi korygujący deficyt swej wymiany handlowej z Państwem Środka, próbując jednocześnie nadrobić swe zaległości w dostępie do metali ziem rzadkich oraz próbując zbilansować przetasowaniem sił coraz większą presję Chin w rejonie Indo-Pacyfiku. Twarda rywalizacja obu mocarstw nie musi jednak oznaczać konfrontacji, a obrany obecnie przez nie kurs zdaje się, w tym kierunku, zwiastować postępującą w najbliższym czasie stabilizację. Co innego w przypadku Unii Europejskiej, której polityka celna z jednej strony jest niewystarczająca do prób skutecznej korekty bilansu wymiany handlowej, z drugiej i tak znajduje się pod presją Pekinu, domagającego się obniżki taryf, zaniechania postępowań antysubsydyjnych, zaniechania koordynacji swej polityki z USA, a w ramach współpracy – domagającego się współdzielenia się (przez Europejczyków) technologią (na rzecz Chin).

Pozbawiona właściwych narzędzi suwerenności gospodarczej, którym jest polityka celna, scedowana w naszym przypadku traktatami na Komisję Europejską Polska oprócz bycia jednym z hubów dostaw chińskich do Europy, czym jest w rzeczywistości, powinna z powodzeniem rywalizować z innymi krajami naszego kontynentu o ściąganie inwestycji chińskiego kapitału, gdzie produkcja na miejscu, etykietowana „Made in UE", pozwala Chińczykom omijać bariery celne. Niestety, prym na tym polu wiodą małe Węgry, po nich zaś Hiszpania, podczas gdy wyższe koszty, w tym niebotyczne koszty energii w naszym kraju, skutecznie odstraszają Chińczyków, czyniąc, w porównaniu z Polską, przy uwzględnieniu ceł, produkcję wciąż bardziej opłacalną w Chinach. Do tego należałoby, w przypadku Warszawy, dodać kwestię niestabilności prawa, które w zależności od nacisków z Brukseli lub Waszyngtonu może niespodziewanie – na zasadzie zawoalowanej wojny gospodarczej – pogorszyć funkcjonowanie obcych inwestycji na naszej ziemi. W 2026 r. Chińczycy będą trzymać się mocno; pytanie – w sumie retoryczne – czy Polska zdąży wejść do ich fabryki, zanim zamkną drzwi…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

Czy Rosja wróci



Adam Wielomski

Wygląda na to, że na naszych oczach rodzi się nowa granica sfer wpływów między Stanami Zjednoczonymi a Federacją Rosyjską na granicy polsko--białoruskiej i na neutralnej Ukrainie. Rosja mogłaby wrócić do biznesu z Europejczykami, ale oni – na razie – sobie tego nie życzą, traktując antyrosyjskość jako katalizator federalizacji UE



Po rosyjskim ataku na Ukrainę w lutym 2022 r. Zachód nałożył sankcje i ogłosił, że Rosja została wykluczona z cywilizowanego świata aż do momentu, gdy jej wojska zostaną wycofane, a Kijów odzyska kontrolę nad całym swoim terytorium, włącznie z utraconymi jeszcze w 2014 r. Krymem i częścią wschodnią Donbasu. Politycy amerykańscy i europejscy byli przekonani, że sankcje ekonomiczne złamią rosyjską gospodarkę i Władimir Putin będzie musiał poprosić o pokój. Ukraina miała bronić się przez kilka miesięcy, aż do załamania się rosyjskiej gospodarki. Potem Rosji miał zostać podyktowany (upokarzający) pokój, za którego cenę ponownie mogłaby zostać uczniem w zrobionej dla niej specjalnej szkółce demokracji i praw człowieka, prowadzonej przez zachodnich polityków i ideologów.

Wszyscy wiemy, że tak się nie stało, głównie dlatego, że dyplomaci i ekonomiści Putina dobrze przygotowali się na tę wojnę, zawczasu znajdując dla rosyjskiej gospodarki zastępczych kontrahentów w Azji. Zresztą odłączenie gospodarki rosyjskiej od zachodniej spowodowało perturbacje ekonomiczne nie tylko w Rosji, lecz także w Europie, która mocno cierpi, utraciwszy dostęp do tanich węglowodorów, co widać po praktycznie zerowym wzroście gospodarczym w Unii Europejskiej. Stąd od czasu do czasu słyszymy, że pewne kręgi niemieckie chciałyby zakończyć wojnę kompromisem i powrócić do poprzedniej współpracy. Mówią o tym głośno politycy AfD, proponujący podział Ukrainy na Dnieprze między strefę rosyjską i zachodnią. Niedawno media donosiły o spotkaniu w jednym z państw arabskich między biznesmenami niemieckimi a rosyjskimi, planującymi powrót do współpracy. Stąd pytanie będące tytułem tego tekstu: Czy Rosja wróci do Europy? Oczywiście mowa o powrocie w ciągu kilku lat po zakończeniu wojny. Nie będę gdybał o geopolityce światowej za 100 lat, gdyż byłoby to opowiadanie typu political fiction.

STANOWISKO PUTINA

Część analityków twierdzi, że Władimir Putin nie zaatakował frontalnie Ukrainy w 2014 r., ponieważ gospodarka rosyjska była zbyt mocno związana z Zachodem, aby przetrzymać sankcje ekonomiczne. Czas między rokiem 2014 a 2022 rosyjscy planiści poświęcili nawiązaniu współpracy i podpisaniu porozumień gospodarczych z Azją, aby stworzyć sobie alternatywne rynki. Słowem, lata te poświęcili przygotowaniu się na moment długotrwałego rozstania się Rosji z Zachodem. Putin nie spodziewał się zatem zakończenia konfliktu w trzy dni, zdobywając Kijów, co Zachód uzna jako fakt dokonany. To, co budzi wątpliwości, to pytanie, czy planował trwałe rozejście się Rosji z Zachodem czy jedynie zakładał taką ewentualność.

Po ponad roku trwania konfliktu zbrojnego, 31 marca 2023 r., Putin podpisał dekret „Koncepcja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej" (tekst dostępny na: kremlin.ru/acts/news/70811). Jest to dokument obszerny, do którego wydrukowania potrzebowałem 40 kartek – rodzaj opracowania uzasadniającego geopolitykę rosyjską. W tekście wskażę centralne zagadnienia.

Po pierwsze, Federacja Rosyjska nie definiuje się jako państwo narodowe lub wielonarodowe stanowiące część większej cywilizacyjnej całości, lecz jako oddzielne imperium-cywilizacja, jako „wspólne terytorium różnych narodów, grup etnicznych, religijnych i językowych określających szczególną sytuację Rosji jako unikalnego państwa cywilizacji, rozległego mocarstwa euroazjatyckiego i europacyficznego, skupiającego naród rosyjski i inne narody tworzące zróżnicowany kulturowo region". Ta wieloetniczność na wspólnej bazie cywilizacyjnej pozwala Rosji patrzeć na samą siebie nie jako na część Wschodu lub Zachodu, lecz jako na jeden z centrów w wielobiegunowym świecie. Status ten wzmacniają stałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ i potencjał militarny, szczególnie nuklearny. To geopolityczne centrum posiada zatem konieczny obszar, potencjał i umocowanie w prawie międzynarodowym.

Po drugie, Putin ogłasza, że na naszych oczach dobiegła końca hegemonia świata atlantyckiego. Źródłem globalizmu i globalizacji są dawny kolonializm i obecny neokolonializm, dający od ok.

eprasa.pl 2049cc1e0e

do Europy?



FOT. ADOBE STOCK

1500 r. przewagę polityczną, ekonomiczną, militarną i ideologiczną Zachodu nad całym światem. Putin określa zachodnie podejście hegemoniczne do reszty świata jako „neoliberalizm", przy czym pojęcie to jest tutaj bardzo pojemne, obejmując neokolonializm, gwałty mocarstw zachodnich na słabszych państwach, polityki sankcji ekonomicznych, zagrożenia duchowe, wiążące się z promocją nietradycyjnych wzorców kulturowych etc. W tej perspektywie oglądane są też sankcje nałożone na Rosję w 2022 r. Dlatego Moskwa postrzega siebie jako czołowy ośrodek oporu przeciw anglosaskiemu „neoliberalizmowi", przedstawiając wizję świata wielobiegunowego, w której każdy z biegunów będzie kierował się własnymi wartościami, wyrastającymi z jego tradycyjnej kultury. Wspominając ekspansję NATO na Wschód i usiłowania przeprowadzenia rewolucji geopolitycznej na świecie poprzez przyłączenie do tego paktu wojskowego Ukrainy, Putin pisze, że „w odpowiedzi na nieprzyjazne działania Zachodu Rosja zamierza bronić swojego prawa do istnienia i swobodnego rozwoju za pomocą wszelkich dostępnych środków".

Rosja odwróciwszy się od Zachodu, nie stoi pod ścianą, gdyż zwraca się ku Azji i grupie BRICS

Po trzecie, w części piątej dekretu znajdujemy opis stosunku Rosji do świata. Federację Rosyjską najbardziej interesuje „bliska zagranica", pod którym to pojęciem Rosjanie rozumieją państwa byłego Związku Sowieckiego (wbrew temu, co często można w Polsce usłyszeć i przeczytać, do tej kategorii niezaliczane są państwa byłego Układu Warszawskiego, a więc i Polska). Moskwa „bliską zagranicę" nadal uważa za teren swoich wpływów. Tym samym Putin podtrzymuje tzw. doktrynę Miedwiediewa, definiującą jako obszar takich wpływów państwa postsowieckie i zamieszkane przez znaczący procent ludności rosyjskojęzycznej.

Dalej dekret omawia znaczenie dla rosyjskiej polityki międzynarodowej Eurazji (szczególnie Chin i Indii), strefę Pacyfiku, świat islamski, Afrykę i Amerykę Łacińską. Dopiero na samym końcu omówione zostają relacje z Europą Zachodnią i ze Stanami Zjednoczonymi, za którymi wspomniano już tylko Antarktydę. Dekret przyjmuje kolejność omówionych połaci naszej planety w zależności od ich wagi dla Rosji, co wskazuje na to, że na samym końcu są Europa – Stany Zjednoczone – Antarktyda. To nie przypadek! Putin charakteryzuje Unię Europejską jako obszar Rosji skrajnie wrogi, z którym imperium nie jest zainteresowane utrzymywaniem bliższych kontaktów, ograniczając je do zaminowania granic (dosłownie). Rosja deklaruje, że odwraca się od Zachodu i interesuje ją rosnąca w siły i ekonomicznie Azja, gdzie nie jest traktowana jako ktoś gorszy, prymitywny i mniej cywilizowany, jak czynią państwa zachodnie, w istocie swojej wyznające rasistowskie i kolonialne idee wobec Słowiańszczyzny. Putin deklaruje, że Rosję interesuje dziś projekt „Partnerstwa Wielkoeurazjatyckiego", budowany we współpracy z Chinami, którego częściami składowymi mają być: Nowy Jedwabny Szlak, BRICS, Szanghajska Organizacja Współpracy, Wspólnota Niepodległych Państw (WNP), Euroazjatycka Unia Gospodarcza, Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, grupa RIC (Rosja, Indie, Chiny). Stosunki z Chinami omawiany dokument określa jako „strategiczne współdziałanie", a z Indiami jako „partnerstwo strategiczne". Celem Federacji Rosyjskiej przestaje być poszukiwanie strategicznych partnerów na Zachodzie, ponieważ jej celem jest „kompleksowe pogłębianie stosunków i koordynacja działań z przyjaznymi suwerennymi światowymi ośrodkami władzy i rozwoju zlokalizowanymi na kontynencie eurazjatyckim oraz zaangażowanymi w podejścia, które są zasadniczo zgodne z rosyjskim podejściem do przyszłego porządku światowego i kluczowych zagadnień polityki światowej".

Słowem, dekret „Koncepcja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej" należy odczytywać jako całkowitą klęskę rosyjskiej koncepcji „zapadnictwa", czyli westernizacji imperium, rozpoczętej przez Piotra I na początku XVIII w. Putin ogłosił tym dokumentem wycofanie

eprasa.pl 2049cc1e0e

się Rosji z polityki europejskiej. Rosja chce wraz z Chinami i Indiami budować konkurencyjny dla Zachodu biegun euraazjatycki, dzieląc świat pomiędzy dwa centra: atlantyckie i eurazjatyckie. Z dokumentu wynika, że na swoich zachodnich granicach dąży do zbudowania sfery buforowej złożonej z przyjaznej jej Białorusi i pomniejszonej terytorialnie oraz wieczyście neutralnej militarnie Ukrainy, które trwale odgrodzą ją od wrogiego jej świata atlantyckiego.

Przedstawiona w omawianym dekrecie rosyjska koncepcja stosunków międzynarodowych nie jest tylko dokumentem propagandowym, gdyż znajduje odzwierciedlenie w wielu wypowiedziach Putina, Siergieja Ławrowa i innych polityków rosyjskich. Rosja rzeczywiście nie szuka dziś kontaktów z Europą Zachodnią, angażując się politycznie w Azji. Byłbym daleki od bagatelizowania tego dokumentu. Pytanie nas interesujące należy postawić inaczej: Czy jest to doktryna na lata lub nawet dziesięciolecia czy też wynika z okoliczności związanych z wojną ukraińsko-rosyjską i czy po jej zakończeniu zostanie zrewidowana lub zarzucona, gdy na samym Zachodzie pojawi się chęć powrotu do współpracy i handlu?

CO NA TO ZACHÓD?

„Koncepcja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej" została opublikowana za prezydentury Joe Bidena, którego administracja stała za nałożeniem na Rosję wszelkich możliwych sankcji i obficie wspierała wywiadowczo, finansowo i uzbrojeniem Ukrainę. Dlatego dekret określał inne państwa zachodnie mianem „satelitów" USA. Od szczytu Trump-Putin w Anchorage na Alasce w sierpniu 2025 r. wiele zaczęło się zmieniać. W prowadzonych negocjacjach pokojowych Trump najwyraźniej uznał, że tocząca się na Ukrainie wojna nie jest jego wojną, a jej wynik jest już przesądzony, i przyjął po części rosyjski plan jej zakończenia. Nowe stanowisko administracji amerykańskiej znalazło też swoje odzwierciedlenie w szeroko w Polsce dyskutowanej nowej amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie czytamy w punkcie IV,3,C, że „celem polityki amerykańskiej jest nie tylko zaprowadzenie pokoju na Ukrainie, lecz także unormowanie relacji rosyjsko-europejskich". Można tutaj nawet znaleźć aluzję, że bez rosyjskiego gazu gospodarka niemiecka nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Nic dziwnego, że przeczytawszy ten dokument, rzecznik prezydenta Rosji Dmitrij Pieskow uznał ją „za pozytywny krok" ku normalizacji relacji rosyjsko-amerykańskich. Generalnie po rozpadzie ZSRS polityka rosyjska jest aideologiczna i bardzo pragmatyczna, nakierowana na własny interes i własną rację stanu. Skoro Stany Zjednoczone są gotowe do współpracy z Federacją Rosyjską, to ta może łatwo i szybko zapomnieć, co w cytowanym dekrecie napisano w 2023 r. o amerykańskim „neoliberalizmie" i jego wrogości wobec Rosji. Jest to zresztą o tyle proste, że w cytowanej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Amerykanie za swoją sferę wpływów expressis verbis uznali Amerykę Łacińską, wracając do doktryny Monroego, ograniczonego izolacjonizmu i za błąd uznając globalizm oraz niedawny amerykański hegemonizm.

Czy ten pragmatyzm dotyczy także Europy? Czy Rosja będzie starała się do współpracy z Europą wrócić? Nie mam wątpliwości, że mimo wszystkich wypowiedzi Putina o braku woli współpracy z Europą potencjalnie Rosja byłaby nią zainteresowana, aczkolwiek już na innych zasadach. Od lat wpływy rosyjskie w Europie Wschodniej się cofały. W latach 90. poprzedniego stulecia, na mocy tzw. doktryny Primakowa, sferą buforową między Rosją a NATO miała być cała Europa Wschodnia, od Odry po Ukrainę. W negocjacjach amerykańsko-rosyjskich i w dekrecie „Koncepcja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej" roszczenia Rosji są geopolitycznie skromniejsze. Moskwa zaakceptowała członkostwo w NATO Polski i państw byłego Układu Warszawskiego, jako bufor wskazując na Białoruś i Ukrainę. Jeśli ktoś chciałby dziś mówić o „nowej Jałcie", to nie ma wątpliwości, że Polska znalazła się po zachodniej stronie linii podziału. Rosja została na trwale zatrzymana po drugiej stronie Bugu, a tereny między Bugiem a Dnieprem mają być strefą buforową między Wschodem a Zachodem, co polskie interesy powinno satysfakcjonować.

Czym innym jest powrót do relacji handlowych między Rosją a Europą Zachodnią. Otóż trudno nie zauważyć, że głównym ich przeciwnikiem są obecne elity Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii. Wojna na Ukrainie jest dla współczesnej Europy odpowiednikiem wojny francusko-pruskiej dla zjednoczenia Niemiec. Otto von Bismarck wywołał ją i prowadził w 1870 r., aby pod hasłem walki z „dziedzicznym wrogiem", czyli Francją, zjednoczyć księstwa niemieckie w II Rzeszę. Elity europejskie dziś potrzebują wojny na Ukrainie, aby podobnie zjednoczyć Europę w duchu jej federalizacji, powołania wspólnej europejskiej polityki zagranicznej i obronnej. Ten projekt geopolityczny wydaje się dla nich istotniejszy niż spowolnienie gospodarcze. Zresztą forsowanie Zielonego Ładu ma wyraźny aspekt antyrosyjski, chodzi w nim bowiem także o energetyczne uniezależnienie się od rosyjskich węglowodorów. Unia Europejska postawiła sprawę na jedną kartę: albo grając kartą antyrosyjską i wspierając Ukrainę, Europa wymusi na państwach członkowskich swoją integrację, przekształcając się w państwo federalne, albo narody europejskie nie wytrzymają tego dociskania śruby, zbiednienia i cały projekt państwa europejskiego rozleci się na kawałki. Za czasów rządów Bidena Bruksela miała po swojej stronie, przeciwko Rosji, Stany Zjednoczone. Dziś stanęła wobec rysującego się partnerstwa amerykańsko-rosyjskiego przeciwko sobie. Putinowska „Koncepcja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej" i Trumpowska Strategia Bezpieczeństwa Narodowego zgodnie traktują Unię Europejską jako swojego wroga.

Reasumując, wygląda na to, że na naszych oczach rodzi się nowa granica sfer wpływów między Stanami Zjednoczonymi a Federacją Rosyjską na granicy polsko-białoruskiej i na neutralnej Ukrainie, odzwierciedlając istniejący układ sił pomiędzy obydwoma mocarstwami. Rosja mogłaby wrócić do biznesu z Europejczykami, ale na razie Europejczycy sobie tego nie życzą, traktując antyrosyjskość jako katalizator federalizacji UE. Moskwa zapewne mogłaby na tej współpracy ekonomicznie skorzystać, ale nie stoi pod ścianą, gdyż zwraca się ku Azji i grupie BRICS. Trump i Putin zgodnie uważają, że piłka jest na połowie Europy i to ona musi coś z nią zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

Będą urodziny czy stypa?



Maciej Szymanowski

W ostatnich latach zaczynamy być postrzegani jako naród pogardzający innymi, także jeśli chodzi o stosunek do partnerów z V4. Jest to w dużej mierze – choć nie tylko – efektem werbalnej agresji prowadzonej wobec przywódców innych państw przez najważniejszych polskich polityków w mediach

Oficjalny, liczący 39 stron Program polskiej prezydencji w Grupie Wyszehradzkiej w latach 2020–2021 zawierał w sumie kilkaset punktów dotyczących potrzeby wypracowania wspólnych stanowisk wobec polityki migracyjnej, podatkowej, fiskalnej i innych projektów forsowanych wówczas przez Brukselę. Ponadto znalazła się w nim deklaracja koordynacji narodowych programów budowy kolei dużych prędkości czy kooperacji instytucji naukowych pracujących nad sztuczną inteligencją i innymi technologicznymi innowacjami. Spora część omawianego dokumentu poświęcona została również kwestiom szeroko pojętego bezpieczeństwa, w tym działań na rzecz „zwiększenia praktycznego udziału V4 w sojuszniczym odstraszaniu i obronie". W trakcie prezydencji odbył się jeden szczyt prezydentów, trzy premierów, 80 na poziomie ministrów i wiceministrów. Będąca dużym sukcesem prezydencja odbywała się w czasach, kiedy co prawda w Bratysławie premier Robert Fico utracił władzę na rzecz swojego partyjnego zastępcy Petra Pellegriniego – dziś zresztą prezydenta państwa – ale rządy w Pradze w najlepsze sprawował Andrej Babiš, w Budapeszcie Viktor Orbán, w Waszyngtonie Donald Trump, a w Moskwie Władimir Putin.

Powołując się na ponoć nienadających się do współpracy partnerów, program kolejnej, zakończonej latem 2025 r. polskiej prezydencji w Grupie Wyszehradzkiej liczył dwie strony, na które składało się pięć programowych zagadnień. Co do spotkań na szczycie, odbyło się jedno: w Wiśle, z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy. Przez rok nie zorganizowaliśmy żadnego spotkania w żadnej sprawie na poziomie premierów oraz żadnego – przynajmniej oficjalnie, na poziomie ministrów. Pomimo że w odróżnieniu od prezydencji z lat 2020–2021 nie były to już czasy pandemii i licznych obostrzeń dotyczących podróży i spotkań.

Stąd zapowiedź ministra Marcina Przydacza z 4 listopada 2025 r. o złożeniu przez prezydenta wizyt w wyszehradzkich stolicach wraz z udziałem w zwołanym przez Węgrów szczycie V4: „Ponieważ to formuła sprawdzona historycznie i skuteczna – zarówno na poziomie unijnym, NATO-wskim, jak i regionalnym", wywołała niemały rezonans. Także za granicą.

IRRACJONALNY BRAK WNIOSKÓW

Prezydent Karol Nawrocki faktycznie złożył następnie (krótkie) wizyty w Bratysławie i Pradze. Wziął też udział w spotkaniu prezydentów V4 w Ostrzyhomiu (Esztergom). Do Budapesztu jednak już nie dojechał, co tłumaczone było wizytą złożoną kilka dni wcześniej przez premiera Viktora Orbána w Moskwie. Jak nietrudno zgadnąć, fakt ten odebrał większe znaczenie polityczne spotkaniu prezydentów V4 w Ostrzyhomiu, jeszcze zanim wspomniani w ogóle udali się w podróż. Dwa tygodnie później w wywiadzie dla kanału „Tak!" prezes Jarosław Kaczyński dyplomatycznie zdystansował się od decyzji odwołania przez prezydenta oficjalnej wizyty w Budapeszcie, uznając ją „za trochę przesadną".

Nie da się ukryć, że w całej tej sprawie jak w soczewce skupiają się problemy i zagadnienia, których w ostatnich latach nie rozumiemy, z którymi nie potrafimy sobie poradzić. No bo przecież nie jest tak, że wszystkie interesy, które mieliśmy do załatwienia w regionie, już załatwiliśmy, że nie mamy o czym dyskutować w Grupie Wyszehradzkiej. Warto tutaj przypomnieć, że chodzi o grupę państw, która mniej więcej od 2010 r. najczęściej spotykała się i współdziałała, zajmując się różnymi zagadnieniami w formule V4 plus – w tym z Niemcami, Ukrainą, państwami bałtyckimi, bałkańskimi czy skandynawskimi – i funkcjonując jako swoiste „twarde jądro" szerszej, środkowoeuropejskiej współpracy.

Podobnie irracjonalne wydaje się niewyciąganie wniosków z tych najbardziej kluczowych aspektów otaczającej nas rzeczywistości. Właśnie w ostatnich latach, jak nigdy wcześniej, zasada równych wobec siebie narodów i państw w Unii Europejskiej zastępowana zostaje polityką nierówności i dyskryminacji, ingerencji w polityczne wybory narodów ją tworzących, włącznie z procesami wyborczymi. Mamy do czynienia z odgórnym narzucaniem rozwiązań, oddziałujących w sposób istotny i długofalowy, pomimo jasnego sprzeciwu wielu członków Unii, jak to się ostatnio dzieje chociażby w przypadku paktu migracyjnego czy traktatu Mercosur. Z kolei za naszą wschodnią granicą od

eprasa.pl 2049cc1e0e



ponad dekady trwa wojna, a jakby tego było mało, graniczymy z dwoma wrogimi nam państwami o charakterze autorytarnym, z których jedno jest mocarstwem atomowym.

Co w takiej sytuacji można zrobić? Po pierwsze, można oczywiście nie robić nic, licząc, że da się przeczekać istniejące problemy albo że zostaną one rozwiązane przez innych. Lepszym rozwiązaniem wydaje się aktywność własna. Wydaje się, ponieważ w polskich warunkach połączona jest ona z krytycznym i nieustannym recenzowaniem aktywności innych państw. „Polacy zawsze muszą z kimś walczyć. Prowadzić wojnę z kimś albo sami z sobą". Taki niebudujący naszego międzynarodowego prestiżu gorzki dowcip nie dowcip nie od wczoraj można usłyszeć czy przeczytać w wielu krajach. W tym oczywiście tych najbliżej nas położonych. Gorzej, że w ostatnich latach zaczynamy być postrzegani jako naród pogardzający innymi. Także w sposób całkowicie otwarty, co jest w dużej mierze – choć nie tylko – efektem werbalnej agresji prowadzonej wobec przywódców innych państw przez najważniejszych polskich polityków w mediach, w tym na własnych kontach w mediach społecznościowych. Mamy do czynienia z celowym używaniem krzywdzących słów i porównań, mowy nienawiści, celem tzw. ramowania i manipulacji opinią publiczną: polską i zagraniczną. Wypisz wymaluj jest to jakby żywcem wzorowane na opracowanym przez amerykańskiego psychologa i teoretyka dezinformacji Gordona Allporta modelu eskalacji w postaci piramidy pogardy.

W Polsce przyzwyczailiśmy się już co prawda do tego, niestety, że ostro atakuje się politycznego przeciwnika – obojętnie, czy rzeczywistego czy wykreowanego, zwłaszcza w sytuacji, kiedy brak kontrargumentów; że nadaje się zdarzeniom nieadekwatne im znaczenie czy też do traktowania już niemal każdej kwestii międzynarodowej według metody reductio ad Hitlerum, obecnie funkcjonującej w wersji reductio ad Putinum. Jednak dla zagranicznych polityków czy dziennikarzy często bywa szokiem, w jaki sposób reprezentujący ich samych oraz ich państwo przywódcy są publicznie określani, aby nie powiedzieć lżeni, przez czołowych polskich polityków. I oby to było jasne, konstatacja ta nie dotyczy tylko najwyższych pięter władzy obecnego rządu, bo omawiane zjawisko zaczęło się ładnych parę lat wcześniej. Obecny rząd i media go wspierające jedynie jeszcze bardziej podkręciły potencjometr. Czego ofiarami ataków padają premierzy Fico, Babiš oraz oczywiście Orbán – „zdrajca" lewicowego liberalizmu oraz „przyjaciel z boiska" (który nawiasem mówiąc, wśród zagranicznych premierów chyba faktycznie najczęściej swego czasu wybiegał z Donaldem Tuskiem na murawę).

REAKCJE NA WIZYTY

Już po tym, tylko pokrótce powyżej nakreślonym kontekście widać skalę wyzwania, przed którym stanął w swoich wyszehradzkich podróżach prezydent Nawrocki. Warto się teraz, i to zdanie po zdaniu, przyjrzeć reakcjom, jakie zostały wywołane na miejscu. Na pytanie „Do Rzeczy", jak wypadła wizyta w Bratysławie, specjalizujący się w tematyce polskiej i – szerzej – środkowoeuropejskiej zastępca redaktora naczelnego dziennika „Postoj" Jozef Majchrák odpowiedział krótko: „Była udana. Głównie z tego powodu, że się odbyła. To była pierwsza oficjalna wizyta wysoko postawionego polityka z Polski od czasu objęcia władzy przez rząd Roberta Ficy [październik roku 2023]. Dotąd doszło jedynie do dziwnego, nieoficjalnego spotkania Ficy z Tuskiem w Jaworzynie Tatrzańskiej. Dlatego na Słowacji panowało wrażenie, że Warszawa nas ignoruje […]. Z drugiej strony, Słowacja prawdopodobnie spodziewała się, że wizyta ta nada większy impuls ożywieniu V4, ale z wypowiedzi Nawrockiego nie wynikało to jednoznacznie".

Na tożsame pytanie redaktor naczelny portalu informacyjnego Marker.sk Jaroslav Daniška z kolei odrzekł: „Wizyta w Bratysławie okazała się sukcesem. Odkąd polski rząd zablokował V4, Grupa Wyszehradzka nie funkcjonuje. Nawrocki przyjechał z uśmiechem oraz z bliską nam wizją współpracy z Ukrainą. Nie robił z premiera Ficy demona ani polityka prorosyjskiego, którym zresztą nie jest. Ważne, że realistycznie postrzega Unię Europejską. Lewicowo-liberalne media próbowały marginalizować wizytę

eprasa.pl 2049cc1e0e


FOT. ADOBE STOCK

Nawrockiego, ale ponieważ Tusk nie ma czasu na Bratysławę, a Sikorski nie ma na nią ochoty, Nawrocki stał się w ten sposób kluczową postacią dla dalszych polsko-słowackich relacji".

Dyrektor Stowarzyszenia Polityki Międzynarodowej AMO w Pradze Vít Dostál tak z kolei podsumował wizytę prezydenta złożoną na Hradczanach 24 listopada br.: „Przebiegła dobrze. I najważniejsze: przebiegła. Nie licząc Rosji, Białorusi i Ukrainy staliśmy się ostatnim odwiedzonym sąsiadem Polski. Wykład prezydenta na Uniwersytecie Karola nie odbił się zbyt głośnym echem. Pomijając reakcje różnych krzykaczy, którzy wystąpienia najwidoczniej nie zrozumieli, a często do tego przekręcali jego treść w swoich reakcjach".

Na nie mniej ważny aspekt wizyty w Pradze zwrócił uwagę wykładowca Uniwersytetu CEVRO Jaroslav Kuchyňa: „Kancelaria prezydencka za późno zaprosiła Karola Nawrockiego do Czech. Stanowczo za późno! Wizyta odbyła się w najgorszym możliwym terminie, kiedy wciąż brak było nowego rządu. Do tego Praga zabiega na potęgę o względy Bratysławy, zapominając o potrzebie prowadzenia środkowoeuropejskiej Realpolitik. To nie Bratysława, a Warszawa powinna być partnerem nr 1 w regionie. A jeśli Warszawa – to przede wszystkim Nawrocki".

Ostatnim przystankiem w podróży po Europie Środkowej stał się szczyt prezydentów V4 w węgierskim Ostrzyhomiu 3 grudnia, po którym nie wydano wspólnego oświadczenia, kwalifikując tym samym całe spotkanie w zasadzie jako udane, bo się odbyło. Anonsowane wcześniej – tu ciekawostka: tylko przez stronę polską – spotkanie z premierem Orbánem nie odbyło się, jak już było wspomniane na wstępie.

Podsumowanie szczytu V4 i odbytych podróży stwierdzeniem „udane, bo się odbyły" byłoby jednak krzywdzące. A zaniechanie środkowoeuropejskiej ofensywy, parafrazując klasyka: nie byłoby nawet błędem, ale głupotą, biorąc pod uwagę skalę stojących przed nami wyzwań w roku 2026 i latach kolejnych. Dlatego nie zaszkodziłoby kierowanie się dewizą: chłodna głowa, dialog i współdziałanie – wychodząc z przeświadczenia, że w Europie Środkowej nie ma małych narodów, co najwyżej są narody mniej liczne. W imię zwiększania szans na realizację własnych interesów i racji stanu. W imię działania na rzecz stabilizacji regionu jako całości. Grupa Wyszehradzka – działające najdłużej i cieszące się największą rozpoznawalnością w świecie środkowoeuropejskie porozumienie regionalne – powstała w końcu przede wszystkim po to, aby państwa regionu nie wpadły w koleiny z lat 1918–1938 – kiedy, najkrócej rzecz ujmując, wszyscy podkładali nogę wszystkim na arenie międzynarodowej. Z wiadomym skutkiem: utraty niepodległości na pół wieku oraz cywilizacyjnym zacofaniem w pakiecie dla wszystkich. Bez Grupy Wyszehradzkiej nie byłoby tak aksamitnego rozpadu Czechosłowacji, jakim się on okazał. Ani tak dobrych jak dzisiaj stosunków słowacko-węgierskich. Nie byłoby szybszej ścieżki członkostwa do NATO i UE. Obchodzilibyśmy właśnie 10. rocznicę obowiązywania paktu migracyjnego w Polsce. Paktu, który w przyszłym roku wchodzi w życie właśnie dlatego, że udało się rozbić na różne sposoby wewnętrzną spójność porozumienia. Nie powstała tym razem w UE żadna grupa inicjatywna z silnym udziałem środkowoeuropejskich państw, do której przyłączyłyby się też niektóre z tych, gdzie doktryna poprawności politycznej w życiu politycznym odgrywa większą rolę, niż to jest nad Wisłą, Wełtawą czy Dunajem. Nie powstała tym samym skuteczna mniejszość blokująca.

Niedawne spotkanie prezydentów V4 w Ostrzyhomiu zostało uznane w zasadzie za udane, bo się odbyło

TRZECI MOTOR UE?

Wątpliwe wydaje się również, aby bez wskrzeszenia współpracy wyszehradzkiej mogło udać się dobre spożytkowanie wszystkich potencjalnych korzyści, zarysowanych w nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA, zwłaszcza w punkcie „Wzmacnianie »zdrowszych« państw Europy Środkowej, Wschodniej i Południowej poprzez więzi handlowe, sprzedaż uzbrojenia, współpracę polityczną oraz wymianę kulturalną i edukacyjną".

Z całą pewnością można jednak stwierdzić, że Grupa Wyszehradzka oraz kwestia efektywnej współpracy środkowoeuropejskiej w ogóle znajdują się w przełomowym momencie. Przypadająca na 15 lutego przyszłego roku 35. rocznica powstania Grupy Wyszehradzkiej może być obchodzona zarówno jako kolejne urodziny, jak i stypa. W czasach ścisłej współpracy wielu analityków i znawców tematyki twierdziło, że obok Niemiec i Francji V4 to nowy, trzeci motor Unii Europejskiej.

W chwili, kiedy powstaje niniejszy tekst, w tzw. przeglądarce AI po wpisaniu frazy „V4 nowym motorem UE" otrzymujemy następującą odpowiedź: „Silnik V4 jest nowym, rewolucyjnym motorem napędowym dla europejskiej branży motocyklowej, szczególnie w segmencie sportowym, zdominowanym przez Ducati". Na szczęście to jednak zdanie tylko sztucznej inteligencji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 2049cc1e0e



Łukasz Warzecha



FOT. ADOBESTOCK

Dlaczego UE się nie liczy

W globalnej rywalizacji, czy to o charakterze pokojowym, czy – nie daj Boże – zbrojnym, nie liczy się podmiot targany wewnętrznymi niepokojami, napięciami i przede wszystkim wytrwale sabotujący własny rozwój gospodarczy. Tak właśnie zdiagnozowali sytuację Unii Europejskiej autorzy nowej amerykańskiej strategii bezpieczeństwa

Jedna z najważniejszych łacińskich sentencji powiada: „historia magistra vitae est". Upamiętnił je Cyceron w dziele „De oratore". Wszystko wskazuje jednak na to, że nauki Cycerona nie cieszą się estymą w elitach Unii Europejskiej. A może po prostu są tam nieznane – w końcu elita w porażającym tempie głupieje.

Tymczasem historia daje nam nie tylko na przestrzeni wieków, lecz także w czasie całkiem niedawnym oczywiste lekcje, które europejskie stolice postanowiły uparcie lekceważyć. Żyjemy wszak ponoć w czasie niezwykle ryzykownym, a niektórzy powiedzieliby nawet: przedwojennym. Viktor Orbán przestrzega, że UE ma być gotowa i nawet zainicjować wojnę z Rosją do 2030 r. (mówi to co prawda u progu roku wyborczego i do Węgrów). Mark Rutte, sekretarz generalny NATO, oznajmia, że musimy być gotowi na wojnę, jaką znali nasi dziadkowie i pradziadkowie. Doprawdy?

LEKCJA DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Spójrzmy zatem na lekcję z lat 30. i czasu drugiego światowego konfliktu. W istocie druga wojna światowa była przede wszystkim czasem zmagań siły gospodarczej, wydolności państw, a w jakiejś mierze również motywacji poszczególnych krajów, choć z naszych własnych szczególnych doświadczeń i popkultury kojarzymy ją częściej z bitwami, ludobójstwem i czystą polityką. Z niewielką przesadą można jednak powiedzieć, że wojnę wygrały gospodarki znacznie bardziej niż żołnierze.

Niemcy mogły pozwolić sobie na bardzo asertywną politykę przed wrześniem 1939 r., ponieważ odrzuciły ograniczenia gospodarcze wynikające z pokoju wersalskiego i w bezwzględny sposób nastawiły się całkowicie na produkcję wojenną. Byłoby to oczywiście nie do utrzymania w dłuższym okresie bez spożytkowania efektów takiego kursu. Inaczej mówiąc – musiało się skończyć rozpoczęciem wojny, ponieważ w przeciwnym wypadku system uległby szybkiemu zawaleniu.

Polska nie miała żadnych szans, dysponując bez porównania mniejszymi siłami niż nasz sąsiad, co wynikało ze znacznie gorszej pozycji gospodarczej. Polska produkcja przemysłowa pod koniec istnienia II RP dopiero doganiała tę sprzed pierwszej wojny światowej. Nasz PKB wynosił wówczas niecałe 80 mld dol. (ówczesnej wartości), niemiecki zaś ponad 380 mld dol.

Związek Sowiecki nie ugiął się pod niemiecką nawałą w 1941 r. z powodu swojej głębi strategicznej i ogromnej ilości zasobów naturalnych oraz ludzkich – czyli z tego samego powodu, dla którego bez większych problemów jest

eprasa.pl 2049cc1e0e



w stanie prowadzić wojnę z Ukrainą przez czas porównywalny już z okresem trwania pierwszej wojny światowej. Po napaści Niemiec na ZSRS swoje zrobiła oczywiście amerykańska i brytyjska pomoc. Sprawę przeważyło przystąpienie do wojny światowej potęgi gospodarczej – Stanów Zjednoczonych, których PKB w 1941 r. przytłaczał wszystkie inne gospodarki świata i wynosił 1,6 bln dol.

Niemcy zaczęły wojnę przegrywać przede wszystkim z powodu odcięcia od surowców naturalnych na wschodzie Europy oraz wskutek systematycznej erozji potencjału gospodarczego, niszczonego alianckimi bombardowaniami. Na to nakładały się jeszcze inne względy, takie jak choćby upodobanie do tworzenia przekombinowanych konstrukcji broni pancernej, wymagających precyzji i dużych nakładów, co stało w kontraście z masową produkcją relatywnie prostych maszyn przez Związek Sowiecki.

Gdzie w tym wszystkim Unia Europejska i jaki ma to związek z jej obecną sytuacją? Ten związek jest oczywisty: w globalnej rywalizacji, czy to o charakterze pokojowym, czy – nie daj Boże – zbrojnym, nie liczy się podmiot targany wewnętrznymi niepokojami, napięciami i przede wszystkim wytrwale sabotujący własny rozwój gospodarczy. Tak właśnie zdiagnozowali sytuację UE autorzy nowej amerykańskiej strategii bezpieczeństwa. Czytamy tam: „Kontynentalna Europa traci swój udział w światowym PKB – z 25 proc. w 1990 r. do 14 proc. obecnie – częściowo wskutek krajowych i ponadnarodowych regulacji, krępujących kreatywność i przedsiębiorczość". Dalej strategia opisuje upadek cywilizacyjny kontynentu, celnie wiążąc tę kwestię z siłą państw. „Jeżeli obecne trendy będą kontynuowane, to za 20 lat albo mniej kontynent zmieni się nie do poznania" – czytamy. Trudno się z tym nie zgodzić.

SZALONA WIZJA

Dosłownie kilka dni po publikacji amerykańskiej doktryny pomiędzy Parlamentem Europejskim a Komisją Europejską zawarte zostało porozumienie, dotyczące ustanowienia pośredniego progu redukcji emisji CO_2 o 90 proc. w stosunku do roku 1990, co ma zostać osiągnięte do 2040 r., czyli w ciągu zaledwie 15 lat. Gdy jakiś czas temu o takim rozwiązaniu mówiła wiceminister klimatu Urszula Zielińska z Zielonych (KO) – bodaj najbardziej niekompetentna osoba w polskim rządzie (choć konkurencja jest olbrzymia, zwłaszcza w resorcie kierowanym przez Paulinę Hennig-Kloskę) – wyśmiewano ją jako klimatystyczną oszołomkę. Niestety, jej szalona wizja staje się częścią oficjalnej polityki UE.

To samo porozumienie zakłada opóźnienie wejścia w życie morderczego podatku klimatycznego ETS2 o rok, do 2028 r. Nic dziwnego, skoro w roku 2027 odbędą się wybory w Polsce, na Słowacji, we Włoszech, w Bułgarii i Hiszpanii. Oczywiście roczne opóźnienie niczego nie zmienia. Podatek nie stanie się przez to mniej niszczący.

Opublikowany na początku 2024 r. raport Instytutu Rousseau (skądinąd gorąco wspierającego „zieloną transformację") stwierdzał, że dla osiągnięcia zeroemisyjności UE trzeba będzie „zainwestować" do roku 2050 40 bln euro (bilion to tysiąc miliardów), czyli 10 proc. PKB UE, rocznie ponad 1,5 bln euro. Na jednego pracującego Europejczyka wychodzi 7400 euro rocznie.

W życie wchodzi unijne cło węglowe, czyli CBAM. To kolejne piętro absurdu. Po obciążeniu unijnej produkcji ogromnymi kosztami polityki klimatycznej firmy zaczęły sprowadzać produkty takie jak stal spoza obszaru UE, a więc z regionów, gdzie ich wytwarzanie jest znacznie tańsze. Aby zapobiec tej naturalnej ucieczce przed nonsensownymi kosztami, utworzono właśnie Carbon Border Adjustment Mechanism, który obejmuje produkty takie jak żelazo, stal, cement, aluminium, nawozy czy wodór. Importerzy tychże będą musieli sprostać rozdętej do absurdu unijnej biurokracji, aby szczegółowo wykazać, skąd sprowadzane przez nich produkty pochodzą (nie chodzi jedynie o kraj, ważne jest konkretne miejsce wydobycia czy wytworzenia), a potem zapłacić odpowiednie cło, powiązane z emisją CO_2, jaka wiąże się z powstaniem danego materiału. Jest to zatem próba rozwiązania problemu, który samemu się stworzyło.

Podobnie zresztą rzecz wygląda, gdy idzie o rzekome „korzyści" z elementów zielonego ładu. Fundacja SET opublikowała dopiero co raport o skutkach wdrożenia w Polsce dyrektywy Energy Performance of Buildings Directive (EPBD), znanej jako dyrektywa budynkowa. Wyliczone przez ekspertów fundacji koszty wprowadzenia regulacji w Polsce do 2050 r. – gdy wszystkie budynki powinny być „zeroemisyjne" – są porażające: to 2,5 bln zł! Na jednego pracującego Polaka przypada zatem ok. 170 tys. zł. A mówimy jedynie o kosztach w Polsce. Przecież nie tylko nas dyrektywa EPBD obowiązuje.

Zwolennicy tej regulacji powtarzają, że renowacja budynków (to termin stosowany w dyrektywie) zgodnie z wyznaczonymi przez nią standardami da „oszczędności". To wyjątkowo perfidna argumentacja.

Po pierwsze – dotychczas przechodzenie na odnawialne źródła energii nie tylko nie obniżyło rachunków za prąd czy ogrzewanie, lecz także sprawiło, że rosną one przez cały czas. To dotyczy zresztą w zasadzie wszystkich elementów „zielonej" polityki. Każdy z nich – choćby dyrektywa Single Use Plastics, regulująca opłaty za jednorazowe plastikowe opakowania do napojów czy sztućce – oznacza kolejne koszty. Obietnica rzekomych oszczędności pozostaje jedynie obietnicą dla infantylnie naiwnych.

W 2024 r. średnia cena 1 kWh w UE sięgnęła 19,9 eurocenta, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych wynosiła

eprasa.pl 2049cc1e0e

7,5 eurocenta, a w Chinach 8,2 eurocenta. Już samo to pokazuje, jak bardzo UE nie ma szans w tej konkurencji. O tym, że ceny energii są dla UE niszczące, mówi się w Brukseli od kilku lat coraz głośniej. Taką diagnozę – dość oczywistą – stawiał również słynny raport Draghiego, zamówiony przez Komisję Europejską pod koniec pierwszej kadencji Ursuli von der Leyen. Jednak na diagnozie problemu się kończy. Jedyną odpowiedzią, której są w stanie udzielić europejscy stratedzy, jest „więcej zielonej energii!". Takiej również odpowiedzi udzielił grupie polskich dziennikarzy urzędnik duńskiego resortu spraw zagranicznych w trakcie wizyty studyjnej na początku listopada, pytany o sposób na rujnujące dla obywateli oraz biznesów rachunki. Wspomniane wcześniej porozumienie KE i PE w sprawie częściowego celu redukcji CO_2 było ambicją właśnie duńskiej prezydencji w Radzie UE, kończącej się w grudniu.

Po drugie – owe rzekome oszczędności mogłyby wynikać jedynie ze sztucznie narzuconego na energię wytwarzaną tradycyjnie opodatkowania. Inaczej mówiąc – jeśli arbitralnie odpowiednio wysoko ustawimy punkt odniesienia, nietrudno będzie wskazać, że możemy osiągnąć jakieś „oszczędności". Pod tym względem (nie tylko zresztą pod tym) Unia przypomina komunistyczną Polskę i inne państwa demoludów. Gdy odpowiedni partyjny komitet myślał nad kolejnym rocznym planem produkcji, jego przedstawiciele kontaktowali się z państwowymi (innych wszak nie było) zjednoczeniami – czyli komunistycznym odpowiednikiem obecnych korporacji przemysłowych – i pytali: „Ile tam, towarzysze, tak realnie jesteście w stanie wyprodukować tych snopowiązałek?". Towarzysze ze zjednoczenia oznajmiali, że rocznie, jak się postarają, to zrobią tysiąc. „No dobrze, to do planu wpiszemy 800, żebyście go mogli, towarzysze, przekroczyć". W ten sposób można potem było opublikować w „Trybunie Ludu" triumfalny tekst o tym, jak to dzielni polscy państwowi producenci kolejny raz przekroczyli plan o całe 200 sztuk!

Identycznie działa to w UE. Jeżeli obłożono energię z konwencjonalnych źródeł – z węgla, gazu, ropy – dodatkowymi obciążeniami, to energia z OZE, owszem, może się okazać korzystniejsza cenowo, ale przecież nie wynika to z żadnego procesu rynkowego, ale z opodatkowania alternatywy. Tym samym odbiorca końcowy oczywiście zapłaci więcej, nie mniej. Jego „oszczędność" będzie całkowicie iluzoryczna.

Gdy idzie o uzasadnianie polityki klimatycznej UE, akcenty się przesunęły. Znacznie mniej urzędnicy i politycy mówią dzisiaj o zmianach klimatu. Być może dlatego, że co chwila pojawiają się badania mniej lub bardziej radykalnie podważające dogmat o przemożnym ludzkim wpływie na klimat. Obecnie dominuje opowieść o tym, że Unia musi się uniezależnić od zewnętrznych źródeł energii w imię świetlanej gospodarczej przyszłości, a radą na to ma być właśnie radykalne przekierowanie na energię odnawialną w powiązaniu z atomem oraz z uzupełnieniem w postaci innych elementów „zielonej" strategii (EPBD, SUP, EUDR – czyli dyrektywa „o wylesianiu", ESG – tzw. raportowanie niefinansowe i niezliczone inne przepisy, obciążające firmy i obywateli). Ta energetyczna niezależność ma być jej gospodarczym atutem w rywalizacji z Chinami i ze Stanami Zjednoczonymi. Problem w tym, że miks energetyczny się nie spina, a koszt tak sformułowanego celu – niezależnie od tego, że nie da się go osiągnąć – jest tak niszczący, że UE po prostu nie dotrwa w obecnej postaci do realizacji swoich utopijnych wizji.

Więcej brukselskiej arogancji, a wkrótce za wyjściem z UE może być nie jedna czwarta, ale jedna trzecia Polaków

RESENTYMENT ANTYUNIJNY

Jasne jest, że zarówno Pekin – dopasowujący swój zielony kurs do możliwości chińskiego państwa i dbający, aby nie naruszył on równowagi społecznej i wzrostu gospodarczego – jak i Waszyngton pod kierownictwem Donalda Trumpa doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak przemożna jest słabość UE, którą ta sama na siebie sprowadziła. Ta niewydolność jest przecież wyraźnie widoczna w przypadku głównych aktorów europejskiej gry. Francja trwa w stanie permanentnego kryzysu politycznego, a struktury państwowe pękają pod obciążeniem imigrantów. W Niemczech kryzys dotyka coraz większych grup, co ma odbicie w sondażach popularności kanclerza Friedricha Merza. W listopadzie pozytywnie jego rządy oceniało zaledwie 25 proc. respondentów, a jedynie 18 proc. chciało, aby ponownie objął urząd kanclerza federalnego po wyborach w 2029 r. To najgorsze wyniki niemieckiego polityka na tym etapie rządów i na tym stanowisku od dekad. Włochy uzależnione są od finansowej kroplówki z Europejskiego Banku Centralnego.

W niedawnym wywiadzie dla Politico Donald Trump pytany o Europę powiedział: „Oni za dużo gadają. Tylko gadają". Z kolei amerykańska strategia bezpieczeństwa podkreśla, że naczelnymi aktorami międzynarodowej gry pozostają państwa narodowe. To kolejny problem UE. Podczas gdy w Chinach decyzje podejmuje wąskie Biuro Polityczne KPCh, a najczęściej po prostu jednoosobowo Xi Jinping; gdy w USA kompetencje prezydenta są bardzo szerokie, proces decyzyjny w UE jest rozwlekły i gdy w Ameryce oraz Chinach dana decyzja dawno już jest w realizacji, w Unii proces jej podejmowania jest dopiero w jednej trzeciej.

Niestety, główny nurt UE wyciąga z tego całkowicie błędny wniosek – od lat ten sam: że radą jest ściślejsze zjednoczenie i jeszcze więcej integracji. Jest dokładnie odwrotnie: absurdalnie długie procedury decyzyjne w UE wynikają z jej rozdętych i cały czas poszerzanych kompetencji, te zaś dodatkowo wywołują resentyment antyunijny. Niedawno francuski geopolityczny magazyn „Le Grand Continent" opublikował sondaż o stosunku obywateli dziewięciu krajów UE do wspólnoty. Polska okazała się drugim w kolejności najbardziej eurosceptycznym państwem zaraz po – uwaga! – Francji. Pozostania w UE chce 69 proc. Polaków, podczas gdy aż 25 proc. chciałoby ją opuścić (we Francji jest to 61 i 27 proc., średnia w badaniu to 74 i 19 proc.). Więcej Zielonego Ładu i jego kosztów, więcej brukselskiej arogancji, a wkrótce za wyjściem z UE może być nie jedna czwarta, ale jedna trzecia Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 2049cc1e0e

Linoskoczek Morawiecki



Piotr Semka



FOT. IMAGO/PAP

Sporo polityków PiS obawia się, że Morawiecki mimowolnie lub – w wypadku najbardziej oskarżycielskich opinii – na zlecenie z zewnątrz gra na rozbicie i osłabienie partii. Jak się ma to do faktów?

Czy media trzymające stronę obozu Tuska mogły wymarzyć sobie lepszy koniec roku opisywania kryzysu Prawa i Sprawiedliwości? Bardzo pewny siebie wywiad Mateusza Morawieckiego dla portalu Gazeta.pl, absencja byłego premiera na posiedzeniu kierownictwa partii 12 grudnia, ostre zderzenie na linii Morawiecki – Jacek Kurski i wreszcie dwa następujące po sobie świąteczne spotkania PiS 16 grudnia – było o czym pisać. Sytuacja stała się aż tak napięta, że dopiero rozmowa telefoniczna na linii Jarosław Kaczyński – Mateusz Morawiecki ponoć załagodziła spory.

Skąd tak wiele emocji? Każda ze stron tego sporu czuje się zagrożona. Drużyna Morawieckiego lęka się, że część polityków PiS chce wypchnąć ich patrona z partii. Z kolei sporo polityków PiS obawia się, że Morawiecki mimowolnie lub – w wypadku najbardziej oskarżycielskich opinii – na zlecenie z zewnątrz gra na rozbicie i osłabienie partii. Jak się ma to do faktów? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa w sytuacji, gdy w grę wchodzą podejrzenia i obawy.

Niełatwy jest los szefa rządu, który stosunkowo niedawno odszedł ze stanowiska. Świeże są jeszcze nie tylko wszelkie pretensje politycznych rywali, lecz także tych wszystkich, którzy wiążą z byłym premierem polityczną przegraną w ostatnich wyborach. Morawiecki i tak był w dosyć dobrej sytuacji, bo po wyborach 15 października 2023 r. otrzymał swoiste przedłużenie wcześniejszej misji poprzez trwające ponad miesiąc próby stworzenia rządu w wyniku mandatu udzielonego mu przez prezydenta Andrzeja Dudę. Potem na korzyść Morawieckiego zadziałał fakt, że prezes Jarosław Kaczyński bardzo zdecydowanie uciął wszelkie dyskusje na temat wyniku wyborczego.

Trzeba przyznać, że Morawiecki, mimo niekorzystnego dla PiS rozstrzygnięcia wyborów z 2023 r., nie popadł w bezruch. Okazał się politykiem niezwykle żywotnym i aktywnym po objęciu władzy przez Donalda Tuska. Wyraźnie też szukał dla siebie takich ról, które mogłyby wywołać uznanie u Jarosława Kaczyńskiego. Były premier aktywny był w trzech kierunkach. Po pierwsze, chętnie wchodził w rolę fachowca od ekonomii, który na bieżąco oceniał i krytykował politykę w nowej koalicji. Po drugie, gdy tylko zauważył, że Konfederacja na czele ze Sławomirem Mentzenem zaczyna być dla PiS realną konkurencją, chętnie zaczął występować w roli merytorycznego polemisty Mentzena. I trzeba przyznać, że w tej roli całkiem nieźle się sprawdził. 28 sierpnia 2025 r. Morawiecki odważnie przyjął zaproszenie na tzw. piwo z Mentzenem. Mentzen ewidentnie chciał ośmieszyć Morawieckiego, ale wpadł we własne sidła. Według wielu opinii Mentzen został zmiażdżony przez byłego premiera, który przy okazji wykazał się zarówno swobodą zachowania, jak i dowcipem. I znów, jeśli wierzyć plotkom z okolic Nowogrodzkiej, to przytyczek w nos Mentzena tak usatysfakcjonował Jarosława Kaczyńskiego, że ponoć ten miał bardzo gorąco komplementować polityka z Wrocławia. Trzecim polem, na którym Morawiecki zdobywał punkty dla PiS, jest polityka zagraniczna partii, w ramach której Morawiecki dba o specjalne relacje z wpływową w Europie premier Giorgią Meloni.

Tyle że te sukcesy z czasem skłoniły Morawieckiego do zbytniej pewności siebie. I tutaj fałszywe kroki Morawiecki postawił w czasie wywiadu z Grzegorzem Sroczyńskim dla portalu Gazeta.pl. Po pierwsze, stworzył wrażenie, jakby był pewny, że po wyborach w 2027 r. na pewno będzie nowym szefem ewentualnego PiS-owskiego gabinetu. Po drugie zaś, dość zdecydowanie odciął się od Zbigniewa Ziobry. Na pytanie, czy jeśli zostanie w przyszłości premierem, widziałby Zbigniewa Ziobrę ponownie w roli ministra sprawiedliwości, Morawiecki odpowiedział zdecydowanie, że nie. Posunął się nawet dalej. Na pytanie, czy przyjąłby w przyszłości premierostwo, gdyby wiązało się to z oddaniem teki ministra sprawiedliwości Ziobrze, Morawiecki zaznaczył, że

eprasa.pl 2049cc1e0e

nie zdecydowałby się na taki wariant. Ten wywiad z 18 listopada bardzo rozgoryczył szczególnie tzw. ziobrystów, którzy uznali, że odcinanie się od Ziobry znajdującego się na celowniku ekipy Tuska jest przejawem braku lojalności. Morawiecki z kolei ze swej strony miał powody do rozżalenia. Publicznie dał wyraz swej irytacji, że nie został zaproszony do debaty w trakcie dwudniowej konwencji programowej PiS pod hasłem: „Myśląc Polska" w Katowicach 24 i 25 października. Było jasne, że przy tak wyraźnych ambicjach byłego premiera pominięcie go przy okazji konstruowania kształtu katowickiego spotkania będzie uznane przez Morawieckiego za wypychanie go z partii.

I wtedy w PiS rozeszły się plotki, że 12 grudnia na spotkaniu na Podkarpaciu Morawiecki wraz z Beatą Szydło i Danielem Obajtkiem mają ogłosić jakąś secesyjną formułę partyjną. Te plotki się nie sprawdziły, ale skłoniły np. Jacka Sasina do licznych medialnych krytyk Morawieckiego za kreowanie się na przyszłego szefa rządu PiS. I tak zaczęła się spirala konfliktu, która doprowadziła najpierw do znaczącej absencji byłego premiera na posiedzeniu władz partii 12 grudnia, a potem do zorganizowania drugiego spotkania opłatkowego już po oficjalnym opłatku w siedzibie partii na Nowogrodzkiej z udziałem Jarosława Kaczyńskiego.

Tym samym Morawiecki pokazał partii, że ma swoje własne zaplecze. I dotyczyło to nie tylko tzw. grupy harcerzy, czyli młodych chłopców PiS, którzy tworzyli jego team w latach 2019–2023, ale że udało mu się ściągnąć na własny opłatek tak ważne nazwiska jak: wicemarszałek Ryszard Terlecki czy szef kancelarii prezydenckiej Zbigniew Bogucki. Fakt, że opłatek u „morawiecczyków" odwiedził pnący się w górę Zbigniew Bogucki, udowodnił, że Morawiecki ma też przyjaciół na samym szczycie Kancelarii Prezydenta Karola Nawrockiego. Fakt, że Morawiecki zlekceważył zaproszenie Kaczyńskiego na posiedzenie władz partii i – przynajmniej jak dotąd – uszło mu to na sucho, pokazuje, że jego pozycja jest mocna. Pytanie tylko, czy w dalszej perspektywie ta demonstracja się na Morawieckim nie zemści.

LISTA PRETENSJI

Przyjrzyjmy się teraz optyce tych polityków PiS, którzy zygzakami Morawieckiego czują się zaniepokojeni. W czasie blisko siedmiu lat bycia premierem Morawiecki w naturalny sposób musiał przysparzać sobie wrogów. Ziobryści pamiętają mu ciągłe sugestie, że twarda polityka Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości utrudnia Morawieckiemu negocjacje z Brukselą. Jacek Kurski z kolei dobrze pamięta, że Morawiecki był zwolennikiem zdymisjonowania go z funkcji prezesa TVP. U wielu polityków PiS było jeszcze jedno wspomnienie. To pamięć perypetii partii z Jarosławem Gowinem. Politykiem przyjętym z pewną dozą zaufania do PiS po odejściu z obozu Platformy, który później doprowadził do secesji swojej grupy ze Zjednoczonej Prawicy i przez pewien czas gotowy był nawet, jak twierdzą liczni politycy PiS, przyjąć marszałkostwo Sejmu i wziąć na siebie odpowiedzialność za odsunięcie PiS od władzy.

Oczywiście wszystkie te podejrzenia są z lubością wzmacniane przez przedstawicieli Koalicji 13 grudnia. Borys Budka w wywiadzie dla Wirtualnej Polski z 15 grudnia mówił: „Myślę, że na razie Morawiecki jest outsiderem. Póki jest wiara w Kaczyńskiego, póty tam (w otoczeniu Morawieckiego) nikt się nie odezwie. Wiem to doskonale, znam ludzi, z którymi Morawiecki współpracuje. Są to ludzie, którzy również do nas puszczają oko, gdzieś tam nieformalnie mówią, że wcale nie są zdani na Kaczyńskiego. Są też pragmatycy z otoczenia pana Morawieckiego [...]. Jeśli PiS będzie słaby w sondażach, jeśli tam nie będzie tej wiary w Kaczyńskiego – to niewykluczone, że Morawiecki wraz ze swoimi najbliższymi (współpracownikami) będą próbowali zrobić taką partię mniej radykalną, licząc, że więcej ugrają, niż będąc w marginalizowanym PiS-ie".

Czy Budka zmyśla? Może tak, może nie. Ale takie „wrzutki", choćby wszyscy zaklinali się, że w nie nie wierzą, jakoś oddziałują jednak na nastroje.

Część polityków PiS ma do Morawieckiego pretensje o zbyt nachalne sugerowanie, że jest on naturalnym kandydatem na premiera w przyszłości. Jeszcze inni irytują się na wewnętrzne spory, w których aktywni byli nie tylko Morawiecki, lecz także np. krytyczny wobec Morawieckiego Jacek Sasin. Ci „zatroskani" instynktownie wyczuwają, że nieprzychylne PiS media mogą kreować wizerunek partii Jarosława Kaczyńskiego jako formacji schyłkowej, rozdzieranej wewnętrznymi konfliktami. I mało pocieszające dla Morawieckiego jest to, że często ci przedstawiciele milczącej większości równie źle reagują na ataki Jacka Kurskiego na byłego premiera.

GRA, W KTÓREJ MAŁO KTO COŚ WYGRA

Sytuację w PiS u progu nowego roku można określić jako ujemny remis dla wszystkich. Morawiecki zademonstrował, że nie przestanie domagać się dla siebie pozycji w ścisłym kierownictwie partii. Ponadto były premier musi mieć świadomość, że poza PiS będzie zdany na łaskę i niełaskę Donalda Tuska, a dodatkowo prześladować go będzie niechęć sporej części obecnej koalicji za to, że firmował osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy. Tyle że Morawiecki także ma świadomość, że jego ewentualne wyjście z partii zabierze PiS ok. od 2 do 4 p.p. wyborców. Kiedyś taki uszczerbek nie przerażałby Jarosława Kaczyńskiego, ale dziś w sytuacji ostrej konkurencji ze strony ugrupowań Grzegorza Brauna i Sławomira Mentzena taka strata mogłaby być już dolegliwa. Większość partii – oprócz zaprzysięgłych wrogów Morawieckiego – wolałaby, żeby były premier w partii został, ale chce, żeby przestał ciągle dawać do zrozumienia, że to on jest naturalnym kandydatem na nowego premiera.

A nad jakimś wkomponowaniem Morawieckiego w strukturę partii ma w opinii większości czuwać jak zwykle Jarosław Kaczyński w roli wielkiego pacyfikatora konfliktów. Problem w tym, że nawet przy takich zdroworozsądkowych założeniach mieszanka ludzkich emocji i wzajemnych antagonizmów może doprowadzić do konfliktu, którego nawet prezes nie będzie w stanie uśmierzyć. A żaden z kandydatów do następstwa nie ma ani jego autorytetu, ani porównywalnych politycznych talentów.

Na razie ogłoszone załagodzenie niedawnych konfliktów formalnie satysfakcjonuje wszystkich. Pytanie tylko, jak długo może potrwać ten stan zawieszenia broni.

PiS znajduje się w sytuacji, w której zamiast marnować czas na wewnętrzne konflikty, powinien wymyśleć dla siebie skuteczną taktykę zdystansowania rywali. Zarówno tych z obozu Tuska, jak i tych z obu Konfederacji. Czasu nie zbyt dużo dużo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



Rafał A. Ziemkiewicz

Wszystkie przebrania Donalda Tuska



FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

W środowisku „spin doktorów" kursuje cyniczne powiedzenie, że „wyborca ma pamięć złotej rybki". Tusk – podobnie jak jego polityczna promotor, Angela Merkel – zdaje się dobitnym potwierdzeniem tej tezy

Nikt niczego w tej sprawie nie będzie nam narzucał!" – wiedzą państwo, kto skomentował tymi słowami wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej nakazujący Polsce uznawanie zawartych na terenie UE „małżeństw" homoseksualnych? Jakiś pisowiec, konfederata, braunista? Owszem, ci także wypowiadali się w tym duchu, ale powyższe słowa wypowiedział publicznie, do kamer, Donald Tusk. I dodał, że „chce uspokoić" wszystkich, bo „w tej kwestii nie jest tak, żeby Unia Europejska mogła nam cokolwiek nakazać".

Można by pomyśleć, że w myśleniu premiera o naszych wzajemnych stosunkach z UE nastąpił jakiś kopernikański przełom. Przecież dotychczas cały jego przekaz był diametralnie przeciwny: wyroki TSUE muszą być na terenie Polski wykonywane, bo tak wynika z orzeczeń TSUE (ta konstrukcja prawna może brzmi absurdalnie, ale jest oficjalnym stanowiskiem UE zawartym w licznych wypowiedziach komisarzy europejskich i dokumentach Komisji Europejskiej: organy unijne same określają swoje kompetencje, nie muszą szukać do tego podstaw w konstytuujących Wspólnotę traktatach). Ba, zasada wyższości orzeczeń TSUE nad polskim prawem krajowym, polską konstytucją i wolą wyrażoną przez Polaków w wyborach od lat jest dla przekazu tej partii tym, czym dla nomenklatury PRL była „dziejowa konieczność" pozostawania w „obozie krajów demokracji ludowej" i w „bratnim sojuszu" z ZSRS. To z orzeczeń TSUE (fakt, że wbrew innym jego orzeczeniom) wywiedziona została cała teoria „neosędziów", zgodnie z którą władza ta uznaje za „nieistniejący" Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny i praktycznie każdą instytucję, która staje jej na drodze, chyba że orzekną one akurat coś, co tej władzy pasuje.

LOGICZNE SPRZECZNOŚCI

I oto nagle Donald Tusk ogłasza, że są takie kwestie, w których TSUE i w ogóle Unia nie mają prawa nam niczego narzucać, otwierając, teoretycznie, piekło dociekań: Dlaczego w tej kwestii nie mogą, a w innych tak? A może w takim razie w żadnej kwestii nie mogą? I – co jest jeszcze bardziej zdumiewające – ta zaskakująca deklaracja właściwie nie budzi zainteresowania, nie komentują jej ani zapaleni obrońcy rządu, ani opozycja. Nawet aktywiści LGBT nie podnoszą krzyku, że Tusk nagle odmówił im praw, o które walczą, i dotąd się w tej walce cieszyli jego poparciem. Ot, poszedł komunikat PAP, kilka notek w serwisach internetowych – i nic.

Dlaczego? Bo i jedni, i drudzy wiedzą, że słowa premiera Tuska nie mają żadnego znaczenia. Powiedział, żeby „uspokoić emocje", jutro, jeśli uzna za stosowne, z obrońcy polskiej suwerenności prawnej znowu zmieni się w rzecznika rozpuszczenia naszej niepodległości w „państwie europejskim", bo „myślenie w kategoriach państw narodowych to XIX w., anachronizm".

W środowisku „spin doktorów" kursuje cyniczne powiedzenie, że „wyborca ma pamięć złotej rybki". Tusk – podobnie jak jego polityczna promotor, Angela Merkel – zdaje się dobitnym potwierdzeniem tej tezy. Ileż już nosił przebrań? Ile razy przechodził całkowitą metamorfozę? W „deklaracji wawelskiej" z roku 2003 zapowiadał, że będzie bronił wiary katolickiej i polskiej tradycji, potem grał „zdroworozsądkowca", który oczywiście też jest jak wszyscy katolikiem, ale „przed księdzem klękać nie będzie", 10 lat później łamał kręgosłupy „konserwatywnym" członkom PO, by przepchnąć „konwencję stambulską" i „gender", bo – jak pokazał przykład Rocco Buttiglione – jako katolik nie miałby szans na

eprasa.pl 2049cc1e0e

wymarzone stanowisko w Unii. Z pozycji politycznego realizmu (potrzebujemy zgody z Rosją, nie zmienimy jej) miotał gromy na rusofobię Jarosława i Lecha Kaczyńskich, by w pewnym momencie, podążając za emocjami Polaków po napaści Rosji na Ukrainę, ogłosić siebie największym wrogiem Władimira Putina, a Jarosława Kaczyńskiego jego sojusznikiem. Gdy PiS walczył z nasyłanymi przez Alaksandra Łukaszenkę i Putina „uchodźcami", powielał z całą mocą opowieści szpiega Pawła Rubcowa o „biednych ludziach", których „nie wolno traktować jak jakichś wrogów", a budowę muru na granicy nazywał „najohydniejszą ze zbrodni PiS", po czym gładko wykreował się na tego, który mur wybudował i chroni nas przed „żywymi torpedami Putina"…

W miejsce tych trzech kropek należałoby wstawić dziesiątki innych, podobnych przykładów – problem w tym, że jest ich zbyt wiele. Nawet gdyby ograniczyć się tylko do dwóch lat obecnego rządu albo tylko do ostatniego roku, samo wyliczenie i zgrubne opisanie licznych masek i kostiumów użytych i odrzuconych przez Tuska przekroczyłoby ograniczone objętością tygodnika możliwości tekstu. Już sama zmiana entourage'u, która pozwoliła mu wrócić do władzy, warta byłaby osobnego omówienia – kilka miesięcy przed wyborami, niewątpliwie pod wpływem wyników badań, z dnia na dzień zniknęły wszystkie błękitne flagi i inne symbole unijne, które stanowiły wcześniej nieodłączne tło wszystkich manifestacji Komitetu Obrony Demokracji i partii lewicowo-liberalnych (czy ktoś jeszcze pamięta, że jedną z przyczyn ogłoszenia sejmowego „ciamajdanu", szturmu na parlament, który skądinąd okazał się groteską, było usunięcie przez premier Beatę Szydło z centralnego punktu KPRM unijnych flag, co miało oznaczać, że PiS „wyprowadza nas z Unii Europejskiej"?). PO stała się od brzegu do brzegu biało-czerwona i patriotyczna. Nowe, wyborcze logo w kształcie serduszka – to też kolejny przykład kameleonizmu Tuska, który zwykł używać retoryki „miłości" i wezwań do narodowego pojednania na zmianę z agresją, oszczerstwami i emocjonalnymi obelgami – także przybrało barwy biało-czerwone. Ten kostium nosi premier nadal, czego dowodem przemianowanie CPK na Port Polska – kilka lat temu byłby to raczej „Port Europa" albo „Port Wolności", wzorem nadania podczas kampanii prezydenckiej Bronisława Komorowskiego miana „autostrady wolności" drodze do Berlina. Swego czasu zresztą CPK, przekop Mierzei Wiślanej czy starania o budowę elektrowni atomowej nazywał „megalomanią", „PiS-owskim obłędem", „absurdem", grając na straszeniu wyborców, że inwestycje obniżą ich poziom konsumpcji – by teraz kreować się na wyłącznego promotora infrastrukturalnych, „prorozwojowych" inwestycji, omalże drugiego Eugeniusza Kwiatkowskiego, jeśli nie wręcz Kazimierza Wielkiego.

Niekiedy pomiędzy logicznie sprzecznymi wypowiedziami Tuska mija zaledwie kilka dni. Dosłownie tuż przed ogłoszeniem, że Unia Europejska nie może nam niczego narzucać, chwalił się jako wielkim sukcesem tym, że uzyskał zezwolenie Komisji Europejskiej, żeby Polska wydała pieniądze z naszego, polskiego budżetu, na budowę siłowni atomowej. W tym samym tygodniu wzywał Tusk prezydenta, by nie wtrącał się do polityki zagranicznej, i publicznie oskarżał, że nie wykorzystał on swych wpływów w USA, by załatwić Polsce miejsce przy stole rokowań w sprawie Ukrainy. W poniedziałek ogłaszał warunki „rozejmu" niezbędnego w czasie zewnętrznego zagrożenia, a w środę odmawiał prezydentowi konstytucyjnego prawa spotykania się z szefami służb specjalnych i – jedna z wielu szczeniackich, prowokacyjnych złośliwości pod jego adresem – zapowiedział obcięcie budżetu prezydenckiej kancelarii.

Dość wyliczania, które naprawdę mogłoby trwać w nieskończoność. Można, jak czyni to wielu, zastąpić je kultowym cytatem ze Stanisława Barei: „Ten człowiek w życiu słowa prawdy nie powiedział", ale w najmniejszym stopniu nie przybliża nas to do zrozumienia fenomenu człowieka, który nieustannie zaprzecza sam sobie i mimo to całkowicie panuje nad umysłami jednej trzeciej polskich wyborców.

To nie Tusk stanowi problem, ale stopień demoralizacji postinteligenckiej samozwańczej „klasy średniej", której jest on wyborem

ZBIOROWA POGARDA

Być może wyjaśnienie nie tkwi w samym Tusku, ale właśnie w zbiorowej przypadłości owej jednej trzeciej Polaków, która się z nim utożsamia i widzi w nim swoją nadzieję na… Właśnie – na co? Odpowiedź, którą proponuję, brzmi: na pozostanie klasą panującą. To nieważne, w imię czego miałaby ona panować. Jeśli pewnego dnia Tusk uzna, że korzystnie jest ogłosić się faszystą – zresztą jest blisko, zrobił sobie przecież zdjęcie, na którym czyta stary numer pisma „Kronos", mający na okładce portret niemieckiego intelektualisty, sławnego z dostarczania filozoficznego uzasadnienia „zasady wodzostwa" i zachwalania Adolfa Hitlera – to i tłum jego wyznawców, dziś lewicowo-liberalnych, z dnia na dzień przeprosi się z Carlem Schmittem i jego Führerem. Jeśli zechce Tusk wrócić do narodowo-katolickiego fundamentalizmu „deklaracji wawelskiej" albo do antykomunizmu i walki z ubeckim układem z czasów kampanii roku 2007 – to dzisiejsi antyklerykałowie, liberałowie i lewacy ochoczo podążą za nim. Z tym samym wdziękiem, z jakim ideowi socjaliści i piewcy „sprawiedliwości społecznej" w roku 1989 z dnia na dzień stali się wyznawcami „dzikiego kapitalizmu" i „twardego monetaryzmu" Leszka Balcerowicza, w 1992 r. w „małym Mussolinim" i „przyśpieszaczu z siekierą" znowu zobaczyli „legendarnego przywódcę Solidarności" i „najbardziej zasłużonego z Polaków", a niedawno chóralne „refugees welcome" zamienili na „nie pozwolimy pluć na obrońców granicy".

Liczy się tylko jedno: „my". Zbiorowa pogarda postnomenklaturowej elity, która na mocy umowy Okrągłego Stołu zachowała w III RP przywileje z PRL, dla pospólstwa, i jej strach, by nie odebrało jej ono dominującej pozycji. Cała ta nadzieja zawieszona jest na Tusku. Prawem czy lewem, takim kłamstwem czy innym, musi to pospólstwo zbajerować i wydrwić jego głosy, żebyśmy zostali u koryta i w korporacyjnych zarządach.

Mówiąc krótko, to nie Tusk jest problemem. Problemem jest stopień demoralizacji, deprawacji i degeneracji postinteligenckiej samozwańczej „klasy średniej", której jest on wyborem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

PiS musi wrócić do korzeni

Z Patrykiem Jakim, przewodniczącym Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości



rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. DENIS LOMME/EU/EP

RYSZARD GROMADZKI: Po nałożeniu przez Komisję Europejską 120 mln euro kary na platformę X za rzekome naruszenie przepisów Aktu o usługach cyfrowych jej właściciel Elon Musk napisał, że Unia Europejska powinna się rozwiązać, a tworzącym ją krajom powinna zostać zwrócona suwerenność, żeby lepiej reprezentowały interesy swoich narodów. Zgadza się pan z Muskiem?

PATRYK JAKI: W sprawie kary na platformę X wydałem już w imieniu Europejskich Konserwatystów ostry, zdecydowanie krytyczny komunikat. Ta sprawa jest moim zdaniem jednym z przyczynków do odpowiedzi, dlaczego Unia Europejska jest dziś tak słaba.

W ostatnim czasie zbiegły się ze sobą dwa fakty: unijna kara na platformę Muska, bo – jak wiele wskazuje – odmówiła objęcia cenzurą platformy X, i ogłoszenie przez administrację Donalda Trumpa nowej Strategii Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Te dwa wydarzenia łączą się ze sobą o tyle, o ile nowa strategia bezpieczeństwa USA zawiera bardzo syntetyczną i niezwykle celną diagnozę kondycji Unii Europejskiej, w której podkreślono zapędy UE do cenzury i ograniczania wolności słowa. Jak wskazuje amerykańska strategia, udział Europy w globalnym PKB spadł z 25 proc. w 1990 r. do 14 proc. obecnie. Według dokumentu problemy, z którymi mierzy się dziś Europa, są w dużym stopniu następstwem działania Unii Europejskiej i innych instytucji ponadnarodowych, które niszczą fundamenty własnej cywilizacji. Podważają jej wielkie osiągnięcia, takie jak wolność polityczną i suwerenność państw. Inne symptomy ciężkiej choroby, która dotknęła Europę, to utrata narodowych tożsamości, religii, odrzucenie wspaniałego dziedzictwa kulturowego, a w konsekwencji zostawienie dobrego gruntu dla ideologii takich jak Zielony Ład czy „prawa reprodukcyjne", które są jak rak dla zachodniego organizmu.

Nowa amerykańska strategia bezpieczeństwa nie ujmuje tej kwestii. Ale czy to nie programowe odcięcie się od chrześcijańskich korzeni zaprowadziło dziś Europę na manowce?

Dokładnie tak jest. Idzie za tym kryzys demograficzny, któremu próbuje się zaradzić sprowadzaniem do Europy milionów migrantów, którzy nie tylko nie utożsamiają się z tradycją europejską

eprasa.pl 2049cc1e0e

ufundowaną na chrześcijaństwie, prawie rzymskim i greckiej filozofii, lecz także ją depczą i chcą zastąpić mieszanką wybuchową sekularyzmu i islamu. Dopóki Europa trzymała się swoich zachodnich fundamentów, dopóty była globalną potęgą polityczną, cywilizacyjną i kulturową. Była kontynentem o największych zdolnościach politycznych, największej wolności słowa, o najsilniejszej gospodarce. Dlatego że z chrześcijaństwa i mądrości Aten rodził się silny duchowo człowiek, odporny na pokusy świata, łatwą manipulację. Zdolny do poświęceń dla innych, rozbudowy własnych cnót i wspólnoty.

Produkt liberalno-lewicowych elit z EU jest tego zaprzeczeniem. Te „wartości" tworzą człowieka nieznającego siebie, niezdolnego do działania, pozbawionego ducha i wiedzy o własnych korzeniach, więc łatwego do manipulacji. Jego pustkę duchową zastąpiły fałszywe religie „zielone" i „czerwone". Dzisiejszy „człowiek europejski", który nie myśli o przeszłości i przyszłości, tylko o tym, co teraz, naturalnie traci poczucie głębszego sensu, a jego potrzeby sprowadzają się do najprymitywniejszych rozrywek. Jak w chwili upadku Rzymu. Dlaczego dziś rolę lidera, którą kiedyś odgrywała Europa, przejęły Stany Zjednoczone, które przecież przejęły te wartości ze Starego Kontynentu? Ameryka się ich trzyma, dlatego wciąż jest największą potęgą. Europa je odrzuciła, stając się „chorym człowiekiem świata".

Po co nam taka Unia Europejska? Czy jest jeszcze czego bronić? W nowej amerykańskiej strategii bezpieczeństwa jest pewne rozróżnienie między pogrążoną w głębokim kryzysie tożsamości częścią Europy a państwami takimi jak Polska czy Węgry, które autorzy dokumentu wskazują jako źródła nadziei.

Rzeczywiście, w Europie są jeszcze miejsca, które trafnie wskazuje amerykańska strategia, niedotknięte chorobą w takim stopniu jak kraje zachodniej części kontynentu. Jednym z takich miejsc jest Polska, mimo że Tusk próbuje nas na siłę zarazić chorobą kosmopolitycznej „kserokopiarki europejskiej". Dla Polaków, a na pewno dla większej ich części, ważne są tradycyjne wartości. Od wielu lat dużo podróżuję po Europie, ale nigdzie nie widziałem w kościołach tak wielu ludzi jak w Polsce, szczególnie młodych. Dlatego Polska jest wciąż bezpiecznym krajem. Ponadto mamy prężną gospodarkę. Dzięki inicjatywie i przedsiębiorczości ludzi Polska wciąż rozwija się w niezłym tempie. Jest to możliwe, bo nasz kraj nadal stoi na dobrych fundamentach.

Proces Zbigniewa Ziobry jest ustawiony. Moja pewność wynika stąd, że w tej sprawie mamy do czynienia z nielegalnie przejętą prokuraturą, która nie respektuje postanowień Trybunału Konstytucyjnego, i z nielegalnie przejętymi sądami

Podobnie jest w kilku innych państwach Europy Środkowej, które przechowują kod cywilizacji zachodniej. Pyta pan, czy jest jeszcze czego bronić w Unii Europejskiej. Otóż zaczynem współczesnej Europy, źródłem jej szybkiego rozwoju była wspominana aksjologiczna podstawa, a także rewolucja przemysłowa, możliwa dzięki wykorzystaniu paliw kopalnych i taniej energii. Ten atut Unia zatraciła, brnąc w ułudę Zielonego Ładu, który doprowadził do gospodarczej stagnacji i drastycznego spadku konkurencyjności Europy wobec Chin, Indii czy Stanów Zjednoczonych, których rozwój nadal napędza wydobycie węgla, ropy naftowej i gazu na szeroką skalę.

Ale jest jeszcze jeden atut, dla którego nominalnie Unia Europejska została stworzona, a o czym zapomniała, czyli wolny rynek, oparty na swobodnym przepływie towarów. Tego wciąż trzeba bronić, bo nadal korzysta na tym polska gospodarka. Dotykając istoty pana pytania, odpowiem tak: Unia Europejska jest rzeczywiście dotknięta ciężką chorobą. Być może jest to choroba śmiertelna. Jednak uważam, że nadal są w niej elementy, których trzeba bronić, bo zawsze trzeba zapytać o alternatywę. Być może alternatywnie Polska zdołałaby znaleźć nowe rynki zbytu. Uważam, że powinna ich tak czy siak szukać. Ale pamiętajmy, że leżymy w Europie i im bardziej rynek europejski będzie wolny, bardziej dostępny, tym dla nas lepiej. Docelowo zatem dopóki ciężko chory pacjent, którym jest dziś Unia, żyje, dopóty trzeba spróbować operować i leczyć, ponieważ na dużym i wolnym rynku w Europie zawsze zyska Polska.

Na razie projekt europejski coraz szybciej zmierza w inną stronę. Pod pretekstem obrony przed rosyjskim imperializmem buduje się pod auspicjami Niemiec superpaństwo, ze wspólnymi siłami zbrojnymi, związane gigantycznym wspólnym długiem.

Jeżeli Unia Europejska będzie szła nadal w tym kierunku, to w perspektywie kilku, może kilkunastu lat sama się rozpadnie. Polska nie będzie musiała nic robić. Nie tracę wciąż nadziei na zmianę w dobrym kierunku. Społeczeństwo europejskie coraz więcej widzi, coraz więcej rozumie. Ruchy prawicowe prowadzą obecnie we wszystkich najważniejszych państwach, więc wydaje się, że powinniśmy potraktować kolejne unijne wybory jako wybory nadziei, ostatniej szansy, które pozwolą uratować projekt europejski. Uważam, że nie powinniśmy z tego rezygnować. Ale poważne państwo powinno rozważać różne scenariusze, a intelektualna debata na temat tego, w którą stronę powinna pójść Polska, na pewno nikomu nie zaszkodzi.

Naszą rolę widzę tak, jak kiedyś św. Benedykt z Nursji, który udał się do Subiaco. Do jaskini pod Rzymem uciekł, widząc upadek Wiecznego Miasta i wartości zachodnich – chciał je zachować i nauczać chętnych od nowa. Z czasem z tego miejsca znów odrodziła się nadzieja dla upadającej Europy. Naszym zadaniem jest teraz bycie depozytariuszem tych wartości, Benedyktami, a z czasem odrodzi się z nich silniejsza Europa z prowadzącą ją Rzecząpospolitą.

Dużo się mówi ostatnio o wewnętrznym konflikcie w PiS. Pan jest w gronie kilku polityków przeciwstawianych byłemu premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. Czy Morawiecki jest dziś obciążeniem dla PiS? Katastrofalna polityka covidowa i uległość wobec Unii Europejskiej, uderzająca boleśnie w naszą suwerenność, miały zdaniem wielu konserwatywnie zorientowanych wyborców PiS kluczowy wpływ na przegrane wybory w 2023 r.

Mam wątpliwości, czy aktywność Matusza Morawieckiego w postaci

eprasa.pl 2049cc1e0e

chodzenia po wrogich nam podcastach, ogłaszania się premierem i wypominania, kto będzie, a kto nie „w jego" rządzie, służy partii.

Chciałbym jednak zachować partię w całości. Uważam, że Morawiecki jest politykiem kompetentnym w obszarze finansów. Natomiast zgadzam się co do oceny jego realnego dorobku w kwestii współpracy z Unią Europejską. Nie walczę z nikim personalnie, walczę o to, żeby Prawo i Sprawiedliwość wróciło do korzeni, żeby znów stało się partią odważną i zdecydowaną, prawdziwie konserwatywną, bez podlizywania się czytelnikom „Gazety Wyborczej".

W tym sensie uważam, że kierownictwo partii powinno sobie postawić pytanie: Jak to się stało, że od 2023 r. do dzisiaj, mimo że scena polityczna w Polsce wyraźnie przesunęła się w prawo, główna partia prawicowa nie tylko na tym trendzie nie zyskała, lecz także – jak pokazuje część sondaży – straciła.

Moim zdaniem dzieje się tak dlatego, że są u nas ważni politycy, którzy bez zgody kierownictwa partii próbują nas odciągnąć od korzeni. Musimy wyciągać wnioski z błędów, które popełniliśmy. Uważam, że jeśli PiS będzie odważny i ofensywny jak kiedyś, wyciągnie właściwe wnioski i wróci do korzeni, to będzie znów zdecydowanie wygrywał wybory. Pamiętajmy, że mimo różnych błędów, które przecież popełnia każda partia, za naszych rządów Polska rozwijała się średnio najszybciej w Europie i to najlepszy wynik w całej III RP.

Jest pan jednym z bardzo nielicznych polityków PiS, który mówi o błędach w okresie sprawowania władzy. Partia postawiła na przekaz: „Polacy nic się nie stało". Ten uderzający brak refleksji mógł zniechęcić wielu wyborców do PiS.

Na pewno powinniśmy poprawić komunikację z wyborcami. Patrząc na partię od środka, mogę powiedzieć, że dość otwarta debata na temat tego, w którą stronę powinna pójść nasza formacja, obejmująca krytyczną analizę błędów, które popełniliśmy, miała miejsce.

Uważam, że spośród ofert politycznych, które polscy wyborcy mają do dyspozycji, to konstrukcja naszej partii jest najlepsza i najbliższa ofercie republikańskiej. W Partii Republikańskiej w Stanach Zjednoczonych też są różne skrzydła, które między wyborami toczą spory i dyskusje, a ich wyborcy są zaangażowani w ten dyskurs. To buduje ich siłę i wiarygodność. Spór, który toczy się w PiS, jest realny, to nie jest pozorowany spektakl. Słucham argumentów drugiej strony, biorę je pod rozwagę, nie zakładam z góry, że mam rację. W moim przekonaniu to, że nie mamy poparcia, jakie chcielibyśmy mieć, to przede wszystkim efekt odejścia od korzeni. Żyjemy w czasach, w których polityczne spektrum przesuwa się wyraźnie na prawo, potwierdzają to kolejne badania opinii publicznej. Myślę, że w tych okolicznościach szaleństwem jest zwracać się do mitycznego centrum, tego „PJN", a odpychać ponad 20 proc. po prawej stronie. Ludzi, którzy w większości kiedyś na PiS głosowali, ale jakieś nasze prawdziwe i zmanipulowane błędy lub doklejone „gęby" ich zniechęciły. Ludzie, którzy pchają PiS stronę „PJN", robią ogromny błąd.

Bezprawie wkrótce się skończy i zostanie rozliczone. A Polska wróci na ścieżkę rozwoju, dużych inwestycji i pozycję regionalnego lidera

Czy Zbigniew Ziobro powinien wrócić do kraju i stanąć przed sądem? Pytany o to w rozmowie w Kanale Zero prezydent Karol Nawrocki powiedział, że to dla niego „kłopotliwa sprawa". Powołując się na swoją historyczną wrażliwość, prezydent mówił, że w czasach stalinowskich przed komunistycznymi sądami sądzono tysiące niewinnych ludzi, szczerych polskich patriotów, którzy nie mieli żadnych złudzeń co do uczciwości procesu, za to pełną świadomość często tragicznego losu, który ich czekał.

Z całym szacunkiem dla pana prezydenta, ale te sprawy są jednak inne. Po pierwsze przypomnę, że jednak historycznie część nawet najwybitniejszych Polaków tak zrobiła, aby właśnie skuteczniej walczyć o Polskę z zewnątrz, a nie dać się zabić. Włączając w to Piłsudskiego, Dmowskiego, Mickiewicza, Lelewela czy Stanisława Leszczyńskiego i Jana Kazimierza.

Po drugie, mamy pewność, że proces Zbigniewa Ziobry jest ustawiony. Moja pewność wynika stąd, że w tej sprawie mamy do czynienia z nielegalnie przejętą prokuraturą, która nie respektuje postanowień Trybunału Konstytucyjnego, nielegalnie przejętymi sądami bez zmiany ustawy, a więc złamaniem kadencji, odsuniętymi od orzekania sędziami, którzy nie podobają się władzy, do tego wszystkiego z likwidacją losowania sędziów. Wszystko to razem tworzy układ, gdzie proces jest jak w słynnym układzie „Fryzjera". Pozory meczu a z góry ustawiony wynik. W tej sytuacji dylemat, który stanął przed ministrem Ziobrą, był taki, czy dać władzy satysfakcję, że będą kogoś przez rok obwozili po Polsce w kajdankach i opluwali, bez możliwości obrony, czy jednak lepiej z zewnątrz mówić, jak wygląda prawda. Zbigniew Ziobro deklaruje, że w każdej chwili może wrócić, pod warunkiem że do orzekania przywróceni zostaną wszyscy odsunięci sędziowie i wróci losowy przydział sędziów do spraw. Poza tym muszę przypomnieć, że korzystanie z potwierdzonych przez międzynarodowe konwencje metod obrony przed niepraworządnym państwem jest od dawna znane na całym świecie. Każdej osobie przysługuje prawo do obrony przed prześladowaniami politycznymi. Dlaczego akurat minister Ziobro miałby z niego nie skorzystać?

To też kwestia odbioru społecznego. Proces Grzegorza Brauna też jest polityczny, zarzuty mu stawiane mają charakter orwellowski, a jednak Braun stanął przed sądem.

Sprawa Brauna jest drastycznie inna. Jest zasadnicza różnica między sytuacją, kiedy oskarżony ma możliwość odpowiadania z wolnej stopy, a przetrzymywaniem kogoś w areszcie, gdzie nie może mówić i grozi mu śmierć. Tym bardziej jeśli wiemy, że w wypadku Ziobry stoją za tym ludzie, którzy byli wcześniej odpowiedzialni za znęcanie się nad osadzonymi. Gdyby minister Ziobro dostał gwarancję, że może spokojnie odpowiadać przed sądem bez trzymania go w areszcie i stosowania przy tym bezprawnych innych metod, jak w przypadku śp. Barbary Skrzypek, to jestem przekonany, że nie wyjeżdżałby z Polski. Pragnę jednak uspokoić wszystkich. Bezprawie wkrótce się skończy i zostanie rozliczone. A Polska wróci na ścieżkę rozwoju, dużych inwestycji i pozycję regionalnego lidera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

Szalupa dla ekipy Tuska



Radosław Wojtas

Utrata władzy w Polsce nie oznacza dziś już tylko przejścia do ław opozycji, ale realne ryzyko przejścia na ławę oskarżonych. Jaki plan na wypadek polityczno-prawnej wendety w przypadku utraty władzy mogą mieć premier Donald Tusk i jego ministrowie?

Donald Tusk z premierem Szwecji Ulfem Kristerssonem FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Obecnie urzędujący premier Rzeczypospolitej Polskiej popełnił jakiś czas temu taki dwuwiersz: „Albo w areszcie, albo w Budapeszcie". Był to komentarz do wyjazdu na Węgry Zbigniewa Ziobry, którym żywo interesuje się przynajmniej część polskich prokuratorów. Były minister sprawiedliwości nie pozostał dłużny i odpowiedział: „Najpóźniej za dwa lata pakuj manatki – albo do Berlina, albo za kratki". O tym, że zapowiedzi Donalda Tuska należy traktować serio, przekonało się już kilku polityków PiS, a z tego, że druga strona również nie żartuje, zdaje sobie sprawę obecny premier, który – według relacji Onetu – na jednym ze spotkań zarządu partii miał przestrzegać, że jeśli do władzy wróci PiS, to „wszyscy obecni na tej sali pójdą siedzieć".

Nic dziwnego, że w tych okolicznościach pojawiają się pytania o to, jaką poduszkę bezpieczeństwa mogliby sobie szykować Donald Tusk i jego ludzie. Zresztą o to, do jakiego kraju wyjedzie, jeśli PiS przejmie władzę, spytał premiera Jakub Wojewódzki. – Niem... – zaczął odpowiadać Donald Tusk. – Niem... Nie ma takiego scenariusza – dokończył premier, wywołując w studiu wesołość swoim dystansem do zarzucania mu przesadnej sympatii do naszych sąsiadów zza Odry.

– Myślę, że Donald Tusk doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co w ostatnich dwóch latach wyprawiał jego rząd, doprowadzając de facto do tego, że Polska nie jest w tej chwili państwem praworządnym – mówi w rozmowie

eprasa.pl 2049cc1e0e

z „Do Rzeczy" dr Bartosz Lewandowski, adwokat, prawnik związany z Ordo Iuris. – Tusk ma zatem świadomość, że po tym, co zrobiono jego oponentom politycznym – gdzie pod byle pretekstem wszczyna się postępowania i stawia zarzuty tylko po to, by wygenerować fakt medialny – kolejny rząd, który przejmie władzę, będzie robił dokładnie to samo. Dla mnie to oczywiste. Sądzę, że politycy obecnej koalicji rządzącej już to podskórnie czują. Uważam, że fakt, iż marszałek Hołownia ubiega się o nowe stanowisko, nagle rezygnując z polskiej polityki, jest dość czytelnym sygnałem obaw przed tym, co się wydarzy w momencie dojścia do władzy innego obozu politycznego – dodaje.

Jeśli nowa władza postawi politykom KO zarzuty stricte polityczne (np. „zamach stanu" w mediach), to sądy zachodnie prawdopodobnie odmówią wydania oskarżonych. Zagrożenie pojawia się, gdy zarzuty zostaną sformułowane jako przestępstwa urzędnicze lub gospodarcze

AAAA ... IMMUNITET PRZYJMĘ

Naturalnym wyborem wydaje się dla premiera szalupa ratunkowa w postaci stanowiska gwarantującego trudny do uchylenia immunitet. Donald Tusk pełnił już funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej (RE), więc – przynajmniej teoretycznie – otwarte są przed nim najważniejsze gabinety w strukturach UE. Problem jednak w tym, że wysokie stanowisko w unijnej biurokratycznej machinie niekoniecznie idzie w parze z silnym immunitetem. Przewodniczący RE cieszy się immunitetem funkcjonalnym, ma zatem zagwarantowaną nietykalność służbową za działania podejmowane w ramach pełnienia funkcji. Ale co z przestępstwami, których miałby dopuścić się przed objęciem tego stanowiska? – Już w 2017 r. immunitet Donalda Tuska jako ówczesnego przewodniczącego Rady Europejskiej był przedmiotem szerokich analiz. Eksperci wskazywali wówczas na to, że w przypadku czynów zarzucanych mu za okres sprawowania rządów w Polsce immunitet ten nie obowiązuje. Ta ochrona jest więc tylko pozorna – przypomina Bartosz Lewandowski.

Nawet gdyby scenariusz powrotu na pełnione już wcześniej stanowisko był realny, siła immunitetu mogłaby okazać się niewystarczająca. Podobnie jak w wypadku innych wysokich urzędniczych stanowisk w strukturach UE, np. komisarza UE, zastępcy lub przewodniczącego Komisji Europejskiej. Dopiero stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy gwarantuje obok immunitetu funkcjonalnego także immunitet osobisty, na dodatek obowiązujący na terytorium wszystkich państw członkowskich. Jednak w tym wypadku niekorzystny okazuje się kalendarz. We wrześniu 2024 r. pięcioletnią kadencję rozpoczął Alain Berset. Jeśli zatem do zmiany władzy w Polsce doszłoby zgodnie z naszym kalendarzem wyborczym w 2027 r., to na koniec kadencji Szwajcara trzeba by było czekać jeszcze dwa lata.

Podobnie rzecz się ma z wyborami do Parlamentu Europejskiego – one również zaplanowane są na rok 2029. Nawet szeregowi europosłowie chronieni są osobistym immunitetem. O jego uchyleniu decyduje Parlament Europejski, więc przy odpowiedniej konstelacji politycznej nietykalność jest gwarantowana. Z tej perspektywy porzucenie funkcji ministra kultury i start w wyborach do PE przez Bartłomieja Sienkiewicza (za którego kadencji siłowo przejęto media publiczne i postawiono je w stan likwidacji) nie jawią się już jako zesłanie na polityczną emeryturę, lecz całkiem perspektywiczne posunięcie.

Można sobie wyobrazić scenariusz, w którym Donald Tusk opuszcza Polskę po utracie władzy, a kraj, do którego się udaje, przeciąga procedury umożliwiające pociągnięcie byłego premiera do odpowiedzialności przed polskim sądem czy Trybunałem Stanu do czasu rozstrzygnięcia wyborów do PE w 2029 r. Donald Tusk lub jego ministrowie nie musieliby startować z Polski. – Każdy obywatel Unii Europejskiej w wyborach do Parlamentu Europejskiego może kandydować w dowolnym państwie UE, jeśli tylko pozwala na to porządek prawny tego kraju – mówi dr Marcin Olszówka ze Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika, prawnik specjalizujący się m.in. w prawie konstytucyjnym. – Takie przypadki już bywały – znany polityk Daniel Cohn-Bendit kandydował z różnych krajów: z Francji i Niemiec, a były polski minister finansów, Jacek Rostowski, startował w Wielkiej Brytanii w 2019 r. – dodaje.

Donald Tusk jako europoseł CDU/CSU? – To nie jest wykluczone – mówi Marcin Olszówka.

Bezpieczną przystanią byłaby dla Donalda Tuska Organizacja Narodów Zjednoczonych. – Urzędnicy ONZ posiadają immunitet funkcjonalny, czyli obowiązujący tylko w zakresie czynów służbowych. Pełnym immunitetem – podobnym do tego, którym cieszą się ambasadorzy – dysponują natomiast: sekretarz generalny, podsekretarze oraz asystenci sekretarza generalnego. W grę wchodziłoby ewentualnie także stanowisko wysokiego komisarza ONZ – wylicza Bartosz Lewandowski. – Oczywiście jestem w stanie wyobrazić sobie, że Donald Tusk trafia jako urzędnik do Europejskiego Banku Centralnego czy Europejskiego Banku Inwestycyjnego. W ramach tych podmiotów ich członkowie również korzystają z ochrony immunitetowej, ale nie pasuje to do dotychczasowej ścieżki kariery byłego premiera – dodaje.

Ograniczeniem dla obecnego premiera może być jego wykształcenie. – Donald Tusk nie jest prawnikiem, jest historykiem, dlatego trudno byłoby mu uzyskać stanowisko np. w Europejskim Trybunale Praw Człowieka. Nie chodzi nawet o funkcję sędziego, ale o wejście w skład zaplecza tego sądu międzynarodowego, gdzie ochrona immunitetowa jest dosyć szeroka. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej z pewnością odpada. Podobnie jak w przypadku polskiego Trybunału Konstytucyjnego kandydat na to stanowisko musi posiadać wykształcenie prawnicze. Europejski Trybunał Obrachunkowy też wydaje się mało prawdopodobny – mówi Bartosz Lewandowski. – Szanse widziałbym prędzej w instytucjach takich jak Europejski Bank Centralny czy Bank Światowy. Tu jednak pojawia się przeszkoda: w przypadku Banku Światowego,

eprasa.pl 2049cc1e0e

a także Europejskiego Banku Centralnego kluczowa jest nominacja ze strony rządu. Dla objęcia niektórych stanowisk potrzebna jest nominacja prezydenta RP – dodaje.

To ostatnie nie wchodzi w grę dopóty, dopóki najważniejszym lokatorem pałacu przy Krakowskim Przedmieściu jest Karol Nawrocki. Na poparcie Sejmu Donald Tusk może liczyć dopóty, dopóki ma większość w izbie. Ucieczka „do przodu" na stanowisko wymagające poparcia przez rząd byłaby możliwa wyłącznie przed utratą władzy. Ponadto żaden zagraniczny immunitet nie zagwarantuje takiego bezpieczeństwa przed ewentualną odpowiedzialnością, karną czy inną, co utrzymanie władzy w kraju. – Z prawnego punktu widzenia – w teorii – wszczęcie postępowania karnego wobec urzędującego prezesa Rady Ministrów jest możliwe. Można postawić zarzuty, o ile pozwoli na to zakres immunitetu. Jednak tu i teraz, w obecnej sytuacji politycznej, premiera będącego posłem chroni większość koalicyjna. Trudno sobie wyobrazić, kierując się arytmetyką sejmową, żeby Sejm wyraził zgodę na pociągnięcie premiera do odpowiedzialności karnej dopóty, dopóki rząd posiada stabilną większość – zauważa Marcin Olszówka.

BEZPIECZNA PRZYSTAŃ

Przykład posła Marcina Romanowskiego pokazuje, że nie potrzeba aktywnego immunitetu, by znaleźć się poza zasięgiem polskiego wymiaru sprawiedliwości. Gdyby po zmianie władzy Donald Tusk lub jego ministrowie obawiali się nieuczciwego potraktowania przez polską prokuraturę, schronienia musieliby szukać raczej w innym państwie niż Węgry pod rządami Viktora Orbána, który wszelako w 2026 r. władzę może stracić. Już dziś nietrudno sobie wyobrazić, że mogliby je znaleźć w Niemczech, we Francji, w Belgii czy Holandii. Kartą „wyjścia z więzienia" mogłoby być powołanie się na instytucję fumus persecutionis. To wywodząca się z prawa rzymskiego zasada, stosowana m.in. przez organy Unii Europejskiej, na którą można się powołać w sytuacji, gdy wszczynane wobec polityka postępowania karne lub cywilne formalnie nie są związane z jego obecnym mandatem, ale ich rzeczywistym celem jest zaszkodzenie mu w wykonywaniu funkcji.

– Nawet jeśli Donald Tusk objąłby stanowisko, w którym immunitet nie chroni go za okres bycia premierem, ale wykaże, że działania polskiej prokuratury mają charakter politycznego odwetu, może skorzystać z tej furtki. Ten argument rozważano już w 2017 r., gdy wzywano go do prokuratury w charakterze świadka. Wskazywano wówczas, że choć jako szef Rady Europejskiej nie korzysta z pełnego immunitetu, to zmasowane działania prawne mogą być interpretowane jako nękanie (fumus persecutionis) i próba paraliżu jego pracy. W prawie międzynarodowym jest to istotna linia obrony – mówi Bartosz Lewandowski.

Carles Puigdemont, były premier Katalonii, oskarżony w Hiszpanii o rebelię i sprzeniewierzenie funduszy publicznych, szukał bezpieczeństwa w Niemczech. O jego ekstradycji decydował w 2018 r. sąd w Szlezwiku-Holsztynie. Orzekł, że polityk nie może zostać poddany ekstradycji za rebelię, ale za sprzeniewierzenie środków publicznych już tak. Wniosek dla polskich polityków jest prosty – postawienie zarzutów popełnienia pospolitego przestępstwa zwiększa szanse współpracy z zagranicznymi organami ścigania. Jeśli nowa władza (koalicja PiS i Konfederacji?) postawi politykom KO zarzuty stricte polityczne (np. „zamach stanu" w mediach), sądy zachodnie prawdopodobnie odmówią wydania oskarżonych. Zagrożenie pojawia się, gdy zarzuty zostaną sformułowane jako przestępstwa urzędnicze lub gospodarcze (art. 296 k.k. – niegospodarność, art. 231 k.k. – przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej). Niemiecki sąd pokazał, że w takich sprawach Europejski Nakaz Aresztowania działa sprawniej. Dlatego strategia rozliczeń nowej władzy, aby była skuteczna, powinna polegać raczej na kryminalizacji decyzji politycznych (np. zakupu sprzętu wojskowego, kontraktów energetycznych) jako gigantycznej niegospodarności. Brzmi znajomo?

– Wewnątrz Unii Europejskiej funkcjonuje Europejski Nakaz Aresztowania, jednak ze względu na kontekst polityczny ten mechanizm może nie zadziałać. Decyzja o udzieleniu azylu politycznego w innym państwie dawałaby spore gwarancje bezpieczeństwa, przynajmniej na terytorium tego konkretnego państwa. Choć zależy to od niuansów prawnych danego kraju, to co do zasady status azylanta chroni przed wydaniem – mówi Marcin Olszówka. – Teoretycznie wyjazd poza Unię Europejską zwiększa prawdopodobieństwo, że będzie mógł czuć się bezpiecznie. Jeżeli udałby się do kraju, z którym Polska nie ma umowy o ekstradycji, to ryzyko przekazania go Polsce maleje jeszcze bardziej – dodaje.

IM GORZEJ, TYM LEPIEJ

Polskim politykom, którzy obecnie lub w przyszłości mieliby zostać oskarżeni przez polski wymiar sprawiedliwości, sprzyjają chaos i kryzys, w których ów wymiar sprawiedliwości jest pogrążony. I nie chodzi tu tylko o stan, który politolodzy określają pojęciem „lawfare", czyli sytuacji, w której władza wykorzystuje instrumenty prawne i instytucje wymiaru sprawiedliwości jako strategiczną broń w walce o eliminację przeciwnika politycznego. Kryzys w polskim wymiarze sprawiedliwości bywał już powodem odmowy wydania Polsce obywateli RP oskarżanych o popełnienie pospolitych przestępstw. Kilka lat temu irlandzki sąd odmówił automatycznej ekstradycji do Polski Artura C., oskarżonego o handel narkotykami, i skierował sprawę do TSUE. Irlandzki sąd ostatecznie zgodził się na wydanie mężczyzny, bo uznał, że choć sytuacja w Polsce jest zła, to w sprawie handlarza narkotyków ryzyko politycznego wpływu na sędziego jest niskie. Były minister, a już zwłaszcza były premier bez problemu przekonałby sąd, że w jego wypadku polityczne naciski sprawią, iż nie może w Polsce liczyć na uczciwy proces.

Sądy w Niderlandach przyjęły jeszcze bardziej restrykcyjną linię. Międzynarodowa Izba Pomocy Prawnej (IRK) w Amsterdamie wielokrotnie wstrzymywała ekstradycje do Polski, argumentując, że od 2018 r. niezależność polskich sądów przestała istnieć.

Dochodzimy tu do ponurego paradoksu. Polskim politykom – niezależnie od barw partyjnych – sprzyja chaos, w którym pogrążyli wymiar sprawiedliwości. Wykorzystywanie prokuratury i sądów w walce politycznej to broń obosieczna. W polskim wydaniu okazuje się również tarczą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Pracodawca nagradzający pracownika za posiadanie dziecka to ewenement. W wielu firmach kobiety w wieku rozrodczym albo nie mają szans na awans („bo i tak zaraz zajdą w ciążę"), albo wręcz już na etapie rekrutacyjnym deklaracja o chęci urodzenia dziecka jest dyskwalifikująca



Władysław Grochowski, twórca Arche Spółki Akcyjnej, jednej z pierwszych firm deweloperskich w Polsce

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Inaczej niż korporacje

Ma 73 lata. Mówi o sobie „rolnik, człowiek ziemi". Posługuje się starą komórką, smartfona nie potrzebuje. Nosi charakterystyczne, sumiaste wąsy. Jak opowiada, okulary to efekt książek czytanych w dzieciństwie przy lampie naftowej. Choć zdobył wykształcenie artystyczne – ukończył liceum plastyczne oraz łódzką Szkołę Filmową na kierunku operatorskim – to smykałka do biznesu nie dawała o sobie zapomnieć. Od 1977 r. pracował na własnym gospodarstwie rolnym, a w latach 1990–1997 piastował stanowisko wójta gminy Trzebieszów. W tym samym czasie założył firmę. Gdy miał 100 tys. zł, otworzył jedną z pierwszych firm deweloperskich w Polsce. Arche Spółka Akcyjna zajęła się budową Osiedla Królowej Marysieńki w Wilanowie. Chodzi o Władysława Grochowskiego.

„Rozpoczęliśmy sporą inwestycję w Wilanowie, cztery podmioty. Na materiały budowlane nie było nas stać, na działkę też. Nabywcy płacili nam gotówką, ale poradziliśmy sobie. Gdzieś chcieli od nas łapówkę, bo nam pozwolenie uchylili, ale my nie mieliśmy nawet na łapówkę. Całe szczęście, że ja nigdy nie wpadłem w takie sytuacje. Na pierwszej inwestycji nie zarobiliśmy, dopiero na drugiej, ale doprowadziliśmy ją do końca" – opowiadał Grochowski w podcaście „Biznes na ostro" na YouTube. „Jest takie słowo »patodeweloperka«, może troszkę się nam należy. To ogólnie porządna branża. W części przynajmniej rozwiązuje jednak problem mieszkaniowy. Uczymy się szacunku dla środowiska, żeby osiedla były przyjazne dla ludzi, bo miasta, a szczególnie ich centra, nie są" – mówi biznesmen.

BUDYNKI Z DUSZĄ

Grochowski rozpoczął budowę sieci hoteli. Pierwszy powstał w 1998 r. w Siedlcach. Dziś Arche ma ponad 20 obiektów, które często są ulokowane w wyjątkowych lokalizacjach – zrewitalizowanych zabytkach. To właśnie odnawianie zaniedbanych perełek architektonicznych stało się znakiem firmowym Arche. „Znajdziecie tu Państwo nietuzinkowe wnętrza w budynkach pofabrycznych, piękne pałace i hotele miejskie, a wszystkie one położone są w malowniczych okolicznościach przyrody. Przyroda je okalająca sprzyja relaksowi, pieszym wycieczkom czy rowerowym wyprawom" – czytamy na stronie grupy. Władysław Grochowski wciąż wyszukuje nowe miejsca. Niektóre pod swój biznes, inne stają się częścią tkanki miejskiej. „Najnowsza rzecz, do której podchodziłem długo, to dworzec w Aleksandrowie Kujawskim. Burmistrz długo zabiegał, ale początkowo nie miałem pomysłu. Teraz już mam. Nieoczywisty projekt w nieoczywistym miasteczku, »wymierającym«, ale może to być wyjątkowy produkt turystyczny" – zauważa. Z kolei w Szczecinie Arche ruszyło z określaną przez lokalne media jako „spektakularna"

eprasa.pl 2049cc1e0e

rewitalizacją Olejarni Szczecin. „W tym miejscu ma powstać jeden z największych hoteli w Szczecinie z 185 pokojami, restauracjami i salami konferencyjnymi" – zapowiada główny architekt grupy, Piotr Grochowski (Władysław Grochowski to jego wuj), cytowany przez portal propertynews.pl.

„Do każdego biznesu podchodzę z dystansem, wiem, że to nie na zawsze, ale pieniądze potrafię zarabiać. Dużo ryzykowałem. Do tej pory mój majątek jest zastawiony. Stąpam mocno po ziemi, jestem cały czas rolnikiem, jestem fizycznie blisko ziemi. Potrafię liczyć […]. Na każdy obiekt można byłoby wydać dwa razy tyle. Ale jeżeli zostawiamy to, co czas za nas zrobił, zaprojektował, np. patyna, elementy, które są przez ludzi świetnie odbierane, są autentyczne, ludzie czują się swobodnie w takich miejscach. W takich obiektach ważne są relacje. Szczególnie po pandemii, w świecie cyfrowym" – tak Grochowski wyjaśnia swoją koncepcję. Uważa, że „budynki z duszą" pozwalają gościom i mieszkańcom na lepsze życie. „Jestem pustelnikiem trochę, z dużym dystansem. Kilometr mam do najbliższego sąsiada" – mówi. To nie oznacza, że nie dba o swój biznes, choć przyznaje, że powoli oddaje stery młodszym. „Trzy dni w tygodniu poświęcam na pracę. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będą to dwa dni na tydzień. Wprowadzam młodych, nowych ludzi" – opowiada przedsiębiorca.

PROGRAM PRODEMOGRAFICZNY

Dla Władysława Grochowskiego ważna jest społeczna odpowiedzialność biznesu. „W naszych hotelach jest ponad 100 tys. gości miesięcznie. Nie jesteśmy typową firmą. Działamy w niszy, dzięki czemu możemy przekazywać nasze wartości. Poznałem takie określenie »inwestowanie społeczne«, czyli mamy wpływ na społeczność. Angażujemy więźniów, osoby niepełnosprawne. To zmiana świadomości »na miękko« – mówi z dumą. W ramach grupy Arche realizowane są różne, dodatkowe projekty. „Zawsze miałem potrzebę działania społecznego, ale nie zawsze miałem możliwości. Po to powstała Fundacja Leny Grochowskiej. Państwo słabo radzi sobie z repatriacją, a my 30 rodzin sprowadziliśmy z Kazachstanu. Dostali pracę, mieszkanie. Teraz się usamodzielnili, jestem bardzo z nich dumny. Przyjęliśmy też uchodźców ze Wschodu. Polacy są porządni w takich trudnych sytuacjach" – mówi w podcaście. Jako biznesmen z krwi i kości nie ukrywa, że ma świadomość, iż takie działania robią dobrze wizerunkowi firmy, ale przekonuje, że chce działać inaczej niż wielkie korporacje. „Dla nich liczy się tylko pieniądz, żadnych problemów nie rozwiązują. Niszczą środowisko. W mieście Bousso w Czadzie wybudowaliśmy szkołę, tam rozlewiska jeziora wyschły. Co ludzie mają robić? Same mury na granicy nie rozwiążą problemów" – ocenia.

Dla twórcy firmy Arche społeczna odpowiedzialność biznesu to nie tylko słowa

Chęć wpływania na rzeczywistość przejawia się też w prodemograficznym programie „Arche Pokolenia". „W Polsce od lat mamy więcej zgonów niż urodzeń, stąd nasza populacja stale maleje i to nie tylko z powodu ujemnego przyrostu naturalnego, lecz także emigracji, zwłaszcza młodych osób. Według danych GUS liczba ludności na koniec grudnia 2024 r. wyniosła 37,49 mln osób, co oznacza, że obniżyła się aż o ok. 157 tys. osób w stosunku do stanu sprzed roku. Z kolei zgodnie z prognozą ZUS nasza populacja ulegnie dalszemu zmniejszeniu do ok. 36,57 mln osób w 2029 r. […]. Jeśli nic się nie zmieni, to zgodnie z projekcję demograficzną ONZ w 2100 r. będzie 14 mln Polaków, w tym ok. 7 mln w wieku produkcyjnym, a w roku 2200 nasza populacja wynosić będzie jedynie ok. 4 mln i dalej spadać" – alarmuje grupa. Wskazano, że niż przekłada się na słabnącą kondycję gospodarki. „Uruchomiliśmy więc program mający na celu zahamowanie negatywnego trendu demograficznego w naszym kraju. Seria zachęt dla pracowników, nabywców mieszkań i hotelowych gości ma obejmować bezpłatne imprezy okolicznościowe z okazji narodzin, a nawet nagrody w wysokości 10 tys. zł, motywujące do rodzenia dzieci. Warto dodać, że hotele sieci Arche honorują również 10 proc. zniżki wynikającej z Karty Dużej Rodziny i Karty Seniora, a dzieci do trzeciego roku życia gościmy za darmo. Tymi działaniami pragniemy zwrócić uwagę na rosnący problem demograficzny, a także zachęcić inne firmy do wdrażania kolejnych zachęt promacierzyńskich" – podkreśla firma Grochowskiego. To ewenement – pracodawca nagradzający pracownika za posiadanie dziecka. W wielu firmach kobiety w wieku rozrodczym albo nie mają szans na awans („bo i tak zaraz zajdą w ciążę"), albo wręcz już na etapie rekrutacyjnym deklaracja o chęci urodzenia dziecka jest dyskwalifikująca.

Władysław Grochowski przekonuje, że korporacyjne podejście do pracownika jest mu obce. „Korporacyjne zasady? Absolutnie. A po co nam to? Wszystko ma być dziś takie uregulowane. Porządny człowiek naturalnie zna wartości. Mamy najkrótszy regulamin pracy, jak było możliwe. Ufamy wszystkim, zmieniamy siebie. To najprostszy kierunek" – podkreśla. „Nauczyłem się, że jak się daje człowiekowi szacunek i zaufanie, to on nie chce zawieść. Absolutnie jestem za tym. Jak w swoim czasie zostałem wójtem, dałem podwładnym pieczątki »z upoważnienia wójta«. Nikt mnie nie zawiódł. Ludzie są porządni, tylko niektórzy chcą nimi sterować i to jest nieszczęście. A każdy może być wielki. Pokojowa, gospodarczy, oni są niezastąpieni. To dyrektorów nie brakuje, a wszystko opiera się na szeregowych pracownikach" – mówi biznesmen. Grochowski zapewnia, że nie chce być zależny od polityków. „Do salonów politycznych podchodzę z dużą rezerwą. Jak tam się wchodzi, trzeba być podobnym. Przyjąłbym propozycję współpracy z władzami w sprawie deregulacji, tylko nikt by nie chciał moich pomysłów (śmiech)" – twierdzi. Pytany, co powinno się zmienić w przepisach, aby biznes miał w Polsce łatwiej, mówi: „Żeby napisać jedną stronę nowego prawa, zacząłbym od wyrzucenia 10 starych. My regulujemy, regulujemy, tylko nikt w tym nie potrafi się poruszać".

Szef Arche przekonuje, że do pracy napędzają go ludzie. „Mój zespół to 2 tys. ludzi. Z podwykonawcami w sumie pewnie ok. 4 tys. Czuję się za nich odpowiedzialny, żeby mieli pracę, żeby nudy nie było […]. Cały czas się uczę" – zapewnia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



„Portret córek Edwarda Darleya Boita”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Amerykanin w Paryżu



Piotr Semka z Paryża

Czy błyskotliwy rozkwit malarskiej kariery można przekreślić jednym, lekko frywolnym obrazem? Jak najbardziej. Dowiódł tego amerykański malarz John Singer Sargent (1856–1925). W 1882 r. jego portret „Madame Gautreau (Madame X)” sprawił, że odwrócił się od niego niemal cały francuski beau monde

Sargent i olśniewający Paryż” – tak nazywa się wystawa w Musée d’Orsay, specjalizującym się w sztuce fin de siècle. Epoce tak bardzo inspirującej dla artystów. Stolica Francji przyciągała wtedy malarzy z całego świata. Przyciągnęła też i Sargenta. Mówiono o nim: „Z urodzenia Amerykanin. Z pędzla Francuz”. To tu, nad Sekwaną, „zaraził się” impresjonizmem.

„Paryż był dla niego czymś więcej niż tylko przystankiem” – piszą autorzy wystawy w katalogu. „Kiedy osiedlił się tu w 1874 r., stolica Francji tętniła energią, a błyskotliwy młody artysta odnalazł swoje powołanie. Kształcący się w pracowniach Carolusa-Durana i Léona Bonnata Sargent urzekł paryskie towarzystwo. Dzięki wirtuozerii pociągnięć pędzla, sile portretów i elegancji spojrzenia wypracował swój niepowtarzalny styl. Francuski świat sztuki okrzyknął ten niezwykły, niekiedy szokujący talent, zanim uznanie stopniowo ustąpiło

eprasa.pl 2049cc1e0e

miejsca pewnej nieufności… i ostatecznie zapomnieniu w XX w.”.

Sargent i Paryż wydawali się nierozłączną parą. Ale wielkie miłości niekiedy kończą się nagłym zerwaniem. Specjalną biograficzną wystawą Musée d’Orsay przeprasza za skandal sprzed 143 lat.

OBYWATEL ŚWIATA

Był Amerykaninem, ale przyszedł na świat w 1856 r. we Florencji. Pochodził ze starego i wpływowego rodu z Zachodniego Wybrzeża Ameryki, pod którego filary powodzenia założył Epes Sargent (1690–1762), wojskowy, sędzia i wielki właściciel ziemski. Jego potomkiem był ojciec malarza – Fitzwilliam Sargent (1826–1904), zamożny lekarz okulista z artystycznymi zainteresowaniami. Gdy jego żona Mary Newbold Sargent wpadła w depresję po śmierci córki, Sargent senior postanowił wyjechać z nią do Europy. Tu urodził się przyszły wielki malarz.

Dostatek towarzyszyć mu będzie od początku życia i nie opuści go nigdy. Rodzice Sargenta zostaną nomadami i emigrantami do końca swoich dni, choć najczęstszym ich adresem będzie Paryż. Wraz z synem odwiedzają kurorty Francji, Niemiec, Włoch i Szwajcarii. Sami będą uczyć syna rysunku. Liczne podróże z matką malarką amatorką i miłośniczką sztuki wyczuliły syna na arcydzieła mistrzów antyku, renesansu i baroku.

John Singer Sargent po raz pierwszy do francuskiej stolicy przybędzie jako 18-latek. Tu zachłysnął się nowymi prądami w malarstwie i tu ukształtował ostatecznie swoją osobowość artystyczną. Jak to się niekiedy mówi, „przybył w odpowiednie miejsce, w odpowiednim czasie”. Zaczynała się wielka malarska rewolucja. Claude Monet, Auguste Renoir czy Edgar Degas eksperymentowali ze światłem i kolorem. Bardzo interesowało to Sargenta, który od dziecka dał się poznać jako wyjątkowo uważny obserwator przyrody. W chwili przybycia do Paryża dobrze znał już dzieła mistrzów renesansu. Jak pisał w 1874 r.: „W Wenecji nauczyłem się niezmiernie podziwiać Tintoretta i uważać go za najlepszego po Michale Aniele i Tycjanie”.

LUSTRO ELIT

W stolicy Francji jankes obieżyświat trafił pod opiekę uznanego portrecisty



John Singer Sargent, portert „Madame Gautreau (Madame X)”, 1883–1884

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Charlesa Duranta, szerzej znanego pod przydomkiem Carolus-Duran. To on poznał go z prekursorami impresjonizmu: Monetem i Degasem. W 1874 r. Sargent zdał za pierwszym razem rygorystyczny egzamin wymagany do przyjęcia do École des Beaux-Arts, czołowej szkoły artystycznej we Francji. W 1879 r. był już w pełni ukształtowanym artystą. Jego specjalnością stały się portrety. Malował też impresje z wielu zagranicznych podróży, które doprowadziły go aż na południe Hiszpanii, do Maroka i Tunisu. Powstałe tam obrazy łączą w sobie egzotykę, tajemniczość i zmysłowość. Wizyta w Andaluzji skłoniła go do odmalowania piękna tańca flamenco na czele z arcydziełem „El Jaleo” z 1882 r.

Ale najbardziej zachwycały jego portrety, które urzekały wnikliwością i doskonałym uchwyceniem psychologii malowanych osób.

Na wystawie czytamy: „To właśnie w dziedzinie portretu Sargent ugruntował swoją pozycję najzdolniejszego artysty swoich czasów, przewyższając mistrzów i dorównując wielkim artystom przeszłości. Styl jego kompozycji niepokoił publiczność i urzekał krytyków, którzy widzieli w nim godnego następcę Velázqueza”.

Komentując w 1883 r. jeden z najoryginalniejszych obrazów Sargenta „Portret córek Edwarda Darleya Boita”, amerykański pisarz Henry James zauważył, że artysta „oferuje dziwnie niepokojący spektakl talentu, który u progu kariery nie ma już niczego do nauczenia”.

Sargent – sam wieczny wędrowiec – doskonale wkomponował się w kosmopolityczne kręgi artystów, pisarzy i szanowanych mecenasów, którzy wspierali jego karierę i pomogli ukształtować jego artystyczną tożsamość. Autorzy wystawy prześwietlają związki malarza z gigantami paryskiej sceny artystycznej, a także wpływowymi postaciami epoki.

MALARSKA FEMME FATALE

Ambitny Amerykanin w Paryżu szybko odkrył, że za portrety najwięcej płacą bogaci i możni. Płacą, ale w zamian żądają najwyższej jakości talentu przy ich portretowaniu i tym samym unieśmiertelnianiu. A talentu Sargentowi akurat nie brakowało.

Malarz zauważył, że zamówienia na obrazy najlepiej zdobywa się, osobiście krążąc po salonach władczyń życia towarzyskiego Paryża. Salony, które opisze potem tak mistrzowsko Marcel Proust. Jak piszą autorzy ekspozycji: „Liczne portrety tych postaci, które pozostawił nam Sargent, malują urzekający obraz dynamicznie zmieniającego się, wysoce kosmopolitycznego społeczeństwa, w którym stara europejska arystokracja mieszała się z młodymi fortunami nuworyszy”. O sukcesie Sargenta zadecydowały jego imponujące umiejętności techniczne, błyskotliwość pociągnięć pędzla, mieniąca się jakość barw i prowokująca pewność siebie.

I właśnie wtedy poczuł się zbyt pewnie. Coś skłoniło go do przekroczenia ówczesnych norm. Kim była kobieta, której uroda zawróciła jankesowi w głowie?

Virginia de Gautreau (1859–1915) urodziła się w Nowym Orleanie i pochodziła z rodziny Kreoli – pierwszych francuskich osadników na terenie dzisiejszej Luizjany. Przeniosła się do Francji w 1867 r. i po pewnym czasie,

eprasa.pl 2049cc1e0e

w 1878 r., jej mężem został dwukrotnie od niej starszy Pierre de Gautreau – francuski bankier i magnat linii okrętowych. W tym czasie żyła już w separacji, ale stała pensja od męża zapewniała jej życie w luksusie. Ogromne pieniądze zawsze były najlepszą przepustką do wyższych sfer Paryża. Choć za plecami kpiono po cichu z jej plebejskich korzeni, to przykuwała uwagę swoją specyficzną urodą. Wszystkie salony paryskie stały przed nią otworem.

Nic dziwnego, że Sargent uznał za punkt honoru namalowanie tak wyjątkowej kobiety. On miał wtedy 28, ona – 25 lat. Potem plotkowano, że musiało to być coś więcej niż pozowanie, ale inni wskazywali, że samo malowanie tak zmysłowej damy musiało być dla Sargenta doznaniem wręcz erotycznym.

Gdy obraz zaprezentowano na Salonie paryskim w 1884 r., wybuchł skandal.

Pani de Gautreau została namalowana w obcisłej, wydekoltowanej sukni balowej z jednym z ramiączek opuszczonych w dół. Wyglądała tak, jakby za sekundę cała suknia miała spaść w dół i okazać w pełni jej alabastrowe ciało. Na dodatek wyzywająca poza i wyraz twarzy modelki aż wibrowały arogancją i zalotnością. Było też coś w tym obrazie z wyzwania „Nowego Świata" dla mentalności starego kontynentu. W końcu w tym wypadku to Amerykanin malował inną Amerykankę.



Zdjęcie oryginalnej wersji portretu Madame Gautreau – wersja z opuszczonym ramiączkiem FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dziś to opuszczone ramiączko wygląda całkiem niewinnie, ale wtedy było otwarciem wrót do swobody obyczajowej.

Amerykanin zarabiał przede wszystkim malowaniem portretów, głównie kobiecych. A po obejrzeniu obrazu Madame de Gautreau każdy mąż, który wcześniej patrzył życzliwym okiem na Sargenta, zaczynał się obawiać, czy malarz nie namaluje jego żony w stylu ladacznicy. Jak za cięciem noża skończyły się zaproszenia na wizyty i bale. Niedawni serdeczni znajomi mijali artystę na ulicy i odwracali głowy. Zamówienia na portrety się skończyły. „Pana tu już nie ma" – szydzili mu w twarz malarscy rywale, których irytował wcześniej swą pewnością siebie.

Urażony reakcją salonu zabrał obraz do swego studia i dopiero w 1916 r., rok po śmierci Madame de Gautreau, sprzedał je nowojorskiemu Metropolitan Museum of Art. Do końca życia dumnie twierdził, że to „najlepsze, co mu się udało".

Krytycy wahali się między uznaniem wyjątkowości dzieła a stwierdzeniem, że obraz jest zbyt drastycznym wyzwaniem dla moralności

Krytycy wahali się między uznaniem wyjątkowości dzieła a stwierdzeniem, że obraz jest zbyt drastycznym wyzwaniem dla moralności. Matka Madame de Gautreau zażądała wówczas usunięcia obrazu z salonu. W obliczu tych reakcji Virginie Gautreau wycofała swoje poparcie dla twórczości Johna Singera Sargenta.

Artysta próbował uratować sytuację domalowaniem ramiączka sukni w normalnym, pionowym położeniu, ale to tylko go ośmieszyło. I wcale nie polepszyło jego sytuacji.

Zakłopotana skandalem Madame de Gautreau zleciła dwóm malarzom Antoniowi de La Gándarze i Gustave'owi Courtois namalowanie dwóch jej portretów, które zostały potem wystawione w salonach artystycznych. Pomysł nie wypalił. Oba obrazy nie spotkały się z oczekiwanym przyjęciem.

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

Sargent, obrażony na Paryż, wyprowadził się do Londynu. Tu odkrył, że wieści o jego skandalu dotarły już nad Tamizę i zadziałały jak najlepszy PR. Początkowo zamawiały u niego portrety bogate kobiety, które zaintrygował portret Madame de Gautreau. Potem posypały się propozycje z wyższych sfer. Sargent wyciągnął wnioski z paryskiej lekcji i już nigdy w swoich obrazach nie przekraczał obyczajowych norm epoki. Były one nadal bardzo dobre, ale żaden nie otarł się już o wybitność.

Trwałe okazały się więzi artysty z francuskimi impresjonistami, nawet po przeprowadzce do Londynu. W 1890 r. z Londynu przesyłał wyrazy wsparcia dla postulatu włączenia „Olympii" Maneta, artysty, którego podziwiał, do francuskich zbiorów narodowych. Pewne poczucie rehabilitacji dobrego imienia nastąpiło w 1892 r., gdy państwo zakupiło jego portret hiszpańskiej tancerki „Carmencity" dla Musée du Luxembourg.

Zmarł w 1925 r. w Londynie. O ile we Francji dość szybko o nim zapomniano, o tyle w Ameryce stał się legendą. Sargent jest w USA uznawany, obok Jamesa McNeilla Whistlera, za najsłynniejszego amerykańskiego artystę swojego pokolenia i prawdopodobnie jednego z najwybitniejszych malarzy przełomu wieków XIX i XX. Jest również czczony w Wielkiej Brytanii, gdzie spędził większość swojej kariery.

Jego portret „Madame X" z amerykańskiej kolekcji Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku nazywany jest „amerykańską »Mona Lisą«". Nowy Świat bardzo potrzebował własnej artystycznej legendy i dzieło Sargenta doskonale wpisało się w jej tworzenie.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Sargent i olśniewający Paryż" w Musee d'Orsay czynna będzie do 11 stycznia 2026 r. Szczegóły: https://www.musee-orsay.fr/fr.

eprasa.pl 2049cc1e0e



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



CZY NAPOLEON CYNICZNIE WYKORZYSTAŁ POLAKÓW?

Polska napoleońska – Możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on – mówi w wywiadzie prof. Jarosław Czubaty

Betlejemski cud z kamienia – To, że przetrwała półtora tysiąca lat, można postrzegać w kategoriach cudu. Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem nie zniszczyły nawet zaciekłe wojny toczone w Palestynie

Jak Polska odzyskała wzrok – Pierwszy o ślepocie Mieszka I i odzyskaniu przez niego wzroku napisał Gall Anonim. Później w swoich kronikach powtórzyli to kolejni dziejopisarze, aż w końcu zajął się tym tematem zdolny polski malarz. Jak rozumieć te zastanawiające opowieści?

Fałsz pogańskiej męczennicy – Wbrew sugestiom reżysera filmu „Agora" Hypatia padła ofiarą mordu politycznego, a nie religijnego

Z Sarn na Sybir – Wiesław Adamczyk do końca życia przeżywał tragedię, która spotkała jego rodzinę w Związku Sowieckim. Swój wolny czas poświęcał jednak również na dokumentowanie dramatów innych małych zesłańców

Łotewskie „Dzikie Koty" – Pod koniec wojny Niemcy starali się wykorzystać Łotyszy do spowalniania sowieckiego uderzenia. Ci jednak widzieli, jakie są prawdziwe zamiary „partnerów" w Berlinie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2049cc1e0e

Pięć okazji



Piotr Gociek

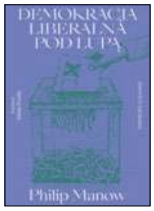
Na koniec roku chciałbym polecić kilka ważnych książek, których nie znajdziecie na listach bestsellerów, ale które pomagają zrozumieć świat



RYSZARD LEGUTKO „REKAPITULACJA” FRONDA

Książek prof. Ryszarda Legutki specjalnie rekomendować nie trzeba, bo autor ten jest klasą samą dla siebie. Na „Rekapitulację” warto jednak zwrócić uwagę szczególną, bo też szczególnie ważne jest dla nas doświadczenie polskiego losu, które próbuje uchwycić autor, wychodząc od subiektywnych doświadczeń i obserwacji. Nie jest to jednak autobiografia czy pamiętnik – zastrzega Legutko. „W zamyśle książka nie miała być zapisem zdarzeń przeszłych, lecz próbą zrozumienia tego, co mi się przytrafiło, a także co przytrafiało się światu, w którym żyłem”.

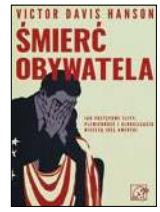
Dla tych, którzy pamiętają publicystykę oraz wczesne książki prof. Legutki, książka ta zaskoczeniem nie będzie; podobnie jak dla czytelników kilku już wydań „Eseju o duszy polskiej”. A jednak „Rekapitulacja” zaskakuje, bo ten wywód brzmi wyjątkowo mocno: obserwujemy dojrzewanie myśliciela do rozumienia świata oraz dzieje kraju, w którym z uporem godnym lepszej sprawy drogi zrozumienia i samonaprawy odrzucano. „Dramat Polski pozostaje ten sam, a sytuacja istotnie nowa jest w niemałej części sytuacją istotnie starą. Inni są aktorzy rozgrywanego dramatu, inny tekst przez nich opowiadany, ale główna oś dramaturgiczna ta sama. Znowu tracimy suwerenność, częściowo na własne życzenie; znowu mamy kłopoty z silniejszymi od nas sąsiadami; znowu wrogom suwerenności udało się stworzyć potężną siłę, a jej zwolennikom trudno jest zebrać trwałą większość” – pisze prof. Legutko.



PHILIP MANOW „DEMOKRACJA LIBERALNA POD LUPĄ” INSTYTUT ZACHODNI

Bezcenna książka, w której autor rzuca wyzwanie dogmatom obowiązującym we współczesnej polityce europejskiej oraz w lewicowo-liberalnych mediach. Tym, co może najbardziej zaskakiwać polskiego czytelnika, jest fakt, że wyszła spod pióra badacza niemieckiego. Ceniony politolog zastanawia się nad źródłami konfliktu między zwolennikami tezy o konieczności i nieuchronności demokracji liberalnej a jej krytykami, beztrosko i fałszywie ogłaszanymi nie tylko populistami, lecz także wrogami demokracji w ogóle. To ostatnie hasło okazuje się szczególnie fałszywe, bo Manow dowodzi, że mówimy o bardzo konkretnym konflikcie politycznym wywołanym całkowicie odmiennymi doświadczeniami historycznymi dwóch części Europy: zachodniej i wschodniej. Ta pierwsza za największe zagrożenie uznała ewentualny powrót agresywnego państwa narodowego, którym były Niemcy Adolfa Hitlera. Dla tej drugiej kluczowe było doświadczenie agresywnego internacjonalizmu w wykonaniu imperium Józefa Stalina. Kształt porządku prawnego i politycznego został jednak dla wszystkich narzucony przez tych pierwszych.

Jak pisze Manow, to, co postrzegane jest jako „kryzys demokracji”, jest w istocie „kryzysem szczególnego, historycznie ukształtowanego zespołu instytucji”. W jego centrum jest konflikt na styku prawa i polityki wywołany faktem, że „demokratyzacja przybrała postać specyficznej jurydyzacji konstytucyjnej”. Kompromisy zawarte w latach 80. i 90. XX stulecia są niespójne, a ich narzucanie innym krajom odbywa się w „ponadpaństwowej przestrzeni prawnej”. Fascynujący jest to wywód, rozbijający w pył argumentację wszystkich ślepo wierzących w bezalternatywność modelu, zwanego liberalną demokracją, który stanowi w istocie jedynie jedną z wielu form sprawowania demokratycznych rządów.



VICTOR DAVIS HANSON „ŚMIERĆ OBYWATELA” WYDAWNICTWO WEI

Niezwykłe czasy wymagają niezwykłej aktywności. Wybitny historyk wojskowości Victor David Hanson, który od półwiecza studiuje sztukę wojenną starożytnych oraz dzieje drugiej wojny światowej rozszerzył w ostatnich latach swą działalność na sferę publiczną. I stał się jednym z najciekawszych i najbardziej przenikliwych komentatorów współczesnej polityki. Tak naprawdę ta refleksja była stale obecna w jego naukowych wywodach, potrafił bowiem doskonale pokazać, jak wiele można zrozumieć ze współczesności, odwołując się do politycznych i militarnych doświadczeń z historii. Ostro występował przeciw upadkowi edukacji („Who Killed Homer? The Demise of Classical Education and the Recovery of Greek Wisdom”, 1998), trzeźwo i bez uprzedzeń przyglądał się przyczynom popularności Trumpa („The Case for Trump”, 2019).

Jego najważniejsza książka ostatniej dekady ukazała się po polsku dzięki Warsaw Enterprise Institute. Nosi tytuł:

eprasa.pl 2049cc1e0e

do myślenia

„Śmierć obywatela. Jak postępowe elity, plemienność i globalizacja niszczą ideę Ameryki". Dzieło Hansona nie tylko jest świetną diagnozą przyczyn kryzysu, w którym za sprawą oligarchicznego turbokapitalizmu i agresywnych działań lewicy znalazła się Ameryka. To też świetne uzupełnienie prac socjologa Richarda Sennetta, zwłaszcza książek „Upadek człowieka publicznego" i „Korozja charakteru. Osobiste konsekwencje pracy w nowym kapitalizmie". Sennett ma poglądy liberalne, Hanson jest konserwatystą, ale obaj dostrzegają niszczące skutki przemian wywołanych fałszywie rozumianą wolnością zwyrodniałego kapitalizmu, który nie ma wiele wspólnego z naprawdę wolnym rynkiem, promuje za to koncentrację kapitału i pauperyzację pracownika oraz – co ważniejsze – obywatela.

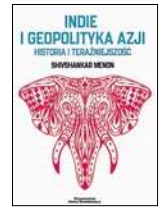
Świetnie byłoby uzupełnić te wywody o jeszcze jedną pozycję, która tłumaczy, dlaczego powrót do religii, tradycji, narodowej tożsamości i rodziny jest dobrą drogą, by z tymi patologiami walczyć. Książka „Return of the Strong Gods: Nationalism, Populism, and the Future of the West" R.R. Reno czeka jednak dopiero na polskiego wydawcę.



KAROL WAŁACHOWSKI „POZA NAJWIĘKSZYMI. STUDIUM O BYŁYCH STOLICACH WOJEWÓDZTW" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

Od kilku lat – może nieco więcej – zniknęło z polskiej przestrzeni publicznej tabu, którego przestrzegania surowo strzegł niegdyś cały aparat propagandowy III RP. Może dlatego, że z potęgi „Gazety Wyborczej" zostało niewiele, może dlatego, że zarówno PiS, jak i nowa generacja lewicy niepezetpeerowskiej głośno mówiły o nierównościach transformacji, a może dlatego, że dorosło kolejne pokolenie, które może opisywać pomijane dotąd tragedie przez pryzmat własnych doświadczeń. Ukazywały się reporterskie książki przywracające pamięć o dramacie pozostawionych samym sobie pracowników dawnych PGR-ów czy równie smutnym losie bezrobotnych na Śląsku i w innych uprzemysłowionych za PRL, a zdewastowanych przez transformację regionach kraju. Nagle okazało się, że można mówić głośno to, za co autorzy prawicowej prasy w latach 90. nazywani byli przez salon „oszołomami" i „homo sovieticus" – że w tej grze zbyt wielu zostało bezmyślnie skazanych na wykluczenie z budowy nowej Polski.

Książka Karola Wałachowskiego o dawnych stolicach województwa rozszerza te rozważania o nową perspektywę. Jako Częstochowianin z pochodzenia także on ma zresztą na opisywane kwestie własne, osobiste spojrzenie. Nie mamy jednak do czynienia z reportażem, ale poważną analizą (zręcznie napisaną). Reformę administracyjną z roku 1999 zwykło się przedstawiać jako wielki sukces polskiej samorządności, ale od pewnego czasu przybywa głosów krytycznych – i książka Wałachowskiego doskonale pokazuje dlaczego. Największe miasta cieszą się rozwojem i nowymi inwestycjami, a wieś może liczyć na aktywną politykę rolną. Ale to, co pomiędzy, czyli Polska mniejszych i średnich ośrodków, pozostaje coraz bardziej w tyle. III RP wyrzuca tym samym na śmietnik dużą część ogromnego potencjału rozwoju – ten potencjał także opisuje Wałachowski.



SHIVSHANKAR MENON „INDIE I GEOPOLITYKA AZJI" WYDAWNICTWO NOWEJ KONFEDERACJI

Ciekawe książki nie mają daty wygaśnięcia przydatności do spożycia – na koniec sięgnę zatem po publikację, która ukazała się jeszcze w roku 2024, ale dopiero niedawno trafiła na moją półkę. Jej autor to figura ceniona nie tylko we własnym kraju, gdzie ma za sobą długą karierę polityka i dyplomaty. Był doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego premiera Indii, ambasadorował na najważniejszych placówkach (Chiny czy Izrael). Jego obszerna praca na temat polityki Indii wydaje się szczególnie ważna w czasach, gdy zarówno Donald Trump, jak i Xi Jinping czy Władimir Putin aktywnie zabiegają o dobre relacje z rządem w Delhi.

Shivshankar Menon szczególnie wiele uwagi poświęca kwestii chińskiej, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę rywalizację między tymi dwoma potężnymi krajami. Przestrzega przed patrzeniem na Pekin przez zachodnie okulary, podkreśla, że geografia, historia, zasoby i zależności Chin od świata bardzo różnią się od tych, które definiowały politykę poprzednich supermocarstw, czyli Wielkiej Brytanii i USA (ciekawe, że w perspektywie Menona Ameryka to już byłe supermocarstwo). A politykę Pekinu napędza dążenie do naprawienia „historycznych krzywd", bo chińskie elity postrzegają ostatnie 150 lat jako historyczną aberrację, jako „100-lecie upokorzenia", za które przyszedł wreszcie czas zapłaty.

Oczywiście także polityki Indii nie da się zrozumieć, stosując proste kalki z analiz działań krajów Zachodu, i nie chodzi tylko o zagrożenie, którym są dwie atomowe potęgi: z jednej strony Chiny, z drugiej – Pakistan. Menon w swoich publikacjach i wywiadach przypomina, że południowo-wschodnia Azja to miejsce, gdzie bardzo stare narody żyją w całkiem nowych granicach, co dodatkowo komplikuje w tym regionie prowadzenie i tak niełatwej przecież polityki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

Chochoł i zamach na narodową scenę



Grzegorz Kondrasiuk



„Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu" – spektakl w reżyserii Jakuba Skrzywanka

FOT. HAWA/NST KRAKÓW

Tak się złożyło, że w krótkim interwale obejrzałem inauguracyjne spektakle nowych dyrektorów dwóch polskich scen nazwanych – zapewne nie bez przyczyny – narodowymi. O dziele Jana Klaty pisałem w poprzedniej recenzji, z Jakuba Skrzywanka bombastycznym tytułem „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu" zapoznałem się na właśnie zakończonym festiwalu Boska Komedia.

Szczególna to kategoria, spektakl programowy, przygotowany na otwarcie dyrekcji (Skrzywanek od września 2025 r. jest zastępcą do spraw artystycznych przy nowej dyrektorce, Dorocie Ignatjew). Uprawnione są tu też wnioski na temat aktualnego stanu zespołu i jego potencjału. Skoro zaś mowa o narodowych scenach, to także wnioski na temat stanu polskiego teatru en bloc. W dodatku „Zamach…" został wskazany przez selekcjonerów Boskiej Komedii (która jest tzw. polskim showcase'em) jako jeden z dziewięciu spektakli tego roku wartych oceny przez zagraniczne jury. Gdyby nie kuriozalna decyzja, kompromitująca selekcjonerów Boskiej, może by się jakoś udało tę epicką klęskę schować. Mało to rozsądne wystawiać na świecznik ten programowy manifest – ale manifest hucpiarstwa, cynizmu, manipulacji i bylejakości, podany w atrakcyjnym opakowaniu.

Oto w pierwszej części oglądamy początek n-tej realizacji „Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego, kiedy to dochodzi do zamachu terrorystycznego i giną ludzie, w drugiej zaś śledzimy różne procesy budowania wokół tego zdarzenia wspólnotowego mitu. Tyle. A skoro rzecz cała oparta jest na pomyśle możliwym do streszczenia w jednym akapicie, to energia wyczerpuje się po kwadransie, a kolejne, dłużące się w nieskończoność minuty są galwanizowaniem trupa. Po trzech godzinach tej mordęgi mamy monolog Doroty Segdy, która na tle kosmicznej projekcji (gasnące słońce?) wywodzi, że „cała scena pulsuje odwiecznym rytmem wszechświata", że dla artystów Starego Teatru postromantyczna klasyka nie jest już żadną propozycją, po czym otwiera słynne okno na plac Szczepański, przez które wyskakiwał Rollison w „Dziadach" Swinarskiego.

Nie jestem mocny w logice, ale chyba mamy tu karykaturalny, osłabiony argument przeciwnika, wysunięty po to, by walić weń jak w słomianą kukłę i na jego tle przedstawić inny, własny. Cóż to za zabawny zbieg okoliczności, że fałszywa dychotomia, prymitywny sylogizm uprawiany na co dzień przez polityków bywa nazwany „atakowaniem chochoła"?! Jest chochoł, od słomianego krzyża, stojącego na pustej scenie, rozpoczyna się ten spektakl. I tak z pakuł i ze słomy skonstruowane są fejkowe sceny „Wyzwolenia", gdzie didaskalia czyta bot w rodzaju słynnej z Internetu Iwony. Kiepsko, z udawanym patosem mówiony Wyspiański, jakiś pogrzeb (gdzie na proporcach widać np. rozbity samolot…), a Konrad ma kostium z dresem w trzy paski… Gdyby to chociaż był własny pomysł, ale przecież to „Artyści", serial Strzępki i Demirskiego, rozpoczyna się od parodii „nowoczesnego" teatru. Wreszcie wpadają terroryści w kominiarkach i leci seria scen z jasno nakreślonymi tematami: żałoba, debata telewizyjna (projekcje w foyer), akademia ku czci. Już nie trzeba silić się na budowanie głębi, mozolnie rozwijane z etiud scenki są porażająco banalne, z postaciami o prowizorycznie skleconej psychice opartej na jednym afekcie. A ponieważ aktorzy w Starym grać umieją, to efekt jest taki, jakby pianistom na konkursie chopinowskim zamiast preludiów i nokturnów rozdać wprawki, palcówki dla pierwszej klasy ogniska muzycznego. Chodzi tylko o to, chyba każdy to pojmie, żeby aluzyjnie pokazać, jak w Polsce manipuluje się pamięcią ofiar po tragedii (dla mniej kumatych: Smoleńsk). Wystarczy przyjrzeć się Grzegorzowi Mielczarkowi w roli Prezesa stowarzyszenia kultywowania pamięci (wyróżnionej przez zagraniczne jury), zrobionej z parodii, pół na pół, Macierewicza z o. Rydzykiem. Najważniejsze, żeby walić w PiS i w konserwę. Cóż z tego, że przy okazji w nieodpowiedzialny sposób inscenizuje się, w kraju na razie bez zamachów, niebezpieczne fantazje o terrorystach, a pamięć, procesy wspólnotowe, tożsamość są znacznie bardziej skomplikowane. Zrzucanie z ramion płaszcza Konrada skamandryci ogłaszali ponad 100 lat temu.

Chciałoby się też powiedzieć krakowskim aktorom: zamiast przez trzy godziny opowiadać o tym, że nie chcecie robić „Wyzwolenia", po prostu go nie róbcie, wystawcie sobie jakiś inny tytuł. Przecież nikt wam niczego nie każe. Wyważacie dawno otwarte drzwi, nudzicie, marnujecie czas na żenującym poziomie naiwności. ©℗

„ZAMACH NA NARODOWY STARY TEATR. NARODZINY NARODU"
REŻYSERIA: JAKUB SKRZYWANEK
SCENARIUSZ: JAN CZAPLIŃSKI, JAKUB SKRZYWANEK
PREMIERA: 21 MARCA 2025 R.
POKAZ NA FESTIWALU BOSKA KOMEDIA (SPEKTAKL KONKURSOWY)

eprasa.pl 2049cc1e0e

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

„PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ"
„PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1291 ZŁ~~

539,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 752 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2049cc1e0e



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Sceny z życia



★★★★★★

REŻ. NOAH BAUMBACH „JAY KELLY” (USA 2025)

wyst. George Clooney, Adam Sandler, Laura Dern

Film „Jay Kelly” łączy dwie hollywoodzkie tradycje. Pierwsza to nurt filmów o tym, jak straszny jest biznes filmowy i jak cierpią ci, którzy poświęcają się, by miliony miały co oglądać i oklaskiwać w kinach. Hollywood uwielbia takie historie, nawet kiedy są ponure – jak „Bulwar Zachodzącego Słońca” czy „Birdman”. Czują się wtedy przez chwilę kimś więcej niż cyrkowcami do wynajęcia – czują się artystami. Druga tradycja to standard znany z każdego amerykańskiego feel good movie: główny bohater przygląda się swemu życiu i zastanawia, czy było warto, czy kariera ważniejsza jest od rodziny. Morał zwykle też jest przewidywalny: każdy zasługuje na drugą szansę.

Noah Baumbach („Frances Ha”, „Historia małżeńska”) próbuje pogodzić te tradycje: los gwiazdy nie taki straszny, ale i szczęśliwe zakończenie stoi pod znakiem zapytania. Gdy George Clooney (grający starzejącego się tytułowego samotnego gwiazdora) mówi, że chciałby przeżyć życie jeszcze raz, nie wiemy, czy dlatego, że chciałby je przeżyć inaczej, czy dlatego, że było tak fajne, że ma ochotę na powtórkę. „Jay Kelly” byłby lepszym dramatem, gdyby był ostrzejszy, w obecnej wersji utyka gdzieś między ckliwym dramatem a umiarkowanie szyderczą satyrą. Dobrze, że na drugim planie błyszczy Adam Sandler jako menedżer Jaya.

Rozpamiętujący przeszłość Kelly oczywiście się myli, i to podwójnie: zwykli ludzie, którym zazdrości życia, nie są tak fajni, ciekawi i fascynujący, jak sądzi. Ale też los bogatego gwiazdora nie jest tak ciężki, jak chce nam wmówić. Zostawmy opowieści o tym, jak trudno jest być pięknym, sławnym i bogatym tam, gdzie powinny się znajdować – w telenowelach. To nie Hollywood jest problemem Jaya Kelly’ego, to on sam jest tym problemem. Może wygląda ładnie, może podoba się widzom, ale jako człowiek jest osobnikiem nieciekawym, pustym i niezbyt mądrym. Żal, który odkrywa w sobie, widząc śmierć bliskich i rozpad rodziny, nie idzie w parze ze szczerą skruchą, jest jedynie biadaniem: ojej, jaki jestem nieszczęśliwy! Prawda jest okrutna: Hollywood czy nie, z karierą czy bez, ostatecznie jesteś tym, kim jesteś. Jay Kelly nie był nikim specjalnie ciekawym od samego początku. ©℗

GRA TYGODNIA: „KIRBY AIR RIDERS”

Pod cukierkową oprawą, sprawiającą wrażenie tytułu dla dzieci, kryje się bardzo przyjemna gra imprezowa, która konkurować może z „Mario Kart”. „Kirby Air Riders” także jest grą, której podstaw nauczymy się szybko, ale która będzie wymagała od nas sporo czasu i wysiłku, by nauczyć się pokonywania tras po mistrzowsku, wykorzystując unikalne cechy postaci, pojazdów i torów. Tryb singlowy traktujmy jako rozgrzewkę przed grą ze znajomymi, którą możemy toczyć w kilku trybach. Dorzućmy do tego dobrą oprawę audio i wideo oraz optymalizację i mamy ciekawą alternatywę dla „Mario Kart”.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

©℗ *Radosław Wojtas*

- *Gatunek: wyścigi*
- *Platforma: Nintendo Switch 2*
- *Producent; wydawca PL: Nintendo; ConQuest*

eprasa.pl 2049cc1e0e

Na Sycylii bez zmian

NH nowe horyzonty



★★★★★★

REŻ. FABIO GRASSADONIA, ANTONIO PIAZZA
„LISTY SYCYLIJSKIE" („IDDU")
WŁOCHY 2024

wyst. Toni Servillo, Elio Germano, Antonia Truppo

Kraina słońca, świątyń i oliwy, początek XXI w. „Direttore" Palumbo wychodzi z więzienia. Skompromitowany i spłukany samorządowiec próbuje trzymać fason, ale nawet własna żona go nie szanuje. Na domiar złego dostaje od służb specjalnych propozycję nie do odrzucenia. Ma wywabić z kryjówki ukrywającego się od lat mafijnego bossa. „Ostatni ojciec chrzestny" to ewidentny socjopata, ma ręce unurzane we krwi po łokcie, lecz respektu nie wzbudza. Prawdę mówiąc, tak żałosna figura nawet w komediach o zorganizowanej przestępczości trafia się rzadko. Don Matteo wiedzie żywot godny szczura, co wpędza go w zrozumiałą depresję. Nękany przez widmo ojca brutala, pali jak smok, a Biblię (i nie tylko) zna na wyrywki, co Palumbo kwituje szyderczą uwagą, że Włosi czytają książki tylko wtedy, gdy są pozbawieni wolności. Obaj panowie mają słabość do kwiecistych zwrotów, co działa na nerwy funkcjonariuszom prostakom, kontrolującym ich korespondencję.

Dawniejsze filmy reklamowały mafię jako formację wielce wpływową, zabójczo skuteczną i uroczo prorodzinną. Twórcy „Listów sycylijskich" dają do zrozumienia, że legenda Cosa Nostry jest w gruncie rzeczy przykrywką dla szemranych biznesów i wszechogarniającej korupcji. Jeden z beneficjentów szarej strefy popisuje się filozoficznym stwierdzeniem: „Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – nic się nie zmienia". W rzeczy samej omerta ma się dobrze, wyspiarze sztukę udają udawania ślepych i głuchych już dawno temu opanowali do perfekcji. Z nowoczesności biorą to, co użyteczne. Orężem w walce o władzę stały się – podobnie jak w Polsce – podsłuchy i kompromitujące nagrania. Fani powieści Camilleriego nie będą zaskoczeni sycylijską tytułomanią, hipokryzją tudzież harmonijnym współżyciem religii i zabobonu.

Dla Toniego Servillo rola podstarzałego cynika, próbującego wrócić do gry, chociaż ma słabe karty, to łatwizna. Ciekawsze są wątki poboczne: sfrustrowanej śledczej, siostry bossa i gospodyni domu, w którym Don Matteo czeka na lepsze czasy, które nigdy nie nadejdą.

Ostrzegam: ten film, „luźno oparty na faktach", jest statyczny, by nie rzec ślamazarny. Dopiero w końcówce akcja nabiera wigoru. ©℗

Wiesław Chełminiak

JAK BYĆ SOBĄ

Młodość (liczona do trzydziestki) musi się wyszumieć. Czwórka millenialsów na przekór zimnu i pandemii wyrusza kamperem z Warszawy na Półwysep Iberyjski. Takim pojazdem do serca miasta raczej nie wjedziesz, ale nasi podróżnicy nie cierpią z tego powodu. Bardziej od zabytków interesują ich punkty widokowe, zachody słońca, morze, plaże, palmy tudzież imprezy z tubylcami. Nastroje są zmienne: od euforii do ataku paniki. Długie eskapady bywają okazją do autorefleksji i przewartościowań. Klaudię, Werę, Roberta i Filipa kusi możliwość resetu, nie są bowiem ze swego obecnego życia zadowoleni.

„Campera" da się lubić, choć zwichrowana forma oraz improwizowane dialogi trochę utrudniają percepcję. Czwartą gwiazdkę dodaję za muzykę z „Bailando" w charakterze wisienki na torcie. Kino drogi żyje, walczy i zwykle zwycięża. ©℗



★★★★★★

REŻ. ŁUKASZ SUCHOCKI
„CAMPER"
POLSKA 2023

wyst. Dagmara Brodziak, Michał Krzywicki, Aleksandra Jachymek

KINO



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Czarny karnawał



FOT. BARTOSZ BAJERSKI/MNW

Karnawał kojarzy się zazwyczaj z beztroską, feerią barw i chwilowym zapomnieniem. Ale James Ensor i Witold Wojtkiewicz nie zapraszają nas na bal. Muzeum Narodowe w Warszawie zestawia dwóch wizjonerów przełomu wieków XIX i XX w ekspozycji „Czarny karnawał". To nie jest wystawa dla poszukiwaczy łatwego piękna.

Z jednej strony mamy Ensora – belgijskiego samotnika z Ostendy. Z drugiej – Wojtkiewicza, naszego rodzimego geniusza groteski. Obaj poruszali problematykę maskarady, teatru i cyrku, sennych marzeń, erotyki i śmierci. Obaj zrozumieli, że maska nie służy do ukrywania twarzy, ale do obnażania prawdziwej natury człowieka. Kuratorzy szukali wspólnego mianownika dla artystów, którzy nigdy się nie spotkali, a jednak prowadzili ten sam artystyczny dialog z absurdami egzystencji.

„Czarny karnawał" to wizualny esej o ironii, grotesce i ucieczce w świat wyobraźni, gdy ten realny staje się nie do zniesienia.

Kontekstowo prezentowane są prace innych twórców polskich i belgijskich, współczesnych głównym bohaterom ekspozycji, oraz marionetki, maski i stroje karnawałowe. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Warszawie***
KIEDY? ***do 11 stycznia***

eprasa.pl 2049cc1e0e



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W domu niewoli

Im więcej lat upływa od końca PRL, tym mocniej przesłania tamtą rzeczywistość mgła zapomnienia. Z naturalnych powodów ubywa świadków epoki, tęsknota za nią to już tylko objaw starczej demencji, a dowcipy z absurdalnej rzeczywistości, swego czasu genialnie zaprezentowane w filmach Barei, stały się mało strawnymi sucharami. Aby jednak komunistyczne, było nie było półwiecze nie rozpłynęło się w pomroce dziejów, warto ten fragment historii Polski poddać gruntownej, rzeczowej analizie, jak to uczynił właśnie Jacek Piekara w swoim „Świecie zaginionym", opowiadając „nie tylko o wszystkich dziwactwach, kuriozach i niebezpieczeństwach życia w komunistycznym i postkomunistycznym świecie, ale przede wszystkim o inności życia w uniwersum, które nie znało zaawansowanej technologii i które było biedne, zamknięte, szare i zazwyczaj ludziom nieprzyjazne".

Naturalnie nie jest to pierwsza próba tego rodzaju. Na przykład prawie 30 lat temu nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego, w serii „A to Polska właśnie", ukazała się podobna książka: „PRL dla początkujących" Jacka Kuronia, który do współpracy przy jej pisaniu zaprosił Jacka Żakowskiego. W założeniu miał to być ilustrowany przewodnik po zamkniętej epoce, jako że rzekomo w 1989 r. upadł w Polsce komunizm. Jak wyjaśniał Kuroń: „Pisaliśmy dla ludzi, którzy PRL nie znali lub pamięcią sięgają zaledwie przedostatniej dekady. Przede wszystkim jednak pisaliśmy dla tych, którzy w życie wkraczają już w III Rzeczypospolitej".

Gdy się pisze dla kompletnych laików, można im do woli wciskać kit, co w wielu ustępach książki tamten duet autorski uczynił. Co gorsza, Kuroń odwoływał się do osobistych doświadczeń, wzmacniając siłę przekazu swoim, niemałym przecież, autorytetem. I tak np. podsumowywał Żołnierzy Wyklętych: „Jeszcze w latach 60. spotykałem w więzieniach ludzi z AK i Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Niektórzy mówili, że cały czas do 1959 czy 1960 r. toczyli wojnę o niepodległość, ale jak się w rozmowie okazywało, prowadzili normalne akcje rabunkowe. Mieszkali po domach, a schodzili się tylko na skok. Najpierw zabijali działaczy PPR. Z czasem cała ich działalność ograniczyła się do rabowania. Tyle tylko, że nie rabowali chłopów, ale gminne spółdzielnie".

O czywiście podobnych „rewelacji" nie znajdziemy w książce Jacka Piekary, który ocenia polski komunizm jednoznacznie negatywnie, tak jak ten na to zasługuje. Już zresztą na wszelki wypadek, jeszcze przed lekturą „Świata zaginionego", autor ostrzega czytelników: „Pamiętajcie, że jakkolwiek byśmy dzisiaj nostalgicznie nie wspominali epoki PRL i ile byśmy widzieli w niej pozytywnych czy wzruszających elementów, to tak naprawdę była to epoka, która zrujnowała życie milionom Polaków i która sprawiła, że zamiast żyć w dostatku i wolności, jak ludzie Zachodu, całymi latami wegetowaliśmy w biedzie i zniewoleniu".

Wydany właśnie pierwszy tom bogato zilustrowanego „Świata zaginionego" traktuje z jednej strony o polityce i gospodarce, a z drugiej o podróżach i wakacjach, jedzeniu i napojach czy o tym, jak wyglądał PRL-owski dom. W drugim tomie – jak zapowiada Piekara – przeczytamy o strojach i zabawach z tamtych lat, o rozrywkach i nałogach Polaków doby realnego socjalizmu czy o wychowywaniu przez nich dzieci.

S tarszy wiekiem czytelnik skoncentruje się pewnie na podobieństwach i różnicach między obserwacjami autora a tym, co sam przechował w pamięci. Teoretycznie dotyczyć to może nawet imponderabiliów, choć – wydaje się – ważniejsze będą drobiazgi. Ja też, gdy czytam np., że w PRL-owskich placówkach handlowych „do ceny napoju zawsze doliczano kaucję zwrotną za butelkę", obruszam się, bo to nieprawda. Nie każdego napoju i nie zawsze. Skup butelek był zresztą w PRL problemem, którego ranga dorównywała chyba tyko corocznemu brakowi sznurka do snopowiązałek.

Jacek Piekara nie idzie jednak na łatwiznę, nie przytacza aż za dobrze znanych żartów, choć cytuje krążące po Polsce kawały, w tym jeden naprawdę znakomity, który z satysfakcją odnotowuję w tym miejscu, a odnosi się on do wszechobecnego kultu Lenina: „Idzie przez park wycieczka przedszkolaków prowadzona przez panią. I nagle pani woła, pokazując jeża:

– Patrzcie dzieci, to jest ten, o którym tyle piosenek śpiewaliście, tyle wierszyków się uczyliście.

Mały Kola podchodzi do jeża, kuca obok niego i mówi cichutko;

– A więc tak wyglądasz, Włodzimierzu Iljiczu".

Był Kola, równie dobrze mógł być Mikołaj. A zależność PRL od Moskwy była dramatycznie wszechogarniająca. I tego żadne pocieszanie się, jakoby żyliśmy w najweselszym baraku w obozie (państw tzw. demokracji ludowej), nie zmieniło. Bo to był – jak celnie i lapidarnie określił go prof. Andrzej Nowak – dom niewoli. ©℗



★★★★★★

JACEK PIEKARA „ŚWIAT ZAGINIONY. WYPRAWA DO WNĘTRZA PRL", TOM I
ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2025

eprasa.pl 2049cc1e0e



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Bezmiar zła

Imponująca to praca o mrocznych dziełach marksistów leninistów, chyba najważniejsza od czasów „Czarnej księgi komunizmu". Francuski eseista Thierry Wolton pisze o zbrodniach Sowietów i ich naśladowców bez złudzeń. Przypomina, że skala była większa niż zbrodni nazistowskich i że w odróżnieniu od Norymbergi nigdy żadnych procesów sprawców nie było. No i że w odróżnieniu od infamii, którą obłożono współpracowników i admiratorów rasistowskiej machiny śmierci Adolfa Hitlera, poputczycy Lenina i Stalina nadal cieszą się sławą tych, „którzy chcieli dobrze".

Wolton nie ma takich złudzeń. Jego trzytomowa (łącznie niemal 5 tys. stron) „Historia komunizmu na świecie" to wielki akt oskarżenia, akt, którego tom trzeci i ostatni niedawno ukazał się na polskim rynku. Pierwsze dwa nosiły tytuły „Kaci" oraz „Ofiary". Teraz przyszedł czas na tom „Współsprawcy". Ale gdy rozmawiałem z Thierrym na początku grudnia 2025 r., mówił mi, że dla niego głównym powodem napisania całości była okazja pracy nad tomem drugim. „Ofiarom chciałem oddać cześć w pierwszej kolejności" – wyznawał Wolton. Odmalowując panoramę zła, poświęcał więc wiele miejsca konkretnym ludziom, konkretnym zbrodniczym przedsięwzięciom i ich skutkom.

Francuski autor proponuje wprowadzenie do metodologii i do prawa międzynarodowego nowego terminu: „klasobójstwo", jako szczególny rodzaj ludobójstwa. Naziści eksterminować chcieli całe rasy uznane za niższe, komuniści to samo czynili z klasami społecznymi. Przyznacie, że podejście Woltona wyróżnia się na tle podejścia wielu innych zachodnich autorów, wciąż wypisujących brednie o konieczności budowy raju na ziemi i usprawiedliwiających inżynierów społecznych spod znaku Marksa, Lenina, Stalina i Mao.

Wolton już wielokrotnie narażał się francuskim sierotom po komunizmie, a jest ich tam wiele, przecież wciąż działa oficjalnie nad Sekwaną ugrupowanie komunistyczne, któremu przewodzi Jean-Luc Mélenchon. Wolton tymczasem nie tylko pisze prawdę o zbrodniach komunizmu, lecz także grzebie w archiwach, demaskując po latach sowieckich agentów i nie boi się wytykać współczesnej lewicy, że stacza się w antysemityzm. Warto mu kibicować. ©℗



★★★★★★

THIERRY WOLTON „HISTORIA KOMUNIZMU NA ŚWIECIE. TOM 3. WSPÓŁSPRAWCY" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

21 opowiadań węgierskiego laureata Nagrody Nobla A.D. 2025. Szczególnie ciekawe są tekst tytułowy i nowela „Prawo Tezeusza". Niełatwa proza eksperymentalna, w której jest coś z Becketta i francuskiej nouveau roman.



LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI „A ŚWIAT TRWA" CZARNE

Serial „Ballada o Januszku" i film „Koty to dranie" znali wszyscy. Dziś cały dorobek Henryka Bielskiego jest zapomniany. Jak to możliwe, że ceniąc w kinie drastyczny realizm, mógł wspierać zarazem zakłamany system PRL?



PIOTR MARECKI, ARTUR SOBIELA „BIELSKI. ROZMOWA-RZEKA" HA!ART

Druga z pięciu opowieści o dzieciakach z wyspy Saltkrakan w Archipelagu Sztokholmskim (oraz [psach, królikach i lisach!]). Mniej znane dzieło talentu i wyobraźni autorki „Dzieci z Bullerbyn" zilustrowała Maria Nilsson Thore.



ASTRID LINDGREN „PELLE I ZIMA NA WYSPIE" ZAKAMARKI

Na różne sposoby egzorcyzmowała pisarka traumę śmierci męża, przede wszystkim w przejmującym eseju „Rok magicznego myślenia". Tutaj czytamy notatki z sesji psychoterapeutycznych z roku 2000 odkryte po jej śmierci.

recenzuje Piotr Gociek



JOAN DIDION „NOTATKI DLA JOHNA" RELACJA

KOMIKS TYGODNIA:
W GÓRĘ, W GÓRĘ!

W podtytule czytamy „Apollo 11 i marzenia o lotach kosmicznych". I słusznie, bo jest to komiks nie tylko o kulisach słynnej misji, w której ramach człowiek po raz pierwszy postawił stopę na Księżycu, lecz także wspomnienie o drodze, którą przebyła idea – wszak historia rozważań na temat lotów poza Ziemię jest dużo starsza niż współczesny przemysł kosmiczny.

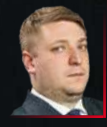


JONATHAN FETTER-VORM „DROGA NA KSIĘŻYC" COPERNICUS CENTER PRESS 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl 2049cc1e0e

Agresja liberalnych katolików



Paweł Chmielewski

Liberalni katolicy odsądzają tradycjonalistów od czci i wiary, zarzucają im schizmę, odmawiają miejsca w Kościele. Jest jednak problem: nie chcą w ogóle dyskutować. A przecież mogliby kogoś choćby „nawrócić”?

W ostatnich tygodniach namnożyło się w Polsce bardzo ostrych wypowiedzi wymierzonych przeciw katolikom tradycjonalistycznym. Przyczyny tego stanu rzeczy są różne – nierzadko jest tak, że adherenci ruchu tradycyjnego sami proszą się o medialny „łomot”, wypowiadając się nazbyt buńczucznie czy wykazując się dość mizerną kompetencją, zwłaszcza wobec formułowanych przez siebie roszczeń do posiadania „prawdy”. Celują w tym zwłaszcza internetowi komentatorzy, którzy na lewo i prawo zarzucają „herezję” i „modernizm”, ale rzadko kiedy potrafią to przekonująco udowodnić, poza zacytowaniem całkowicie wyrwanego z kontekstu dokumentu papieskiego sprzed 100 czy 200 lat – oczywiście w tłumaczeniu, bo łaciny nie znają.

BRUTALNE INWEKTYWY

Zapiekłość i brak wykształcenia jest problemem, ale przecież to tylko margines. Wśród tradycjonalistów nie brakuje ludzi oczytanych, potrafiących argumentować na rzecz swojej wizji Kościoła, a przede wszystkim – i na tym chciałbym się skupić – naprawdę zaangażowanych w to, by upominać tych, których postrzegają jako błądzących. Podam prosty przykład. W wielu istotnych kwestiach, dotyczących zwłaszcza spraw dyscypliny kościelnej, głęboko nie zgadzam się z Bractwem Kapłańskim św. Piusa X – ale nieodmiennie robi na mnie wielkie wrażenie gorliwość, z którą kapłani tego Bractwa występują w obronie wiary katolickiej. Publikują sążniste książki, liczne artykuły, udzielają się w mediach – wszystko po to, by głosić tradycyjną doktrynę i umiłowanie do łacińskiej liturgii. Jakkolwiek by oceniać relacje Bractwa ze Stolicą Apostolską, absolutnie nie można odmówić księżom tego zgromadzenia autentycznie gorejącej troski o katolicyzm oraz o zbawienie innych ludzi.

Takiej troski prawie w ogóle nie dostrzegam z kolei u katolików progresywnych – przynajmniej wobec tradycjonalistów, których liberałowie uważają przecież za skrajnie pogubionych ludzi. Może i pochylają się nad różnymi mniejszościami czy jakimiś grupami „erotycznie” albo „tożsamościowo” wykluczonych, prowadzą dla nich rekolekcje, piszą różne dzieła; ale żeby zatroszczyli się o próbę wykazania tradycjonalistom, gdzie (ich zdaniem) się mylą – nie, tego nie zrobią. Mogą rzucić tylko brutalną inwektywą albo po prostu kogoś „ekskomunikować” – i na tym koniec.

Przykładów na taką postawę jest cała masa, o czym pisałem na samym początku. Wymienię kilka naprawdę dobitnych. Niedawno abp Wacław Depo, metropolita Częstochowy, mówił podczas Apelu Jasnogórskiego o Matce Bożej. Skrytykował przy tej okazji dokument Stolicy Apostolskiej na temat tytułów maryjnych, który „zakazał” używania tytułu „Współodkupicielka”. Arcybiskup powiedział, że decydenci w Watykanie powinni raczej poczytać teksty św. Jana Pawła II, a nie pouczać polskich katolików. Głos dobitny – ale przecież uprawniony, zabrany w dyskusji o niezwykle ważnym dokumencie Watykanu – i faktycznie w dokumencie wyjątkowo kontrowersyjnym. Kto jak kto, ale arcybiskup Częstochowy ma chyba prawo powiedzieć coś na temat Maryi… Tak by się przynajmniej wydawało, bo jezuicki portal Deon był ewidentnie innego zdania. Ojciec Łukasz Sośniak opublikował tekst krytyczny pod adresem słów arcybiskupa, który zatytułował: „»Schizma« po częstochowsku? Arcybiskup broni polskiego Kościoła przed Franciszkiem i Leonem?”. Arcybiskup Depo zabiera głos w dyskusji, a oponenci od razu sugerują, że walczy z papieżami i wręcz stawia się poza Kościołem – co byłoby przecież niesamowicie poważnym przestępstwem. Deon po czasie (być może również po wielu interwencjach w social mediach, w tym moich) zmienił tytuł artykułu. Nic dziwnego: w końcu sam kard. Victor Manuel Fernández, inicjator całego zamieszania wokół „Współodkupicielki”, zrobił krok wstecz i pozwolił na określanie tak Maryi przynajmniej w pobożności prywatnej wiernych. Arcybiskup zatem dobrze wiedział, co mówi, ale dla Deona taka wolność dyskusji to było zbyt wiele…

TEORIE ZAMIAST FAKTÓW

Na portalu Katolickiej Agencji Informacyjnej pojawił się z kolei wywiad, który niezawodny Dawid Gospodarek przeprowadził z popularnym księdzem z Katowic, Grzegorzem Strzelczykiem – notabene jednym z nielicznych w Polsce kapłanów, którzy wprost opowiadają się za udzielaniem Komunii Świętej rozwodnikom w powtórnych związkach w duchu „Amoris laetitia” papieża Franciszka.

eprasa.pl 2049cc1e0e



FOT. ADOBE STOCK

Strzelczyk ostro zaatakował tam tradycjonalistów. „Ruch tradycjonalistyczny jest moim zdaniem w stanie materialnej schizmy" – ogłosił arbitralnie. „My niestety nie podzielamy w wielu punktach tej samej wiary" – dodawał. Zarzekając się, że są wprawdzie różni tradycjonaliści i trzeba niuansować, grzmiał jednak: „Wewnątrz tego ruchu jest niemała część, która była i jest w schizmie. Przypudrowanie tej schizmy poprzez zdjęcie formalnych kar nie zmieniło sytuacji. Z częścią tradycjonalistów wolałbym prowadzić dialog ekumeniczny, bo to by było uczciwsze". Z kontekstu wynika, że ks. Strzelczyk mówił zwłaszcza o Bractwie św. Piusa X. Problem w tym, że… Bractwo nie jest w schizmie – i ten stan rzeczy nie podlega w ogóle żadnej dyskusji. Bractwo nie ma uregulowanej sytuacji w Kościele, ale jest jego częścią – biskupi na całym świecie pozwalają wiernym uczestniczyć we Mszy Świętej sprawowanej przez księży Bractwa; papież Franciszek dał jego kapłanom specjalne zezwolenie na udzielanie sakramentów… Ksiądz Strzelczyk głosi zatem własne teorie, które przedstawia jako fakty. Można i tak. Tylko czemu to służy? Dialogowi? Chyba nie, bo wbrew zapewnieniom, że „wolałby prowadzić dialog ekumeniczny", nie przypominam sobie żadnej publikacji, w której ten katowicki kapłan prostowałby rzekome błędy tradycjonalistów, takich czy innych. Rzucać inwektywy – to jedno; podjąć wysiłek faktycznego dialogu, debaty, sporu – chętnych już nie ma.

Pozostaje mieć nadzieję, że liberałowie staną się pod względem podejścia do wiary nieco podobniejsi do tradycjonalistów

Ostatnie przykłady, teraz już krótsze. Jezuita Dariusz Piórkowski, odnosząc się do katolików tradycyjnych, napisał: „Bracia tradycjonaliści (także niektórzy katolicy w obrębie Kościoła rzymskokatolickiego)" – tak jakby większość tradycjonalistów była „poza" Kościołem.

Dominikanin Adam Szustak, mówiąc o tradycjonalistach (wymienianych z imienia i nazwiska, wskazywał także niżej podpisanego), twierdził, że są to osoby, które „szkodzą", trudno jest mu zobaczyć w nich „braci i siostry"; mówił, że ma w sobie „przemoc" i chciałby ich „wybatożyć". Oczywiście sugerował też, że „tradsi" są poza Kościołem.

Tomasz Terlikowski stwierdził, że portal PCh24 (a konkretnie ja) oraz on, Terlikowski, wyznajemy „różne religie". Nasza, czyli tradycjonalistyczna, miałaby być „religijnością lęku, przymusu religijnego, posłuszeństwa podniesionego do granic absurdu". Terlikowski – i to różni go od progresywnych księży – był jednak gotów debatować i to się nam już od tego czasu kilka razy udało. To jednak świecki publicysta – a mam dziwne wrażenie, że szczególnie niechętni do „dialogu" są właśnie progresywni księża, jakby zamykający się w swoim „klerykalizmie", choć zarazem przecież werbalnie najostrzej go zwalczają…

Być może liberałowie wzorują się na samym papieżu Franciszku. Czytelnicy pamiętają przecież, że Jorge Mario Bergoglio wielokrotnie wzywał do „parezji" – czyli bardzo otwartej, szczerej dyskusji w Kościele. W 2016 r. ogłosił swój najważniejszy dokument, „Amoris laetitia". Wielu ludzi w Kościele miało poważne wątpliwości co do jego zapisów. Papieża zapytało o to czterech kardynałów – ludzie naprawdę znani, dobrze wykształceni i poważni. Franciszek w ogóle im nie odpowiedział, po prostu zignorował pytania! Za to w licznych kazaniach narzekał na „skostniałych" tradycjonalistów, którzy wyznają „martwą wiarę". Cóż: inwektywy bez dialogu.

PUSTE PIEKŁO

Dlaczego tak to wygląda? Dlaczego katolicy tradycyjni nieustannie krytykują progresistów, mierząc się z ich argumentami i starając się je obalić – a ci drudzy w ogóle tego nie robią? Złośliwy mógłby powiedzieć, że nie zależy im na zbawieniu tradycjonalistów – bo przecież popularnym wśród liberałów poglądem jest tzw. puste piekło. A skoro potępiony i tak nikt nie zostanie, to po co się starać? Mówiąc jednak bardziej poważnie, niemal całkowita inercja „ewangelizacyjna" tych środowisk jest naprawdę zastanawiająca. Wystarczyłoby napisać kilka solidnych książek z odparciem tradycjonalistycznych zarzutów wobec Soboru Watykańskiego II, nowej Mszy Świętej czy nauczania Franciszka; nagrać programy z konkretną krytyką… Ktoś powie: może to specyfika polskich liberałów, którzy przyzwyczaili się do metod ze stajni Adama Michnika – nie dyskutować z argumentami, tylko zakrzyczeć i uznać przeciwnika za ciemny motłoch, który niczego nie rozumie…

Stawiam jednak tezę, że problem jest inny. Chodzi raczej o… brak solidnych argumentów. Wydaje mi się, że wielu katolików progresywnych jest tak naprawdę głęboko przekonana do wielu doktryn, które zostały… potępione przez papieży, zwłaszcza do ewolucjonizmu dogmatycznego. Nie mogą jednak o tym głośno powiedzieć, dlatego wygodniej jest im wcale nie debatować. Bo jak bronić własnego stanowiska, unikając kluczowego argumentu?

Pozostaje mieć nadzieję, że to się jednak zmieni i polscy liberałowie staną się pod względem poważnego podejścia do wiary nieco podobniejsi do tradycjonalistów, nawiązując wreszcie rzeczywisty dialog. A w nich niech zwyciężą argumenty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 2049cc1e0e



FOT. ADOBE STOCK



Filip Memches

W Polsce politycy boją się konsekwencji podejmowania niepopularnych społecznie decyzji. W rezultacie pewne tematy tabuizują. Zamiast swobodnie o nich dyskutować, wolą bałamucić społeczeństwo, że np. podwyższenia wieku emerytalnego na pewno nie będzie. W imię doraźnej walki o głosy wyborców w zawoalowany sposób komunikują: „Po nas choćby potop"

Samobójcze tendencje

Grzegorz Jankowski prowadzi w Polsat News rozmowy, w których występuje w roli rzecznika zwykłych Polaków. Często swoich gości stawia pod ścianą, przytaczając – jak twierdzi – cytaty z otrzymywanej od widzów korespondencji, a z niej płyną skargi na polską codzienność. Interlokutorzy Jankowskiego są bezradni, bo poruszane kwestie dotyczą skomplikowanej materii – takiej jak służba zdrowia czy rynek pracy – dziennikarz zaś oczekuje od swoich rozmówców prostych recept, o które w takich przypadkach trudno. Goście momentami nie wiedzą, co powiedzieć, widzowie mają używanie, jest show.

Niedawno Jankowski – razem z Joanną Miziołek – zaprosił do studia ekonomistkę prof. Elżbietę Mączyńską i szefa Centrum im. Adama Smitha Andrzeja Sadowskiego, żeby podyskutować z nimi o kwestii podniesienia wieku emerytalnego. Rozmowa była bardzo rzeczowa. Ogólny wniosek, jaki z niej można było wysnuć, jest następujący: w Polsce jesteśmy skazani na to, że będziemy pracować coraz dłużej, bo zmusi nas do tego sytuacja demograficzna. Tym razem Jankowski bardziej powściągliwie odgrywał rolę rzecznika zwykłych Polaków i dzięki temu w dyskusji wybrzmiały merytoryczne argumenty. Niemniej kiedy prof. Mączyńska powiedziała, że praca korzystnie wpływa na zdrowie osób w wieku poprodukcyjnym – i miała rację: każdy uczciwy lekarz powie, że aktywność fizyczna i umysłowa działa na zdrowy organizm mobilizująco – dziennikarz zaczął sobie z tego argumentu żartować. Przy czym należy dodać, że wypowiedź ekonomistki była zniuansowana. Profesor Mączyńska zaznaczyła, że są specyficzne zawody, w przypadku których wiek emerytalny powinien być dużo niższy niż ten standardowy. Jako przykład wskazała taniec (skądinąd Senat zaproponował ustawę, zgodnie z którą tancerki będą mogły przechodzić na emeryturę w wieku 40 lat, a mężczyźni – w wieku 45). Ale generalnie prof. Mączyńskiej chodziło o to, że w trudnej sytuacji demograficznej należy zachęcać seniorów do aktywności zawodowej – oczywiście na miarę ich możliwości kondycyjnych. Rachunek jest bowiem prosty: dzieci się rodzi coraz mniej, osób w wieku produkcyjnym ubywa, a tych w wieku poprodukcyjnym przybywa. Z pustego i Salomon nie naleje.

WIELKIE KŁAMSTWO

Trzeba przyznać, że Grzegorz Jankowski zdążył w sobie wyrobić słuch społeczny. Był przecież redaktorem naczelnym „Faktu", a więc gazety bulwarowej. To, co robi, można nazwać populizmem publicystycznym. I nie musi to być wcale zarzut. Media rządzą się swoimi prawami. Zadaniem dziennikarza jest czasem prowokowanie swoich rozmówców. Gorzej natomiast, że populizm stanowi nieodłączną cechę polskiej klasy politycznej – i to od lewa do prawa. Ale żeby to zauważyć, trzeba przede wszystkim właściwie zrozumieć ów termin.

Wielkim kłamstwem polskiej – i nie tylko polskiej – debaty publicznej jest pogląd, że scena polityczna dzieli się na siły demokratyczne i populistyczne. Teza brzmi: te pierwsze odwołują się do woli ludu, ale w sposób mądry – bo respek-

eprasa.pl 2049cc1e0e

demokracji polskiej

tują głos rozmaitych autorytetów – a te drugie schlebiają najniższym instynktom tłumów. Dla demokratów liczą się opinie intelektualistów i artystów, a populiści łaszą się do piłkarskich „kiboli".

To oczywista bzdura. Ów przekaz służy wyłącznie propagandzie, w której jest podział na dobrych (demokratów) i złych (populistów). Wiadomo przecież, że intelektualiści i artyści nie są pod względem przekonań jednolitą grupą (można nawet zaryzykować twierdzenie, że wartościową jej część stanowią ci, którzy chadzają w swoich środowiskach pod prąd), choć lewicowo-liberalna strona politycznej barykady, długo zachowująca w III Rzeczypospolitej dominującą pozycję, uważa inaczej. Dla podtrzymywania swojego prestiżu wmawia Polakom, że to ona reprezentuje opcję tożsamą ze stanowiskiem ludzi postępowych i światłych.

W gruncie rzeczy demokracja i populizm są ze sobą splecione. W Polsce mamy do czynienia z systemem politycznym, w którym grupa sprawująca władzę jest wybierana przez ogół społeczeństwa. A skoro tak, to rządzenie zamienia się w nieustanną grę o pozyskanie przychylności wyborców. Dlatego politycy wzdragają się przed podejmowaniem decyzji, które mogą wywołać gniew mas. Muszą przecież nieustannie myśleć o tym, jak zdobywać lub utrzymywać ster rządów.

WPADKA TUSKA

Oczywiście nie zawsze tak było. W latach 90. politycy będący u władzy – zwłaszcza chodzi o tych z ugrupowań obozu postsolidarnościowego – podejmowali decyzje, które wywoływały protesty społeczne. Wprowadzane twardą ręką przez Leszka Balcerowicza reformy rynkowe są najbardziej dobitnym tego przykładem. Ale wtedy w Polsce była inna kultura polityczna niż teraz. Internet dopiero się wykluwał. Nie było takich kanałów komunikacji między politykami a wyborcami, jakie są obecnie. Ponadto powszechna była padająca z ust różnych autorytetów opinia, że „powrót do Europy", wolność, demokracja, kosztują – żeby się znacząco poprawiło, potrzebne są wyrzeczenia. Do znaczącej części społeczeństwa takie argumenty przemawiały, choć arogancka postawa Balcerowicza wobec Polaków, którzy ponosili zbyt duże koszty transformacji ustrojowej, była coraz bardziej nieznośna.

Populizm jest skutkiem demokracji, a nie jej przeciwieństwem

Ale wiek XXI to już inna historia. W Polsce zadomowił się populizm jako skutek – a bynajmniej nie przeciwieństwo – demokracji. Zrozumiał to Donald Tusk – polityk wywodzący się z liberalnej partii, w której działał również Balcerowicz. Jak się okazało, gdy został premierem Polski, z liberalizmem postanowił zerwać, bo przestał mu się politycznie opłacać. To jednak był projekt polityczny, którego wdrażanie przynosiło olbrzymie koszty społeczne. Tymczasem Tusk za priorytet swoich dwóch kadencji rządzenia Polską obrał – jak na prawdziwego populistę przystało – słynną „ciepłą wodę w kranie". Ówczesny i obecny premier kombinował więc, jak tu zrobić, żeby Polacy byli ciągle zadowoleni. Ale zaliczył co najmniej jedną wpadkę. Chodzi o podwyższenie wieku emerytalnego w roku 2013.

Tusk w pewnym momencie miał poczucie, że w Polsce nie ma z kim przegrać, bo takie wnioski płynęły z sondaży społecznych. Zdobył się zatem na krok słuszny, choć bardzo niepopularny. Przypuszczalnie myślał, że mu to ujdzie płazem.

Gabinet Tuska wyszedł z założenia, że skoro średnia długość życia Polaków wzrasta, a dzietność spada, to nie ma wyjścia – wiek przejścia na emeryturę musi zostać podwyższony. To była prosta kalkulacja ekonomiczna. Podobnie postępują politycy w całej Europie.

LĘK POLITYKÓW

W Polsce jednak podniósł się krzyk, że to skandal. Rząd Tuska oskarżono, że działa w interesie kapitalistycznych krwiopijców i skazuje na katorżniczą pracę tych Polaków, którzy powinni już odpoczywać na emeryturze. W ataku tym celowało Prawo i Sprawiedliwość, które gdy tylko przejęło władzę – również jak na prawdziwych populistów przystało – obniżyło wiek emerytalny. Trzeba przyznać, że Jarosław Kaczyński jako lider PiS wykazał się dużo lepszym słuchem społecznym niż Tusk. Efekt? Tusk po powrocie do władzy ani myśli o niepopularnych ruchach gospodarczych. Dlatego tematu ponownego podwyższenia wieku emerytalnego nie rusza i można się spodziewać, że nie ruszy.

Ta sprawa dowodzi tego, że Polsce w XXI w. mamy do czynienia z populizmem ponad podziałami. I tu nawet nie chodzi o to, czy pogląd o konieczności podwyższenia wieku emerytalnego powinien być jakimś aksjomatem. Rzecz w tym, że lęk polityków przed konsekwencjami podejmowania niepopularnych społecznie decyzji powoduje, iż pewne tematy stają się tabu. Tak jest właśnie z kwestiami emerytalnymi. Zamiast swobodnie o nich dyskutować – jak w przywołanym wyżej programie w Polsat News – politycy wolą bałamucić społeczeństwo, że podwyższenia wieku emerytalnego na pewno nie będzie. W imię doraźnej walki o głosy wyborców w zawoalowany sposób komunikują: „Po nas choćby potop". Oto jak na dłoni widać samobójcze tendencje demokracji polskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



Osobiście nadzorujący sprawę zlikwidowania niemieckiej radiostacji pod Lidą bohaterski dowódca Rosji towarzysz Józef Stalin FOT. EPIC MEDIA



Tu twarze, gesty i słowa nie zostawiają wątpliwości, z kim widz ma do czynienia. Szef grupy spadochronowej niemieckich szpiegów, były oficer Armii Czerwonej Miszczenko FOT. EPIC MEDIA



Komedianci do wynajęcia



Piotr Gontarczyk

Trudno pogodzić się z faktem, że znani polscy aktorzy na przestrzeni wielu lat brali udział w sowieckich, a potem rosyjskich i białoruskich, często skrajnie antypolskich filmach propagandowych. Gdzie elementarne poczucie honoru i godności?

Niedawno w sieci ukazał się czteroczęściowy rosyjski film „Operacja Niemen" wyprodukowany w 2023 r. Rzecz dotyczy organów sowieckiego kontrwywiadu wojskowego „Smiersz" pod kierownictwem gen. Wiktora Abakumowa, które za linią frontu, gdzieś między Lidą a Białymstokiem, walczą z niemieckimi szpiegami i zdrajcami ZSRS. Głównym bohaterem jednostkowym tej epickiej opowieści jest grupa operacyjna „Smiersz" pod dowództwem kpt. Aliochina, która tropi niemiecką grupę spadochronową przekazującą drogą radiową dane wywiadowcze o Armii Czerwonej. Sowieci mieli się wtedy szykować do wielkiej ofensywy przeciwko niemieckiemu zgrupowaniu wojskowemu w Królewcu. Dynamiczna pogoń za niemieckimi szpiegami odbywa się przez pewien czas dosłownie pośród sowieckich kolumn wojskowych maszerujących w kierunku Prus Wschodnich i państw bałtyckich. Informacje przekazywane przez wrogą radiostację mogły zaszkodzić przygotowywanej operacji do tego stopnia, że sprawą jej zlikwidowania osobiście interesował się wielki przywódca narodu rosyjskiego i białoruskiego towarzysz Józef Stalin.

Film zawiera akcenty polskie: Polacy (grają ich kaleczący język aktorzy rosyjscy) zrównani są tu jako wróg z hitlerowskimi spadochroniarzami, dla których mieli stanowić wsparcie i zaplecze. Ten miniserial to remake białoruskiego filmu „W sierpniu 44-go" z 2001 r., który na niwie tamtejszej propagandy wyjaśnia, dlaczego w owym sierpniu 1944 r. w tej okolicy sowieckie organy bezpieczeństwa musiały tyle zajmować się Polakami. Kluczowe role lokalnych polskich pasożytów i zdrajców odegrali aktorzy z Polski, toteż film ten, zupełnie nieznany w kraju nad Wisłą, jest ważny zarówno z punktu widzenia białoruskiej historii, jak i polskiej historiografii.

„SMIERSZ" KONTRA RESZTA ŚWIATA

Siły obu stron w filmie „W sierpniu 44-go" (tak jak w jego najnowszej przeróbce) od początku były nierówne. Niemiecka grupa spadochronowa składała się głównie z rosyjskich zdrajców kiero-

eprasa.pl 2049cc1e0e



Podręcznikowy przykład polskiej klasy próżniaczej na Białorusi, w którą wcieliła się Beata Tyszkiewicz, tu rozmawiająca z szefem grupy operacyjnej „Smiersz" kpt. Aliochinem FOT. EPIC MEDIA



Szpetny fizycznie kaleka i obdartus, symbol lokalnego Polaka, denuncjuje sąsiadów. Do tej roli Białorusini dobrali Andrzeja Pieczyńskiego FOT. EPIC MEDIA



Polak, wyszkolony przez Niemców agent, stanowiący zaplecze dla hitlerowskiej grupy spadochronowej Kazimierz Pawłowski. Za chwilę jego kochanka, której zrobił dziecko, pożegna zdrajcę i mordercę znakiem katolickiego krzyża. W tych rolach Radosław Pazura i Karolina Gruszka FOT. EPIC MEDIA

wanych przez bezwzględnego terrorystę i mordercę, byłego oficera Armii Czerwonej o nazwisku Miszczenko. Renegaci poruszali się po wyjątkowo obcym dla nich terenie, gdzie cała ludność świętowała powrót Armii Czerwonej, dosłownie tańcząc na ulicach. Ponadto, mimo noszenia sowieckich mundurów, niemieccy wywiadowcy na każdym kroku musieli uważać na działalność organów NKWD i kontrwywiadu wojskowego. Nad ich sprawną działalnością czuwała niezawodna i nieomylna centrala w Moskwie. Nie dość, że odczytywała ona depesze wysyłane przez zdrajców do centrali, to jeszcze na bieżąco przekazywała w zagrożony teren dane radiopelengacyjne, gdzie mniej więcej należy szukać radiostacji przeciwnika. Uruchomiono więc kilkuosobową grupę operacyjną „Smiersz", dowodzoną przez kpt. Aliochina, która musiała odnaleźć wroga dosłownie na terenie kilku kwadratów na mapie, obejmujących spory obszar lasu i kilka okolicznych wiosek.

Umiejętności tropienia śladów sowieckich kontrwywiadowców mogliby uczyć się nawet Komancze. Ludzie kpt. Aliochina odnajdowali na piasku słabe odciski po butach wroga, po drobnym uszkodzeniu gałązki na drzewie mogli ustalić, gdzie w lesie była rozciągnięta antena wrogiej radiostacji. Skąd przylecieli poszukiwani spadochroniarze (z północy; jak mawiają Rosjanie: z Pribałtiki), udało im się ustalić po gatunku przywiezionych przez nich ogórków. Miejsce, w którym ostatecznie „Smiersz" zorganizował w lesie zasadzkę i zlikwidował grupę przeciwnika, kpt. Aliochin ustalił po wyglądzie gliny znalezionej na porzuconej przez zdrajców łopatce wojskowej, tzw. saperce. Kto mógłby mierzyć się z takim przeciwnikiem?

Podobnych filmów i seriali o bohaterskich funkcjonariuszach NKWD i „Smiersz" produkuje się na Białorusi i w Rosji do kilku rocznie. Mit Wielkiej Wojny Ojczyźnianej to jeden z najważniejszych elementów politycznego formatowania w tych krajach politycznych umysłów. To zwykle tępa i schematyczna propaganda, w której realia historyczne czy dbałość o detale nie mają znaczenia. W filmie „W sierpniu 44-go" rolę sprzętu wojskowego z czasów drugiej wojny światowej odgrywają powojenne sowieckie działa przeciwpancerne oraz samoloty AN-2, których produkcja rozpoczęła się w 1949 r. W zasadzie nie byłoby o czym pisać, gdyby nie fakt, że ten film jest ordynarnym paszkwilem na Polskę, w którym – jak już wspomniano wcześniej – wzięli udział najemni aktorzy Polacy.

TWARZE, MINY, GESTY

Czołowe postacie filmu mają proste profile psychologiczne i kulturowe, a także specyficzne fizjonomie. Kapitan „Smiersz" Aliochin to wzorzec taktu i kultury, z wyglądu typowy brat łata. Osoby z twarzą dowódcy grupy rosyjskich renegatów Miszczenki nikt nie chciałby spotkać wieczorem nawet na dobrze oświetlonej ulicy. Podobnie dobrano innych aktorów, w tym odgrywających Polaków. Ważną postacią scenariusza jest kobieta, u której przez pewien czas w mieście mieszkali niemieccy spadochroniarze. Miała duży dom w ogrodzie, wiele bogato wyposażonych pokoi, więc część mogła wynająć trzem rzekomym żołnierzom Armii Czerwonej, w rzeczywistości właśnie niemieckim agentom. To Polka, która zapewne nigdy nie pracowała, nie miała zatem pojęcia o hodowli roślin ani zwierząt gospodarskich. Jedynymi zwierzętami, które znała przed wojną, były psy, które jej mąż, polski oficer, trzymał do polowań. W czasie rozmów z kpt. Aliochinem Polka przesadnie okazywała wielkopańskie miny i maniery, a do oficera „Smierszu" zwracała się po polsku i „per pan". Jednak ta rzekomo wysoka kultura okazała się tylko oszustwem, pozą polskiej „pani". Maska opadła, kiedy w czasie rozmowy z kpt. Aliochinem wspomniana wdała się w karczemną awanturę z sąsiadką. Podsumowując, trzeba stwierdzić, że opisana kobieta jest wcieleniem jednego ze schematów kiedyś sowieckiej, a teraz białoruskiej propagandy o „byłych polskich panach". To była klasa próżniacza, mieszkająca w dużych domach i pałacach. Grupa epatująca fałszywymi pozami i manierami, a żyjąca kiedyś na Białorusi kosztem białoruskiej ludności.

eprasa.pl 2049cc1e0e

W sowieckim filmie propagandowym Aleksandra Dowżenki „Oswobożdnienie" („Wyzwolenie") z 1940 r. jest scena, w której rewolucyjny lud wywozi na wózku z przejmowanego przez siebie pałacu karykaturalnie pokazaną polską arystokratkę. Nie wiadomo, gdzie nakręcono te sekwencje, bo tak brutalnie postępowano wówczas na Kresach z tysiącami polskich ziemian, których nierzadko potem mordowano. Jesienią 1939 r. w taki sposób z pałacu w Zatroczu, którego okna wychodziły na zamek książąt litewskich w Trokach, sowiecka dzicz wyrzuciła rodzinę hrabiów Tyszkiewiczów. A kto w filmie „W sierpniu 44-go", czyli nowej wersji „Oswobożdienia", odegrał karykaturalnie skrojoną rolę owej „polskiej pani"? Niekwestionowana gwiazda polskiego kina, która z racji szlacheckiego pochodzenia i talentu była obsadzana w charakterystycznych rolach, takich jak np. Marii Walewskiej w filmie „Marysia i Napoleon" (1966), Izabeli Łęckiej w „Lalce" (1969), baronowej w „Vabanku" 2 (1984) czy dystyngowanej hrabiny Eweliny Opolskiej w „Pannie z mokrą głową" (1994). Pierwsza dama polskiego kina, która teraz kierowana chyba tylko głupotą albo chciwością zagrała w białoruskim paszkwilu na Polaków. Polska hrabianka herbu Leliwa z tego samego rodu co arystokraci wyrzuceni w 1939 r. z pałacu w Zatroczu: Beata Tyszkiewicz.

POLACY I KATOLICY, CZYLI ŚWINIE I ZDRAJCY

Kolejni polscy aktorzy tworzą w filmie „W sierpniu 44-go" równie charakterystyczne postacie. Pierwszą z nich jest człowiek, w którego gospodarstwie w czasie akcji poszukiwań niemieckich spadochroniarzy pojawił się kpt. Aliochin. Ów rolnik zwalcza stereotyp, jakoby Polacy na Białorusi mogli reprezentować jakiś znaczący poziom cywilizacyjny: ma odrażającą twarz i sylwetkę, na jego grzbiecie wiszą postrzępione szmaty. Ten Polak jest wyraźnie upośledzony fizycznie, pewnie trochę i umysłowo. Ale poradził sobie z ułomnościami, żeby dogonić w polu kpt. Aliochina i – naturalnie po polsku – zadenuncjować Pawłowskich, swoich sąsiadów. Tę rolę zagrał Andrzej Pieczyński, który poważniejszą karierę rozpoczął chyba od roli karcianego głupka w „Wielkim Szu" u boku Jana Nowickiego (1982). Potem zwykle z powodzeniem odgrywał role rozmaitych filmowych zdrajców lub „pokurczów" w rodzaju Czeremisa z „Ogniem i mieczem" (1999) czy Noska w „Starej baśni" (2003). Trudno do decyzji o zatrudnieniu Andrzeja Pieczyńskiego do odegrania opisanej roli w filmie „W sierpniu 44-go" nie podejść inaczej niż z pełnym zrozumieniem. Po co było szukać jakiegoś białoruskiego wioskowego głupka, skoro dało się wynająć typa polskojęzycznego?

Zadenuncjowana przez owego „pokurcza" rodzina Pawłowskich to kolejny ważny element budowanego w filmie obrazu Polaków. Głowa rodziny, Józef, w czasie działań grupy kpt. Aliochina już siedział w śledztwie na NKWD, jego żonę sąd skazał za „działalność antysowiecką". Tak z wyjaśnień polskiego donosiciela, jak ich akt śledczych „Smierszu" Aliochin dowiedział się, że obaj synowie Pawłowskich „w czasie wojny służyli u Niemców w Warszawie" (bo jak wiadomo, Polacy w czasie wojny główne służyli Niemcom). W sierpniu 1944 r. w rodzinnym gospodarstwie miał się pojawiać jeden z nich, Kazimierz i to w sowieckim mundurze. Wygląda na to, że także on był niemieckim spadochroniarzem, który jest teraz przewodnikiem dla reszty grupy w znanym sobie terenie. Na stałe w gospodarstwie mieszkała tylko kochanka Kazimierza, Julia. Wcześniej była tam tylko służącą, ale Kazimierz po drodze zrobił jej nieślubne dziecko. Tu właśnie „Smiersz" zastawił pierwszą pułapkę na niemieckich wywiadowców. Wpadł w nią tylko młody Pawłowski, którego, wychodzącego z domu, Julia pożegnała po katolicku – znakiem krzyża. Nie uchroniło go to, kiedy za chwilę zaczęli strzelać żołnierze kpt. Aliochina. Został ranny, nie miał szans ucieczki, więc popełnił samobójstwo, strzelając do siebie z pepeszy.

Co za historia: on, polski zdrajca Związku Sowieckiego, który po wybuchu wojny w 1941 r. zdezerterował z bronią w ręku z Armii Czerwonej, niemiecki agent, co najmniej przewodnik, a niewykluczone, że także członek hitlerowskiej grupy spadochronowej. Ona, była służąca, panna z nieślubnym dzieckiem, która żegna kochanka, kreśląc w powietrzu znak katolickiego krzyża… Film zawiera też ostrzeżenie dla współczesności: z akt śledczych wynikało, że rodzina Pawłowskich oficjalnie przedstawiała się w dokumentach jako Białorusini, a nie Polacy. Trzeba na Polaków uważać… Co to w ogóle jest za towarzystwo? To wrzód na ciele Białorusi: Polacy, czyli katolicy, hitlerowcy zdrajcy.

Obie opisane wyżej role także odegrali polscy aktorzy. W hitlerowskiego agenta Kazimierza Pawłowskiego wcielił się Radosław Pazura. Ale po co? Przecież miał wcześniej na swoi koncie znakomite polskie i uniwersalistyczne role, takie chociażby jak w „Szwadronie" (1992), „Demonach wojny według Goi" (1998) czy „Operacji Samum" (1999). Można zrozumieć kompleks pozostawania w cieniu popularności starszego brata Cezarego. Ale żeby zagrać w takim posowieckim szmatławcu?

Katolicką kochankę z nieślubnym dzieckiem odegrała Karolina Gruszka, dla której był to w zasadzie początek jej kariery filmowej. Potem zagrała dobrą rolę polskiej noblistki w filmie „Marie Curie" (2016), pojawiła się w biografii Michaliny Wisłockiej „Sztuka kochania" (2017), w „Śmierci Zygielbojma" (2020), a ostatnio w najnowszym filmie biograficznym o Chopinie (2025). Po co jej była u progu kariery taka kompromitacja?

UZASADNIENIE OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ?

Film „W sierpniu 44-go" pokazuje okolice Niemna, drogowskazy wskazują różne okoliczne miasta, w tym m.in. Białystok. Jednym z bohaterów obrazu jest szef sowieckiego kontrwywiadu sowieckiego „Smiersz" Wiktor Abakumow. To główny reżyser i sprawca obławy augustowskiej. To w Białostockiem Sowieci przeprowadzili wielką pacyfikację, w której aresztowali i potem zamordowali blisko 700 osób, głównie członków polskiej konspiracji. Może zatem scenariusz opisywanego dzieła jest elementem „miękkiej" próby usprawiedliwienia tej zbrodni? W świetle scenariusza opisywanego filmu „czyszczenie terenu" przez „Smiersz" pod dowództwem gen. Wiktora Abakumowa z takich polskich Pawłowskich wydaje się wręcz historyczną koniecznością. Czyżby więc „W sierpniu 44-go" miał być „miękkim", symbolicznym usprawiedliwianie tamtej zbrodni?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



KOMUCHOŻERCA

Relatywizm

LESZEK ŻEBROWSKI

Ciągle tak bardzo mało wiemy o niedawnej przecież przeszłości. Epoka potwornych represji komunistycznych idzie szybko w niepamięć. Nie dzieje się to samo przez się, co byłoby przecież procesem naturalnym. Najwięcej zła w tym zakresie czynią nieformalna cenzura medialna i promowanie wydarzeń i osób, które były dla nas skrajnie szkodliwe. Przykładem może być choćby major KBW Zygmunt Morycowicz Bauman, moskiewski enkawudzista z okresu drugiej wojny światowej w Moskwie, a następnie wyższy oficer aparatu bezpieczeństwa publicznego w Polsce Ludowej. Jego wcześniejsze „zasługi" idą w niepamięć, a jest nadal promowany jako „wybitny uczony". Nawet fakt, że został przyłapany przez doktoranta brytyjskiego na ordynarnych plagiatach (przepisywanie całych fraz z Wikipedii), zaszkodził mu niewiele. Jak się tłumaczył? Że jest to jego specyficzna metoda „badawcza", brak stosowania cudzysłowów. Dlaczego jemu wolno, choć uczeń w szkole musiałby ponieść jakieś przykre konsekwencje? Bo jemu wolno, bo „naszym" wolno znacznie więcej niż innym.

Promowane są postacie, które absolutnie na to nie zasługują, jak choćby Niuta Tajtelbaum, rzekoma bohaterska działaczka PPR i GL. Gdy się ją obejrzy z bliska, na podstawie zachowanej dokumentacji, czar pryska i z mitu zostają strzępy. To nic, siły ustanowione dbają o to, aby mit podgrzewać do absurdu.

Jeśli już jesteśmy przy niezłomnych kobietach, to na myśl przychodzi nam Danuta Siedzikówna „Inka". Sanitariuszka w poakowskich, wileńskich oddziałach mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". Z bronią w ręku nie chodziła, do nikogo nie strzelała. Na polu walki, jak zeznawali na jej korzyść nawet funkcjonariusze UB i MO, udzielała pomocy najbardziej potrzebującym, nie zwracając uwagi na to, po której stronie walczą. Mimo to, gdy miała zaledwie 17 lat, została zamordowana. Niezgodnie nawet z komunistycznym prawem, bo przecież nie była pełnoletnia. I nie był to „wypadek przy pracy" komunistycznego wymiaru (nie)sprawiedliwości, bo nie był wyjątkowy. W naszą pamięć wryła się treść jej grypsu, wysłanego już po wyroku: „Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba".

Takich bohaterskich kobiet było znacznie więcej i w ich przejmujących historiach nie trzeba nic zmyślać. Dlatego są one „przykrywane" historiami wysysanymi z czerwonych komunistycznych palców, aby głosić: oto my również mamy swoje bohaterzyce. A że są to historie nieprawdziwe? Tym gorzej dla prawdy. Dlatego my wciąż o tym nie wiemy, bo nagłaśnianie takich historii jest dość skutecznie tłumione, nawet przez feministki, tak czułe na krzywdę kobiet. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dar narodu dla noblisty

SŁAWOMIR KOPER

W 1900 r. zorganizowano w kraju obchody 25-lecia pracy twórczej Henryka Sienkiewicza. Uroczystości w trzech zaborach przyćmiły wszystko, co dotychczas widziano nad Wisłą. Odbywały się galowe wieczory i akademie, w teatrach grano przeróbki sceniczne jego utworów, a na łamach prasy w niezliczonych artykułach składali mu hołd koledzy po piórze i rywale do sławy literackiej. Bolesław Prus stwierdził, że „ze wszystkich polskich pisarzy, jacy kiedykolwiek istnieli, on jeden mógłby powiedzieć, że książki jego opasały całą kulę ziemską".

Sienkiewicz jak zwykle zżymał się na konieczność udziału w obchodach. Nigdy nie lubił podobnych imprez, gdyż zabierały mu czas niezbędny do pracy. A jeżeli już nie mógł pisać, to wolałby podróżować z dziećmi, a nie odbierać jałowe honory. Nie były to jednak wyłącznie puste zaszczyty, gdyż specjalny komitet jubileuszowy zebrał kilkadziesiąt tysięcy rubli i zakupił dla niego posiadłość w Oblęgorku pod Kielcami. Sienkiewicz był tym gestem wzruszony i przyjął dar, a zebranych środków wystarczyło jeszcze na adaptację dworku na potrzeby jego rodziny. Zamieszkał tam dwa lata później, rychło jednak okazało się, że zimę będzie musiał spędzać w innym miejscu, gdyż pomieszczeń nie można było skutecznie ogrzać. Dlatego podczas pluchy i mrozów przebywał w Warszawie lub cieplejszych krajach. Nigdy bowiem nie porzucił swojego ulubionego koczowniczego trybu życia.

Najważniejsze imprezy jubileuszowe odbyły się w Warszawie. Biskup Kazimierz Ruszkiewicz celebrował uroczyste nabożeństwo, a 22 grudnia 1900 r. w ratuszu wręczono pisarzowi akt własności Oblęgorka. Natomiast wieczorem w Teatrze Wielkim odbyła się uroczysta akademia, podczas której oprócz utworów muzycznych polskich kompozytorów zaprezentowano komedię Sienkiewicza „Zagłoba swatem".

Z całego świata przychodziły telegramy gratulacyjne i prezenty, a uroczystości (bez udziału pisarza) zorganizowano także w Odessie i w Moskwie. Natomiast w konsternację wprawił Sienkiewicza podarunek od pewnej firmy wydawniczej z Neapolu, która ofiarowała mu kopię słynnej rzeźby „Byk Farnezyjski". Na szczęście ofiarodawcy pomniejszyli nieco monument, gdyż oryginał liczył blisko cztery metry wysokości…

Inna sprawa, że pisarz miał jednak poczucie własnej wartości. W salonie w Oblęgorku obok wielu obrazów i bibelotów umieścił aż trzy swoje portrety i jedno popiersie. Było to potwierdzeniem faktu, że najlepiej czuł się we własnym towarzystwie i zapewne z tego powodu podczas spotkań towarzyskich był raczej małomówny. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

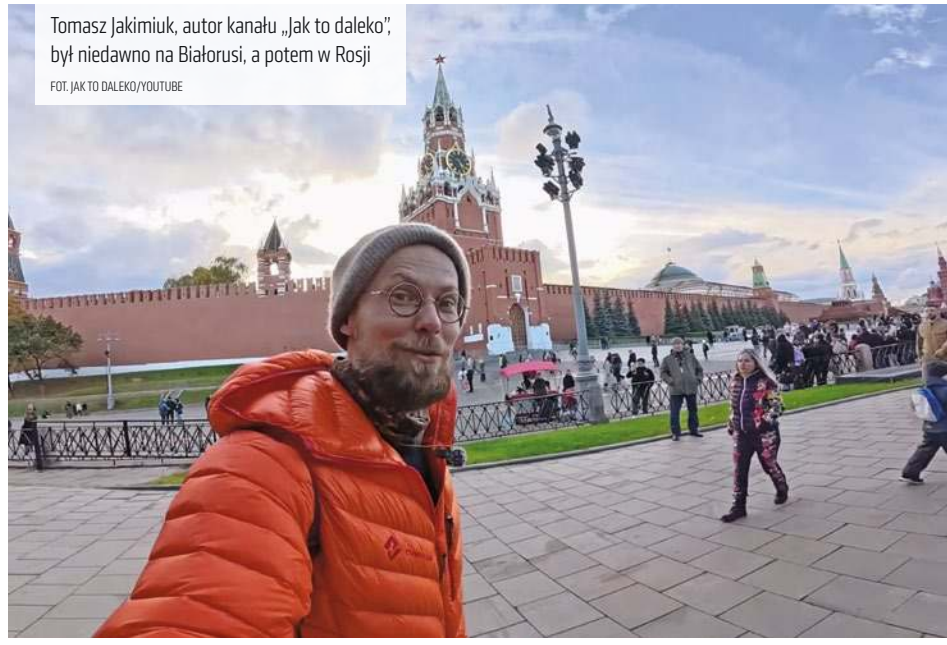


Maciej Pieczyński

Aura wojny wyraźnie zwiększyła zainteresowanie polskich podróżników Rosją. Jak są tam traktowani i jaki obraz kraju agresora prezentują widzom swoich wideoblogów?



Michał Pater, autor kanału „Autostopem na koniec świata" FOT. AUTOSTOPEM NA KONIEC ŚWIATA/YOUTUBE



Tomasz Jakimiuk, autor kanału „Jak to daleko", był niedawno na Białorusi, a potem w Rosji FOT. JAK TO DALEKO/YOUTUBE



Piotr Polo Przywarski, zanim jeszcze znalazł się na granicy, apelował do widzów, aby „odrzucili wszystko, co mówi nam telewizja" FOT. PIOTR POLO PRZYWARSKI - BUCKET LIST/YOUTUBE

Na polskim YouTube rośnie popularność kanałów podróżniczych. Ich autorzy zbierają dziesiątki, a nawet setki tysięcy wyświetleń, polubień, subskrypcji. Często odwiedzają kraje tyle fascynujące czy tajemnicze, ile niebezpieczne. Widzowie nie chcą przecież oglądać nudnych pocztówek z wakacji, tylko mrożącą krew w żyłach przygodę. Stąd też trudno się dziwić, że ich uwagę przyciągnął kraj, toczący u naszych granic wojnę. Tylko który? Tak się składa, że nie Ukraina, tylko Rosja. Wybór zrozumiały z kilku względów. Po pierwsze, bomby częściej spadają na Ukrainę, więc dla kogoś, kto nie musi się bać kremlowskich służb (bo nie krytykował publicznie Putina ani jego polityki), bezpieczniejszą opcją wydaje się Rosja. Po drugie, sytuacja nad Dnieprem jest ciągle opisywana w mediach, polskich dziennikarzy jest tam pełno, więc opowiadanie o podróży do Kijowa jest jak odkrywanie Ameryki. Po trzecie, wzrost nastrojów antyukraińskich sprawia, że aby nie zawieść widzów, należałoby nakręcić film demaskatorski, a podróżnicy wolą pokazywać niebezpieczny świat z bezpiecznej odległości, niż celowo pchać się w kłopoty i np. spacerując po ulicach Odessy, głośno narzekać na jej mieszkańców. Po czwarte, zakazany owoc najlepiej smakuje. Skoro po wybuchu wojny nie wypada mówić dobrze o Rosjanach i ich kulturze, skoro po 24 lutego 2022 r. praktycznie nikt do Rosji nie podróżuje, to Rosja staje się czymś na kształt Korei Północnej. Czyli tajemniczym, egzotycznym, dzikim krajem, do którego sami oczywiście nie pojedziemy, ale bardzo chętnie posłuchamy o czyichś wrażeniach z takiej wycieczki. I po cichu nawet będziemy liczyć, że dowiemy się czegoś innego niż tego, co o tej zakazanej

eprasa.pl 2049cc1e0e

krainie słyszymy na co dzień w mediach głównego nurtu…

APOLITYCZNY OBRAZ

Tomasz Jakimiuk, autor kanału „Jak to daleko", był niedawno na Białorusi, a potem w Rosji. „Spotykam żołnierza, który wraca z frontu na Ukrainie i daje mi prezent…" – tak zaczyna się jego „dziwna historia", która przydarzyła się podczas pobytu w Petersburgu. Jakimiuk opisał ją zarówno na YouTube, jak i na Facebooku, gdzie również ma ogromne rzesze fanów. Podróżnik po długich poszukiwaniach w końcu znajduje nocleg w jednym z hosteli. „Wchodzę do pokoju i się rozpakowuję. Muszę przecież naładować cały sprzęt elektroniczny. Jest

Zakazany owoc

ok. 10 rano. Z dolnej pryczy w 14-osobowym pokoju wstaje gość, na oko 40-letni. Witamy się i tyle" – opisuje Jakimiuk. „Lecę do łazienki zrobić pranie i tam ponownie na niego trafiam. Od słowa do słowa. Pyta, skąd jestem. Mówię: „Z Polski". Pogadaliśmy chwilę, po prostu jak dwóch przypadkowych facetów. Pytam: „A ty z Petersburga?". A on na to: „Nie, mieszkam 150 km od Petersburga. Dostałem przepustkę. Wracam z frontu". Rozmawiamy jeszcze moment i wracam do pokoju" – kontynuuje podróżnik.

W pewnym momencie rosyjski żołnierz mówi do polskiego podróżnika: „Ja dziś wyjeżdżam. Weź moją dolną pryczę, będzie ci wygodniej. I tu masz bluzę. To wojenna, ciepła bluza. Jak będzie zimno, to ci pomoże". Jakimiuk przyznaje, że prezent przyjął, bo tak został wychowany. Ten wpis wywołał spore kontrowersje. Post skomentował m.in. Żenia Klimakin, sekretarz redakcji w „Nowej Polszy", rosyjsko- i ukraińskojęzycznego portalu, wydawanego przez Centrum Mieroszewskiego podlegające pod Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Klimakin zapytał podróżnika, czy od nazistów w Auschwitz-Birkenau też by przyjął prezenty. Jakimiuk nie odpowiedział, ale masowo zrobili to za niego jego fani, odnosząc się do pochodzenia krytykującego i przypominając o zbrodniach banderowców. Po reakcjach widać wyraźnie: wielbiciele tego, a także wielu innych kanałów podróżniczych, zmęczeni dominującą narracją, oczekują treści może nie tyle prorosyjskich, ile poświęconych Rosji i zarazem wolnych od polityki.

Trudno jednak zarzucić Jakimiukowi, że popiera działania Putina. Tego typu treści ze świecą szukać na jego kanale. Podróżnik po prostu unika tematów politycznych. Nie mówi prawie nic ani o wojnie, ani o jej następstwach, takich jak chociażby skutki sankcji gospodarczych. Ktoś, kto 23 lutego 2022 r. zapadł w śpiączkę i zaraz po przebudzeniu włączył odcinki „Jak to daleko" z Rosji, mógłby się nie zorientować, że jest to kraj uczestniczący w jakimś konflikcie zbrojnym. Przykładowo: w Twerze Jakimiuk przez kilkanaście minut opowiadał o tamtejszym muzeum kozła, a zwiedzając tamtejsze targowisko, wyraźnie niechętnie kierował oko kamery nawet na matrioszki z Putinem.

Niby nieoczywista ta apolityczna Rosja, ale jednak nudnawa, a do tego niezbyt prawdziwa. Natomiast warte uwagi są rozmowy podróżnika z mieszkającymi w Petersburgu Polakami – Nadzią i Eugeniuszem (starszym małżeństwem), którzy z rozrzewnieniem wspominali, jak to kiedyś kultura polska w Rosji stała na bardzo wysokim poziomie i prężnie się rozwijała. Podkreślali też, że wciąż mogą kultywować swoją tożsamość i utrzymywać kontakty z rodakami, a to dzięki temu, iż w lokalnym, petersburskim kościele katolickim Msze Święte nadal są odprawiane w języku polskim. Nadzia i Eugeniusz przyznają też, że w Polsce jest „lepszy stosunek do człowieka" niż w Rosji, a Rosjanie są w porównaniu z Polakami „niewychowani". Ich zdaniem jest to spadek po czasach sowieckich. „Teraz jest (w Rosji) bardziej kulturalnie niż za komunizmu" – twierdzi Nadzia.

W innym odcinku Jakimiuk spotyka się pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Petersburgu z szefową tamtejszego Kongresu Polaków. Liliana Szyszko opowiada całą najnowszą historię petersburskiej polonii. Przyznaje, że jej i jej rodakom łatwiej było żyć w Rosji w latach 90. niż obecnie. Wtedy kwitła wymiana kulturalna, polskie dzieci z Petersburga jeździły nad Wisłę uczyć się ojczystego języka. Polska była wówczas chętna do pomagania rodakom na Wschodzie. Jakimiuk nieszczególnie dopytuje, ale można odnieść wrażenie, że zdaniem działaczki polonijnej problemem są nie tylko władze w Moskwie, lecz także te w Warszawie. Liliana Szyszko daje do zrozumienia, że polski rząd z powodów politycznych zapomniał o Polakach mieszkających w Rosji, choć ci nie zapomnieli o ojczyźnie.

Widać i słychać, że Jakimiuk dobrze zna język rosyjski, rosyjską historię i rosyjskie realia. Najwyraźniej jednak celowo uchyla się od komentowania bieżącej sytuacji. Dzięki temu wywołuje antypatię tych, którzy jednoznacznie popierają Ukrainę, oraz zdobywa sympatię tych, którzy Ukrainę potępiają, w związku z czym chętnie oglądają apolityczny, a zatem pozytywny obraz Rosji.

Zupełnie inny charakter mają dwa inne wideoblogi „Podróże Wojownika" oraz „Piotr Polo Przywarski". Ich twórcy pojechali do Rosji, nie mając o niej większego pojęcia. Stan ich wiedzy po powrocie niewiele się zresztą zmienił. Obaj też nie znają rosyjskiego. „Podróżującym Wojownikiem" jest 36-letni zawodnik MMA Piotr Pająk, który ma ambicję zwiedzić przed czterdziestką wszystkie kraje świata. Być może dlatego często pokazuje je dość pobieżnie. W Rosji szczególnie mocno interesuje

eprasa.pl 2049cc1e0e

się markami samochodów czy wyposażeniem tamtejszych siłowni. Trzeba przyznać, że pokazuje ciekawe miejsca, niewiele ma jednak na ich temat do powiedzenia. Odwiedził m.in. kaukaskie, muzułmańskie republiki. „Kraj, który nie jest uznawany na arenie międzynarodowej przez ONZ, ponieważ należy do Rosji, jest częścią Rosji, ale mają swojego przywódcę. Nie wiem, czy to był kiedyś osobny kraj, czy walczyli o to, żeby być osobnym krajem, ale są uznawani za kraj, który nie jest uznawany, czyli ONZ+. Tak samo Dagestan" – tak Pająk „przybliżał" swoim widzom, czym jest Czeczenia. Po pierwsze, nie istnieje taka kategoria, jak ONZ+. Podróżnik ją sobie wymyślił. Po drugie, Czeczenia nie jest „krajem nieuznawanym" (tak można powiedzieć np. o Abchazji czy Naddniestrzu), tylko podmiotem Federacji Rosyjskiej. Po trzecie, z kontekstu wynika, że Pająk mógł podejrzewać, iż Czeczenia i Dagestan to osobne państwa, które może odhaczyć na swojej liście wszystkich krajów świata. Na pewno jednak warto obejrzeć kaukaskie odcinki „Podróży Wojownika". Pająk pokazuje futurystyczny rozmach nowoczesnej metropolii, którą jest Grozny, czy też piękno przyrody gór Dagestanu. Podsumowując całą serię odcinków o Rosji, „Wojownik" tłumaczył, że pojechał tam jako podróżnik, nie interesowała go zatem polityka. Zapewnił, że ani razu nie odczuł ze strony Rosjan negatywnego stosunku do niego jako do Polaka. Przyznał jednak, że z uwagi na barierę językową raczej nie rozmawiał z ludźmi. Swoim fanom polecił Rosję jako ciekawy cel wyjazdu turystycznego.

TRYBY W UKŁADANCE

Jeszcze „ciekawszym" przypadkiem jest Piotr Polo Przywarski. W porównaniu z nim Pająk jest wybitnym ekspertem do spraw Rosji, bardzo wobec tego kraju krytycznym. Przywarski, zanim jeszcze znalazł się na granicy, apelował do swoich widzów, aby „odrzucili wszystko, co mówi nam telewizja". Z góry odpowiadając na zarzuty o kierunek wyjazdu, argumentował, że turysta, spędzający wakacje za oceanem, nie zastanawia się, co Amerykanie, z którymi rozmawia, myślą o Polakach, czy jak oceniają „to, co się działo w Iraku, Libii czy Afganistanie". „My, zwykli ludzie, jesteśmy tylko trybami w tej całej układance" – stwierdził, dając jasno do zrozumienia, że polityka w kontekście Rosji w ogóle go nie interesuje. Na granicy Przywarski był przez godzinę przesłuchiwany, wypytywany o ukraińskie i amerykańskie pieczątki w paszporcie. Funkcjonariusze rosyjskich służb w telefonie podróżnika nie znaleźli jednak żadnych „kompromatów". Przywarski pojechał koleją transsyberyjską nad Bajkał. Pokazał piękno przyrody najgłębszego jeziora świata. Zwiedził Olchon – największą bajkalską wyspę, perłę tamtejszej turystyki. Podróżnik bardziej jednak niż na opowiadaniu o tym magicznym miejscu skupił się na przekonywaniu swoich widzów, że Rosjanie nie są tacy źli, jak mogłoby się wydawać. Zapewniał, że podczas 11-dniowego pobytu w Rosji nie miał ani jednej nieprzyjemnej sytuacji w związku ze swoim polskim pochodzeniem. Ani razu nie usłyszał też pochwał pod adresem Putina czy krytyki Ukrainy. Rosjanie, których poznał, albo nie poruszali tematów politycznych, albo po cichu narzekali na swój kraj. Spotkał samych miłych, sympatycznych i gościnnych ludzi.

Zupełnie inny obraz Rosji przedstawia Michał Pater, autor kanału „Autostopem na koniec świata". Nazwa wideobloga nie jest przypadkowa. W 2014 r., w wieku 25 lat, pojechał autostopem na Kołymę. Ten wyczyn powtórzył 10 lat później. Wciąż na YouTube pojawiają się nowe odcinki z tej ostatniej podróży. Pater śpi pod gołym niebem w syberyjskiej głuszy, kąpie się w lodowatej wodzie tamtejszych górskich rzek, przejeżdża po najniebezpieczniejszym moście w Rosji, pije wódkę z nowo poznanymi Rosjanami, czasem nawet ostro spiera się z nimi o politykę. Był przesłuchiwany przez Rosgwardię. Udało mu się nawet nagrać z ukrycia krótki filmik na korytarzach komisariatu policji. Chwilę grozy mógł przeżyć, gdy podczas jazdy autostopem pokłócił się z kierowcą, jednoznacznie popierającym „specoperację". Pater zacytował żartobliwe hasło „spasibo synu za maszynu" („dziękuję synowi za samochód"), nawiązujące do kuriozalnego reportażu, który pokazał, że rodzice cieszą się z auta, otrzymanego w ramach odszkodowania za poległego na froncie syna. Gdy w ferworze dyskusji podróżnik powiedział „nie atakujcie Ukrainy", w odpowiedzi usłyszał: „Przecież to ku.wa nasza ziemia! Ukraina to nasz bratni naród […]. A ty jesteś agentem specjalnym! Jedziemy na FSB!". Całą rozmowę Pater nagrał z ukrycia. Sytuację ostatecznie udało się załagodzić. Pater nie tylko zna język, lecz także jest towarzyski i kontaktowy, stąd też częściej był zmuszony stawać w słowne szranki. Jako Polak musiał się tłumaczyć z poparcia dla Ukrainy, ale głównie przed emerytami, dla których jedynym źródłem informacji jest telewizor, czyli kremlowska propaganda. Gdy jednak udawało się uniknąć tematów politycznych, widać było typową dla Rosjan otwartość i gościnność. Widać też, że Pater – choć historyk z wykształcenia, o dość szerokich horyzontach – świetnie dogadywał się z lokalnymi rosyjskimi gopnikami (czyli dresiarzami). Wystarczyło, że rzucił parę przekleństw po rosyjsku – i był swój. W jednym z ciekawszych odcinków na zapadłej syberyjskiej wiosce zaczął spontanicznie biesiadować na przystanku autobusowym z 18-letnimi chłopakami. „Ja blogier-chujogier" – taka autoprezentacja wystarczyła, by młodzi Rosjanie tarzali się ze śmiechu po poboczu. Wypytywali o polskie wersje rosyjskich przekleństw i chętnie chłonęli tę kulturową wiedzę.

NIEUFNI, ALE GOŚCINNI

Poważniej się zrobiło, gdy przed kamerą, obejmując się w pijackim uścisku z Paterem, jeden z gopników krzyknął: „Sława Rossii!". Podróżnik zareagował bez entuzjazmu i już po polsku wyjaśniał swoim widzom, że „chłopaki chcą iść walczyć, nie wiedzą, że wojna to nie jest przygoda". Następnie pojednawczo zachęcał swoich nowych przyjaciół do wzniesienia toastu za to, żeby „ta chu.nia się wreszcie skończyła", „żebyśmy żyli w pokoju i ru..ali dziewczyny". Tu akurat sporu z rosyjskimi dresiarzami z prowincji nie było.

Podróż do Rosji teoretycznie jest możliwa. Szczególnie dla kogoś, kto nie ma na swoim koncie działalności, uznawanej przez Moskwę za wrogą. Rosjanie są wobec Polaków nieufni, ale wciąż pozostają gościnni – o ile gość nie poruszy tematów politycznych. Takie wnioski można wysnuć z opowieści polskich youtuberów. Tak czy inaczej, na pewno bezpieczniej zwiedzić dzisiejszą Rosję za ich pośrednictwem…

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



FOT. RUNGROJ YONGRIT/EPA/PAP

SAMOKRYTYKA

Sarah Dzafce, Miss Finlandii 2025, została pozbawiona tytułu po tym, jak w Internecie pojawiło się jej zdjęcie, na którym wykonywała gest zinterpretowany jako akt rasizmu wobec Azjatów. Swoimi palcami rozciągała kąciki oczu, z podpisem sugerującym „jedzenie z Chińczykiem". Organizator konkursu Miss Finlandii uznał to zachowanie za sprzeczne z wartościami imprezy i wyciągnął z tego konsekwencje. Dzafce, której matka jest Finką, a ojciec pochodzi z Kosowa, złożyła samokrytykę.

PIJANE ZWIERZĘ

Do niecodziennego włamania doszło w Ashland (stan Wirginia). Sprawcą zamieszania okazał się... szop pracz. Zwierzę dostało się do sklepu monopolowego i zaczęło grasować wśród butelek z alkoholem. Zrobiło to tak sprytnie, że kamery nie zarejestrowały jego wtargnięcia. Niektóre butelki się rozbiły i intruzowi udało się z ich zawartości coś spożyć. W efekcie pijany zasnął w toalecie sklepu, gdzie go znaleziono. Po kilku godzinach trzeźwienia w schronisku zwierzę wypuszczono na wolność.

NA GAZIE

Angielski przedsiębiorca padł ofiarą – jak się wyraził – „straconego pokolenia". Tylną szybę jego wartego 200 tys. funtów samochodu rozbił pojemnik po gazie rozweselającym. Przedmiot w stronę auta rzucił kierowca innego pojazdu. Stało się to w wyniku awantury między obydwoma mężczyznami na jednej z londyńskich dróg. Zdaniem przedsiębiorcy „stracone pokolenie" to masowe zjawisko. Chodzi o młodych ludzi, którzy siadają za kierownicą, będąc pod wpływem gazu rozweselającego.

PORWAĆ DOKERA

Jamal Ben Saddik to znany belgijski kick bokser o korzeniach marokańskich. Jego karierę sportową może jednak zakończyć konflikt z prawem. Został bowiem skazany na cztery lata więzienia za to, że stał na czele grupy, która uprowadziła dokera w Antwerpii. Przestępcy chcieli robotnika portu zmusić do pomocy w przemycie narkotyków. Mężczyzna został uwolniony po tym, gdy jego siostra zawiadomiła policję. Ben Saddik zaprzecza swojej winie.

BÓJ O KRAWAT

Podczas wesela w Hemer (Nadrenia Północna-Westfalia) tradycyjna zabawa przerodziła się w awanturę. Podczas znanej gry o krawat pana młodego (uczestniczą w niej kawalerowie, ten, kto złapie tę część garderoby, jest uznawany za kolejnego kandydata na ślubny kobierzec) doszło do bójki między gośćmi. W zajściu wzięło udział ok. 30 osób. Gdy przybyła policja, kłótnia już się zakończyła. Niemniej panna młoda przypłaciła niespodziewane wydarzenie załamaniem nerwowym i trafiła do szpitala. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pękła potęga Volkswagena

Szklana Manufaktura (niem. Gläserne Manufaktur) jeszcze dwie dekady temu była symbolem technologicznej i ekonomicznej potęgi nie tylko Volkswagena, lecz także niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego.

Legendarną fabrykę otwarto w Dreźnie wiosną 2022 r. Była oczkiem w głowie ówczesnego prezesa koncernu Volkswagen Group Ferdinanda Karla Piëcha, który chciał pokazać, że Volkswagen to nie tylko auta dla ludu, lecz także dla elit. Szklane ściany. Piękna drewniana podłoga. Pracownicy ubrani w białe kitle. To tu produkowano luksusowego Volkswagena Phaetona, a następnie potężnego Bentleya Continental Flying Spur.

Ostatnim budowanym w Dreźnie modelem był elektryczny ID.3. Miał być jeszcze ID.Golf, ale Niemcom – zmuszonym do ostrej konkurencji z producentami z Chin – skończyły się pieniądze na rozwój tego projektu. Gdy zatem z taśmy produkcyjnej zjechał ostatni egzemplarz ID.3 w ładnym czerwonym kolorze... to stał się już tylko muzealną pamiątką. Pod koniec grudnia Volkswagen oficjalnie zamknął produkcję w Dreźnie. To symboliczna decyzja, bo to pierwsza zamknięta fabryka tego koncernu w jego 88-letniej historii. I choć w Szklanej Manufakturze ma powstać we współpracy z Politechniką Drezdeńską centrum zajmujące się m.in. robotyką i sztuczną inteligencją, to trudno nie dostrzec, że niemiecka potęga się kruszy...

Zachód nie docenił zagrożenia wynikającego z ofensywy Chin. Jednocześnie europejscy producenci padli ofiarami polityki UE zaostrzającej ekonormy i forsującej modele elektryczne, na które popyt mimo różnych zachęt, jest wciąż dużo niższy, niż zakładano. Efekt: do 2030 r. tylko z Volkswagena ma odejść 35 tys. pracowników...

eprasa.pl 2049cc1e0e

Lew, który zmienił się w kota





Teresa Stylińska

Na urzekającą irańską mieszankę składają się niezwykłej urody zabytki, stara, ciągle żywa kultura (poeci tworzący w wiekach XI i XII są ciągle czytani), kultura materialna i techniczna, o której mało w Europie wiemy, finezyjne rękodzieło, a do tego bardzo stare korzenie i pełna meandrów historia, w której pojawia się także wątek polski. Najcenniejszy skarb Iranu i jego największy atut to jego mieszkańcy

Proszę okryć głowę – przypominał steward kolejnym wysiadającym pasażerkom, gdy samolot zatrzymał się przed budynkiem lotniska Chomeiniego w Teheranie. Wszystkie, ja także, byłyśmy przygotowane. Z torebek lub bagażu podręcznego pośpiesznie wyciągałyśmy apaszki i szale. Do budynku wchodziłyśmy jako kobiety ubrane stosownie do miejscowych zasad, skromnie, jak nakazywał Prorok.

Konieczność okrycia włosów nie jest, powiedzmy to otwarcie, specjalnym problemem, tym bardziej że w Iranie nie ma obowiązku noszenia wybitnie nietwarzowego hidżabu, szczelnie owijającego głowę, tak by ani jeden włosek nie był widoczny. Co więcej, dotyczy to nie tylko cudzoziemek. Wiele Iranek okrywa głowę luźno, włosy filuternie wymykają się spod szala, swobodnie opadającego na ramiona. To nie szpeci, nawet przeciwnie.

Spojrzenie cudzoziemki jest oczywiście inne niż miejscowych kobiet, bo czym innym jest nosić chustę przez parę tygodni, a czym innym zawsze. Warto zresztą wiedzieć, że w porównaniu z odzieżowymi restrykcjami, które obowiązywały w pierwszych latach po rewolucji islamskiej, to i tak nic. Wszystkie kobiety, cudzoziemki również, musiały wówczas na ubranie narzucać czadory, oczywiście czarne, a patrolujący ulice strażnicy rewolucji mieli prawo sprawdzać, czy wszystko jest, jak należy. Nie daj Boże, gdyby spod czadoru widać było nieobyczajne kolorowe skarpetki. Obowiązkowo musiały być czarne.

MIESZANKA NIEZWYKŁEJ URODY

Konieczność okrycia włosów i wymogi dotyczące kobiecego stroju (spodnie, jeśli spódnica, to mocno za kolana, zalecane długie rękawy) to niewysoka cena, którą trzeba zapłacić, by móc odwiedzić kraj naprawdę niezwykły. Nie przesadzam. Iran jest wyjątkowy. „To najmilszy kraj na świecie" – pisał brytyjski dziennikarz John Simpson, który jako wieloletni szef redakcji zagranicznej BBC ma szeroki materiał porównawczy, a z Iranu relacjonował m.in. obalenie szacha i rewolucję Chomeiniego.

Na urzekającą irańską mieszankę składają się niezwykłej urody zabytki, stara, ciągle żywa kultura (poeci tworzący w wiekach XI i XII są ciągle czytani), kultura materialna i techniczna, o której mało w Europie wiemy, finezyjne rękodzieło, a do tego bardzo stare korzenie i pełna meandrów historia, w której pojawia się także wątek polski, bo to Iran przyjął armię gen. Andersa wraz z tysiącami Polaków opuszczających Związek Sowiecki (i w Iranie dołączył do wojska słynny miś Wojtek). Do tego ludzie przyjaźni (to wyświechtane słowo jest tu jak najbardziej na miejscu), życzliwi, łatwo nawiązujący kontakty.

Przełóżmy to na konkrety. Oto Persepolis – ruiny stolicy Achemenidów, pierwszej dynastii Imperium Perskiego. Mury, kolumny, schody, zarys ogromnych komnat, rzeźby mitycznych stworów oraz – co robi największe bodaj wrażenie – wspaniałe, z ogromną precyzją wykute płaskorzeźby, pokazujące ludzi, zwierzęta i rośliny. Po blisko 25 wiekach widzimy, jak przedstawiciele wszystkich 23 ludów żyjących w imperium składają władcy hołd. Kilka kilometrów od Persepolis jest nekropolia. W wykutych w skale grobowcach spoczywają wraz z rodzinami pierwsi królowie, w tym dwaj, których imiona mamy w pamięci dzięki wojnom grecko-perskim – Dariusz Wielki, przegrany spod Maratonu, i jego syn Kserkses, zwycięzca spod Termopil.

Teheran, królewski pałac Golestan, w którym w 1943 r. konferowała „wielka trójka", polski cmentarz, na którym spoczywają żołnierze gen. Andersa.

eprasa.pl 2049cc1e0e



Sanktuarium Imama Rezy w mieście Meszhed w Iranie FOT. ADOBE STOCK

Strzelista, w całości obłożona białym marmurem Wieża Azadi, czyli Wieża Wolności, przed rewolucją nosząca nazwę Wieży Szacha, zbudowana w 1971 r. dla upamiętnienia 2,5 tys. lat państwa perskiego. Za jego początek uważa się rok 550 p.n.e., gdy Cyrus Wielki pokonał Medię i włączył ją do swego państwa, kładąc w ten sposób podwaliny pod przyszłe imperium.

Isfahan, centrum miasta, to imponujący nie tylko wielkością, lecz także harmonią plac Imama, zamknięty z jednej strony przez meczet o tej samej nazwie, z widoczną z dala błękitną kopułą, z drugiej przez wielki bazar (to jedno z tych perskich słów, które każdy zna i rozumie). To także królewskie pałace od pałacu fortecy przy placu Imama po rezydencje w ogrodach. To perski duch poezji musiał sprawić, że najwspanialszy zwany jest, nieco zwodniczo, pałacem 40 Kolumn – bo kolumn jest 20, tyle że odbijają się w wodzie sadzawki... Duch czuwa także nad mostami. Stary kryty most 33 Arkad, najpiękniejszy, to ulubione miejsce spacerów i spotkań.

I wiele, wiele więcej. Bo Iran to także Sziraz, miasto poetów i Różowego Meczetu, o dominującej barwie rzadko spotykanej w islamie. Kaszan, pełen pałaców bogatych kupców, święte miasto Kom z wielkim meczetem Fatimy, praprawnuczki Mahometa, Jazd, miasto zoroastrian, którzy wierni są religii perskiego imperium. To dywany, o różnych wzorach zależnie od regionu, perskie miniatury, naturalna klimatyzacja w postaci wież wiatrowych, pistacje, których Iran jest wielkim producentem, i szafran, najdroższa przyprawa świata. Nie może nie być kosztowna, skoro z każdego kwiatu krokusa wyrywa się tylko trzy pręciki z sześciu i trzeba wiedzieć które. Musi to zrobić człowiek, maszyna go nie zastąpi. Pręciki zbiera się jesienią, gdy kwiaty zakwitną, zawsze o świcie, trzeba się spieszyć, na krokusowych polach pracują więc całe rodziny.

W KRAJU ARIÓW

Tym, którzy sami nie zauważyli tego na mapie, Irańczycy zwracają uwagę na kształt swego kraju: Iran to kot. Rzeczywiście nie trzeba specjalnej wyobraźni, by dostrzec, że między Turcją, Irakiem, Afganistanem i dwoma morzami siedzi kot. Głowa i wygięty grzbiet – sprawa jest jasna.

– Mawiamy, że Iran kiedyś był lwem, ale później skurczył się do rozmiarów kota – opowiada Ali, przewodnik.

Lew istotnie ma w Iranie ważne miejsce. Był zawsze doceniany jako motyw dekoracji i jako symbol. W krajach muzułmańskich odpowiednikiem zachodniego Czerwonego Krzyża są organizacje Czerwonego Półksiężyca. Tylko w Iranie trzymano się innej, starszej tradycji. Za rządów szacha tutejsza organizacja nosiła nazwę Czerwonego Lwa i Słońca.

Iran czy może Persja? Kraj, który od starożytności do wieku XX znany był w świecie jako Persja, w połowie lat 30. nieoczekiwanie zmienił się w Iran. Tak postanowił ówczesny szach Reza Pahlawi, który kilkanaście lat wcześniej, nie bez inspiracji i wsparcia ze strony Brytyjczyków, obalił króla z dynastii Kadżarów, przejął władzę i po paru latach ogłosił się szachem. Był skromnego pochodzenia, zrobił jednak karierę wojskową, która stała się odskocznią do zdobycia przezeń tronu szachinszacha, króla królów.

Reza Pahlawi ma swoje zasługi, starał się modernizować Persję na wzór tego, co w sąsiedniej Turcji robił Mustafa Kemal Atatürk. Poza sprawami fundamentalnymi, takimi jak zmiany w prawie i administracji, budowa szkół i dróg, nakazał m.in. noszenie ubiorów europejskich. W marcu 1935 r. zwrócił się do świata, by Persję od tej pory nazywano Iranem. „Iran" miał podkreślać wspólnotę i tożsamość.

– Słowo „Iran" znaczy „kraj Ariów". Irańczycy nigdy nie nazywali swego kraju Persją. Persja była w użyciu tylko w Europie – wyjaśnia Zahra, również przewodniczka. – To nie to samo i tych terminów nie należy używać zamiennie. Persja to tylko część terytorium Iranu.

Nie wszyscy Irańczycy są zatem Persami. Obok Persów w Iranie żyją Kurdowie, Ormianie, Azerowie, Arabowie, Beludżowie i wiele innych narodowości. Nieformalny kompromis, dla którego punkt wyjścia stanowią tradycja i uzus, jest taki: irańskie jest państwo, perskie natomiast to wszystko, co składa się na szeroko pojmowaną kulturę. Perska jest więc poezja, perskie są miniatury, ogrody i dywany.

ŚLADAMI ZARATUSTRY

Nazwa to jednak sprawa drugorzędna, gdy uświadomimy sobie, że choć Iran przez całą swą imponującą historię miał do czynienia z najeźdźcami i podbojami, mniej lub bardziej skutecznymi, to zachował nici, które wiążą współczesność z najodleglejszą przeszłością.

eprasa.pl 2049cc1e0e

Współczesnych Włochów, Greków czy Egipcjan niewiele łączy z Rzymem, Atenami Peryklesa czy Egiptem faraonów. Z Irańczykami jest inaczej.

Pierwsza jest nić wizualna. Widuje się, wcale nierzadko ludzi, którzy wyglądają tak, jak gdyby zeszli wprost z malunków na greckich wazach. Są jak żywe portrety starożytnych perskich wojowników. Druga jest nić religijna. Zoroastryzm, starodawna religia imperium, istnieje do dzisiaj, nawet jeśli wyznawców jest niewielu.

Islam zaprowadzili w Persji Arabowie, którzy, opanowawszy ją w wiekach VII–VIII, dołożyli starań, by zoroastryzm – religię czcicieli ognia i innych żywiołów – całkowicie zniszczyć. Persowie – opowiada przewodnik Reza – okazali się jednak nadspodziewanie oporni. Dopiero po 200, a czasem nawet 400 latach pogodzili się z arabską religią. Wielu prześladowanych zoroastrian uciekło jednak z kraju, głównie do Indii, gdzie do dziś żyje ich najwięcej. W Iranie natomiast znaleźli schronienie w mieście Jazd i jest to do dziś ich największe skupisko.

Zoroastrianie mają w Jaździe świątynię ognia, a w górskiej pieczarze w nieodległej miejscowości Czak Czak sanktuarium, do którego w czerwcu na coroczne uroczystości zjeżdżają wyznawcy z całego świata, od Indii po Amerykę. W niewielkiej dolinie, wokół wiecznego ognia, tłoczy się czasem aż 100 tys. ludzi.

JĘZYK, KTÓRY OCALAŁ

– Arabowie zdołali narzucić Persom religię i alfabet, ale nie byli w stanie narzucić im swego języka – opowiada Zahra. – Na tym polu ponieśli zupełną porażkę.

Efekt tych nieudanych zabiegów to zaskakujące, jedyne w swoim rodzaju lingwistyczne połączenie: farsi, czyli perski, jest bowiem językiem indoeuropejskim, zapisywanym jednak alfabetem arabskim. Jest więc – dodajmy – żywym przeciwieństwem języka maltańskiego. Maltański to język semicki, spokrewniony z arabskim, w piśmie za to używający alfabetu łacińskiego. Język perski okazał się zatem prawdziwą ostoją tego, co może niezbyt zgrabnie, ale jasno nazwalibyśmy perskością.

– W ślady Arabów, którzy próbowali wyrugować nasz język, idą dzisiaj ludzie rządzący Iranem – mówi Ali. – Tylko cel mają inny: chcą wymazać całą historię dawnej Persji, pozbawić ją miejsca, które się jej należy. W podręcznikach historii dzieje dawnej Persji zajmują kilka stron, za to historia Iranu od czasu przyjęcia islamu to nawet 150 stron. Taka to jest proporcja. Władze pragną, by Iran kojarzył się wyłącznie z islamem. Tego, co było wcześniej, ma nie być. Efekt jest jednak odwrotny, bo zainteresowanie dawną Persją jest coraz większe.

Stąd krok tylko do współczesności, a w niej do pytania: Czy Irańczycy chcieliby powrotu monarchii? Irańscy rozmówcy przyznają, że czasy szacha Mohammeda Rezy Pahlawiego, który w 1979 r. opuścił kraj, oddając go Chomeiniemu i ajatollahom, otacza pewien sentyment. Dyktują go jednak ich zdaniem w dużej mierze względy ekonomiczne, bo za szacha po prostu żyło się lepiej.

KREATYWNOŚĆ I HARMONIA

Za wymuszenie zmian w sferze języka i religii Persowie zrewanżowali się Arabom zmianami w budownictwie i sztuce. Imponujące kopuły i ejwany – sklepione, ozdobne wejścia – stały się istotnym elementem konstrukcji meczetów właśnie dzięki Persom.

– Cała architektura islamu – podkreśla z dumą Ali – czerpała ze sztuki perskiej.

O perskich dywanach, utkanych z wełny lub jedwabiu, wie chyba każdy. O perskich barwnych miniaturach, o precyzyjnie zakładanych ogrodach – ten i ów. Mało kto jednak słyszał o pradawnym sposobie chłodzenia domów, opartym na sile wiatru i wody, a wymyślonym w Persji 1000 lat temu. To dobra ilustracja kreatywności Persów, którzy byli nie tylko świetnymi wojownikami i utalentowanymi artystami, lecz także inżynierami.

Mówiąc krótko i językiem laika: intrygujące wysokie konstrukcje górujące nad dachami starych pałaców to wieże wiatrowe. Przechwytują one strumień powietrza, które wewnętrznymi szybami spływa do podziemi, tam schładza je woda płynąca kanałami i tak oziębione powietrze chłodzi cały budynek. Ta technika zbiera ostatnio same zachwyty, bo – jak piszą z podziwem specjaliści – jest to klimatyzacja nie tylko skuteczna, lecz także ekologiczna, bo oparta na zjawiskach naturalnych.

Talenty techniczne Persów dawały o sobie znać w różny sposób. Oto Nuszabad koło Kaszanu. Pod kilkunastotysięcznym dziś miastem, na głębokości od 4 do 18 metrów, od kilkuset lat istnieje miasto podziemne. W niespokojnych czasach, czyli zawsze, mieszkańcy chronili się pod ziemią, w labiryncie korytarzy i komór, do których przemyślnie doprowadzano powietrze i wodę. Szczególną pomysłowością twórcy podziemnego miasta wykazali się przy kamuflowaniu wejść, bo do podziemi schodziło się przez przejścia w domowych piecach. Dzięki temu w sytuacji zagrożenia mieszkańcy mogli zniknąć błyskawicznie.

Kreatywność idzie u Persów w parze z poczuciem estetyki i harmonii, i nie dotyczy to jedynie tego, co powstało w dawnych wiekach. Sale pałacu Golestan w Teheranie skrzą się od kryształów, luster i szkiełek. Wnętrza, utrzymane w przesadnej estetyce Wschodu, w pierwszej chwili szokują. Dopiero po chwili uświadamiamy sobie, że nie ma tu pstrokacizny, bo w tle są tylko trzy spokojne barwy: biel, szarość i kolor kremowy.

LUDZIE JAK NIGDZIE INDZIEJ

Ludzie to najcenniejszy skarb Iranu i jego największy atut, i nie ma nikogo, kto uważałby inaczej. Otwarci, życzliwi, pomocni. Nadspodziewanie wielu mówi po angielsku, a nawet jeśli nie, to kontaktom to nie szkodzi. Zdarzyło nam się zabłąkać wieczorem w plątaninie uliczek starego Isfahanu. Właściciel sklepiku, którego zapytaliśmy o drogę, nie znał angielskiego. Obszedł zatem sklepy i warsztaty przy całej ulicy, by znaleźć kogoś, kto będzie mógł nam pomóc.

Wspomniany John Simpson, dziennikarz BBC, opisał sytuację, która lepiej niż cokolwiek innego pokazuje naturę Irańczyków. W latach 80., gdy stosunki Iranu z Zachodem były bardzo złe, relacjonował dla swej stacji antybrytyjską demonstrację. Postanowił, mimo obaw irańskiego kamerzysty, wejść w tłum i dotrzeć na scenę. Manifestanci grzecznie go przepuszczali, a gdy ze sceny powiedział, kim jest mówca, który przed chwilą miotał gromy na Brytyjczyków, najserdeczniej uścisnął mu dłoń. Czy jest inny kraj, w którym coś takiego mogłoby się zdarzyć?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 2049cc1e0e

Droga do biliona



Jacek Przybylski

Elon Musk, którego prywatny majątek był w grudniu 2025 r. szacowany na ok. 650 mld dol., może w ciągu najbliższej dekady zarobić jeszcze niemal bilion! I chociaż nikt inny nie może liczyć na aż tak hojne wynagrodzenie, to pensje prezesów od 1978 r. wzrosły o 1085 proc. Na pogłębiającą się przepaść między zarobkami szefów a szeregowych pracowników zwrócili ostatnio uwagę zarówno papież Leon XIV, jak i Warren Buffett



FOT. DANIEL COLE / REUTERS / FORUM

Nawet 878 mld dol. (słownie: osiemset siedemdziesiąt osiem miliardów dolarów) może zarobić w ciągu najbliższej dekady Elon Musk, jeśli Tesla osiągnie stawiane przed zarządem ambitne cele. Za przyjęciem rekordowego pakietu wynagrodzeń dla prezesa spółki – największego nie tylko w historii tej amerykańskiej firmy, lecz także w ogóle w historii ludzkości – zagłosowały kilka tygodni temu ponad trzy czwarte udziałowców. Odpowiedź rynku była natychmiastowa: kurs Tesli zaczął piąć się w górę. Spółka dynamicznie zyskiwała także w połowie grudnia 2025 r., gdy akcjonariusze uwierzyli, że najbogatszy człowiek świata wziął się poważnie do realizacji zamierzeń, bez których może zapomnieć o sowitej wypłacie.

Otóż, aby otrzymać historyczną wypłatę, kierowana przez Muska spółka musi m.in. wyprodukować milion autonomicznych taksówek oraz milion humanoidalnych robotów Optimus. W połowie grudnia Musk potwierdził, że Tesla testuje już pojazdy Model Y z oprogramowaniem do jazdy autonomicznej bez obecności człowieka w pojeździe. To ważna zmiana. Wcześniej w pojazdach Robotaxi, jeżdżących w ramach pilotażu po drogach Austin w Teksasie, musiał znajdować się człowiek, który siedząc na miejscu pasażera, nadzorował działanie systemu autonomicznej jazdy. Skoro człowiek stał się zbędny, to znaczy, że firma jest bliżej sukcesu, a zapowiadana na przyszły rok oficjalna premiera robotaksówek Cybercab – czyli dwuosobowego modelu bez kierownicy i pedałów, który od samego początku był projektowany jako pojazd do jazdy autonomicznej – ma wreszcie szansę dojść do skutku. Na razie jednak Teslę wyprzedza Waymo – spółka należąca do grupy Alphabet – z ponad 2 tys. komercyjnych taksówek autonomicznych, które już wożą pasażerów i zarabiają pieniądze, wykonując niemal pół miliona płatnych przejazdów tygodniowo.

Mimo to 17 grudnia 2025 r. giełdowa wartość Tesli wynosiła 1,54 bln dol. W ciągu ostatniego półrocza kurs spółki wzrósł o ponad jedną trzecią, ponieważ część inwestorów uwierzyła, że spółce uda się wreszcie zacząć zarabiać na autonomicznych taksówkach. Udało się zatem odrobić z nawiązką straty po słabym pierwszym kwartale 2025 r. Inwestorzy patrzą na przyszłość Tesli z wielkim optymizmem, choć na razie główne źródło przychodów stanowi wciąż sprzedaż samochodów elektrycznych, która – po przygodzie Elona Muska u boku Donalda Trumpa w Białym Domu – w wielu miejscach świata zanotowała potężne spadki. Wyniki poprawiły się dopiero latem, gdy Amerykanie rzucili się do salonów, aby zdążyć kupić auto elektryczne przed wygaśnięciem ulgi podatkowej (do 30 września ulga wynosiła do 7,5 tys. dol.).

eprasa.pl 2049cc1e0e

Ostatnia transza rekordowego wynagrodzenia może być wypłacona prezesowi Tesli, dopiero jeśli rynkowa wycena tej spółki przekroczy poziom 8,5 bln dol. Musk musi się więc wykazać czymś więcej niż robotaksówkami. Niewykluczone, że jednym ze środków do osiągnięcia ogromnego wzrostu kapitalizacji spółki będzie wreszcie debiut Tesli Roadster 2.0 – zapowiadanego od wielu lat ekskluzywnego pojazdu, który za duże pieniądze ma oferować nabywcom „łamiące zasady fizyki" przyspieszenie (wykorzystujące technologie inspirowane rakietami SpaceX, czyli kosmicznej spółki kierowanej przez Muska), a jednocześnie imponujący zasięg. Gdyby ten projekt się powiódł, to Tesla będzie mogła stanąć w szranki z producentami takich samochodów jak Ferrari czy McLaren. Akcjonariusze i tak powinni uzbroić się w cierpliwość. Jeśli nawet zapowiadana premiera odbędzie się w roku 2026, to zapewne produkcja na masową skalę zacznie się dopiero w roku 2027, a być może nawet w 2028.

Szybciej do pierwszych klientów mogą trafiać egzemplarze Tesli Model 2, czyli kompaktowego auta mającego dać amerykańskiemu koncernowi szanse na rywalizację z dużo tańszymi – i często też lepszymi niż Tesla – samochodami z Chin.

Dzięki temu, że Elon Musk potrafi wzbudzić entuzjazm wśród inwestorów, już w październiku 54-latek zapisał się na kartach historii ludzkości jako pierwszy człowiek, który stał się w połowie bilionerem. Majątek ekscentrycznego miliardera i jednocześnie najbogatszego człowiek na świecie był wówczas wart 500,1 mld dol., 17 grudnia ta wycena była jeszcze wyższa. Analitycy Bloomberga wielkość prywatnej fortuny marzącego o Marsie najbogatszego Ziemianina szacowali na 648 mld dol. To zasługa nie tylko drożejącej Tesli, lecz także innej spółki, którą kieruje ekscentryczny wizjoner, czyli SpaceX.

Nigdy w historii żaden człowiek nie miał jeszcze takiego majątku. To kwota trudna do wyobrażenia nie tylko dla przeciętnego Kowalskiego, lecz także dla najtęższych głów świata i innych bogaczy. Drugi na liście najzamożniejszych ludzi świata – współzałożyciel Google 52-letni Larry Page – 17 grudnia 2025 r. mógł się pochwalić majątkiem wynoszącym 264 mld dol., a 61-letni założyciel Amazona Jeff Bezos miał tego dnia fortunkę szacowaną na zaledwie 246 mld dol.

Wrażenie robi też tempo, w którym szef Tesli i Space X się bogaci. Jak zauważył magazyn „Fortune", gdy Musk trafił w roku 2013 na tworzoną przez Bloomberga listę bogaczy, jego majątek wart był marne 4,8 mld dol. W 2020 r. było to już ponad 100 mld dol. Obecnie Musk ma zaś majątek porównywalny z rocznym PKB takich krajów jak Austria. A przecież najbogatszy człowiek świata jest dopiero w połowie drogi do tego, aby – jeśli wreszcie zacznie wcielać w życie swe obietnice – stać się bilionerem pełną gębą, co wyobrazić jest sobie jeszcze trudniej niż kolonizację Marsa.

ŚWIAT BEZ WARTOŚCI

Do niebotycznych zarobków i nieziemskiej fortuny zarówno szefa Tesli, jak i prezesów innych globalnych firm w pierwszym formalnym wywiadzie odniósł się nawet w 2025 r. papież Leon XIV. Ojciec Święty stanowczo skrytykował w nim korporacyjne systemy wynagradzania. „60 lat temu prezesi zarabiali od czterech do sześciu razy więcej niż pracownicy. Obecnie różnica sięga… 600-krotności" – zauważył pierwszy papież Amerykanin, krytykując miliarderów i bilionerów, którzy gromadzą ogromne bogactwo dzięki nieproporcjonalnej różnicy w dochodach współczesnych prezesów i dyrektorów generalnych oraz zatrudnianych przez nich pracowników. Ojciec Święty nawiązał również do wiadomości, że Elon Musk zostanie pierwszym bilionerem świata. „Co to właściwie oznacza i o co w tym chodzi? Jeżeli jedyną wartością staje się majątek, to mamy poważny problem" – podkreślił Leon XIV w rozmowie z dziennikarką katolickiego portalu Crux.

Trudno odmówić papieżowi racji – zwłaszcza jeśli spojrzy się na dane Banku Światowego o 659 mln ludzi, którzy w zeszłym roku żyli w ekstremalnym ubóstwie.

Jeszcze przed drugą wojną światową, w latach 30. XX w., sensację na miarę obecnego pakietu wynagrodzeń Muska wzbudził Eugene Grace. Jak zauważył „Time" w 1929 r., prezes Bethlehem Steel Corp. otrzymał pensję w wysokości 12 tys. i bożonarodzeniową premię w wysokości… 1,623 mln (!) dol. Pakiet wynagrodzenia pana Grace'a przewidywał bowiem wypłatę 3,84 proc. zysku. Zarobki prezesów i dyrektorów generalnych mocno wzrosły w USA na przełomie lat 70. i 80. XX w. Obecni CEO w największych amerykańskich firmach zarabiają jednak dużo więcej niż ich poprzednicy jeszcze w połowie lat 90. Jak wyliczyli analitycy Economic Policy Institute (EPI), od 1978 do 2023 r. wynagrodzenia szefów największych spółek wzrosły o 1085 proc. W tym samym okresie średnia pensja przeciętnego pracownika wzrosła o 24 proc. Z tej analizy wynika także, że chociaż jeszcze w roku 1965 przeciętny prezes lub dyrektor zarządzający zarabiał 21 razy więcej niż przeciętny pracownik, to w 2023 r. było to już 290 razy więcej. Dzięki temu dawni milionerzy są dziś miliarderami, a miliarderzy zostają bilionerami. I nie jest to wcale efekt kosztownej walki o największe na rynku talenty. Jak zauważają autorzy wspomnianego powyżej raportu EPI, prezesi spółek otrzymują wyższe wynagrodzenia nie ze względu na swoje umiejętności czy wkład, który wnoszą do kierowanych przez siebie firm, lecz ze względu na swój wpływ na zarządy korporacji, którymi kierują. Innymi słowy, zarabiający krocie prezesi nie są wcale szczególnie produktywni. Bez skrupułów wykorzystują po prostu swą pozycję negocjacyjną. Według ekspertów EPI, gdyby radykalnie ograniczyć wynagrodzenia CEO, takie działanie nie przyniosłoby żadnej szkody dla wzrostu gospodarczego.

Z kolei na Starym Kontynencie wynagrodzenia prezesów i dyrektorów generalnych są średnio ponad 110 razy wyższe od średniej płacy pozostałych pracowników. Według raportu Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych (ETUC) z początku 2025 r. prezesi 100 największych europejskich firm otrzymali w ubiegłym roku średnio 4 147 440 euro wynagrodzenia zasadniczego w wysokości 1 571 000 euro i premie sięgające 200 proc. wynagrodzenia. Dla porównania: pracownik zatrudniony na pełen etat otrzymał średnio 37 863 euro. Autorzy raportu zauważają, że to nie tylko kwestia moralności czy sprawiedliwości społecznej. Polityka przeznaczania dochodów spółek na i tak olbrzymie wynagrodzenia prezesów pogłębia problem niedoboru

eprasa.pl 2049cc1e0e

siły roboczej w Europie. Według ETUC branże, które mają największe problemy ze znalezieniem pracowników, oferują średnio o 9 proc. niższe płace niż te, które bez trudu zapełniają wakaty. Najmniejsza przepaść w zarobkach prezesów i szeregowych pracowników występuje w Norwegii, Danii, Holandii, Finlandii i Szwecji. W Polsce – jak wynika z opublikowanego w styczniu 2025 r. raportu Grant Thornton – przeciętna roczna pensja członka zarządu spółki publicznej w 2023 r. wyniosła 950 tys. zł brutto i była większa o 4 proc. względem 2022 r.

Różnicę w wynagrodzeniach prezesów w USA i w Europie widać było również pół wieku temu: gdy w 1965 r. CEO dużej amerykańskiej spółki zarabiał 21 razy więcej niż przeciętny pracownik, w Europie dyrektor zgarniał „tylko" 10-krotnie więcej.

KULTURA CHCIWOŚCI

Dlaczego jednak papież wspomniał w wywiadzie o stosunku 600 do 1, a nie wspomnianym wyżej 290 do 1? Otóż 290-krotność zarobków pracowników zarabiają szefowie największych spółek. W przypadku firm, które wypłacają robotnikom najniższą pensję, szefowie pobierają ponad 600 razy więcej niż przeciętny zatrudniony.

Z tego powodu nie tylko amerykański papież skrytykował ostatnio horrendalnie wysokie wynagrodzenia prezesów i dyrektorów generalnych w USA. „Kulturę chciwości" stanowczo potępił również legendarny inwestor Warren Buffett. W ostatnim liście do akcjonariuszy wybitny 95-letni analityk – zwany Wyrocznią z Omaha – zauważył, że wprowadzenie prawa nakazującego ujawnianie wynagrodzeń szefów – mające z założenia jego twórców zmniejszyć dysproporcje między rekordowymi zarobkami prezesów i pracowników – mimo dobrych intencji przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego. Zamiast bowiem zawstydzić najbardziej pazernych menedżerów, dodatkowo rozbudziło chciwość ich konkurentów. „Nowe zasady wywołały zazdrość, a nie umiarkowanie" – zauważył Warren Buffett. „Na podstawie większości moich obserwacji – dyrektor generalny firmy A przyjrzał się swojemu konkurentowi z firmy B i subtelnie dał do zrozumienia zarządowi, że powinien być lepiej wynagradzany. Oczywiście podniósł również wynagrodzenia dyrektorów i starannie dobierał osoby do komitetu do spraw wynagrodzeń" – tłumaczył legendarny inwestor, dodając, że bardzo zamożnych dyrektorów generalnych i prezesów zarządów „często niepokoi fakt, że inni CEO stają się jeszcze bogatsi", a „zazdrość i chciwość idą w parze".

On sam przez lata pamiętał jednak o tym, aby nie zatrudniać zbyt pazernych ludzi. Był bowiem przekonany, że choć menedżerowie z czasem powinni stawać się zamożni, ponieważ wykonują ważne obowiązki, to najwyższych stanowisk nie mogą piastować ci, którzy pragną „bogactwa, które przyciąga uwagę".

PENSJE W ERZE AI

Helweci nieposkromione apetyty prezesów spółek postanowili ograniczyć już w roku 2013. W ogólnokrajowym referendum 67,9 proc. głosujących poparło inicjatywę, której celem było ograniczenie horrendalnie wysokich wynagrodzeń dla kadry kierowniczej poprzez przyznanie akcjonariuszom prawa weta w sprawie wynagrodzeń szefów spółek, zakaz wypłacania odchodzącym prezesom hojnych odpraw etc.

W największych spółkach notowanych na giełdzie w Zurychu w 2011 r. zarobki prezesów i dyrektorów generalnych były 43-krotnie wyższe od średnich zarobków pracowników. Tymczasem jeszcze w latach 90. prezesi zarabiali trzykrotnie więcej niż przeciętny zatrudniony, a w latach 80. zaledwie sześciokrotnie więcej.

Mimo powszechnej niechęci do biznesowych „tłustych kotów" w listopadzie 2013 r. autorzy regulacji, która miała ograniczyć zarobki prezesów do 12-krotności najniższych płac w ich firmach, ponieśli dotkliwą porażkę. Większość Szwajcarów zagłosowała przeciw takim regulacjom, obawiając się, że jeśli prezesom takich koncernów jak Roche, Nestlé czy ABB pozwolono by zarabiać ok. 5 proc. z ich ubiegłorocznych zarobków, to największe korporacje szybko znalazłyby sobie siedzibę w innym kraju.

Przykład regulacji przytoczonej przez Warrena Buffetta pokazuje zresztą, że wprowadzanie nowych przepisów i regulacji niekoniecznie prowadzi do ograniczenia wzrostu wynagrodzeń prezesów. Mało którzy politycy są zaś chętni do narzucania jakichkolwiek ograniczeń globalnym koncernom. Za rządów Donalda Trumpa można się spodziewać raczej wzrostu zamożności najlepiej sytuowanych rodów w USA niż walki ze społecznymi nierównościami. Nie jest oczywiście powiedziane, że za rządów prezydenta z Partii Demokratycznej pod tym względem zmieniłoby się coś na lepsze dla zwykłego robotnika. Joe Biden nie zrobił w tej sprawie praktycznie nic.

W świecie globalnych korporacji nieskuteczne może się okazać także majstrowanie przy stawkach podatku dochodowego dla najlepiej zarabiających. Według oficjalnych danych Białego Domu w 2021 r. 400 najbogatszych rodzin w Ameryce płaciło w USA podatek w średniej wysokości 8,2 proc., a w tym samym roku przeciętny Joe karnie wpłacał do federalnej kasy 13,3 proc. swoich dochodów.

Złą wiadomość dla prezesów i dyrektorów, którzy zgarniają miliony dolarów rocznie, ma jednak sam Elon Musk. Zdaniem najbogatszego człowieka na świecie pieniądze w przyszłości „znikną", ponieważ rozwój robotyki i sztucznej inteligencji sprawi, że praca (a więc i pensje) staną się zupełnie nieistotne. Zgodnie z tą teorią kto potrzebowałby wielkich pieniędzy w świecie, w którym roboty będą budować domy, hodować żywność, dbać o zdrowie i edukację?

„To trochę dziwne, ale w przyszłości, w której każdy może mieć wszystko, pieniądze nie będą już potrzebne jako baza danych do alokacji pracy. Jeśli sztuczna inteligencja i robotyka będą wystarczająco duże, aby zaspokoić wszystkie ludzkie potrzeby, pieniądze przestaną być potrzebne. Ich znaczenie drastycznie spadnie" – ogłosił prawie bilioner w podcaście „People by WTF".

I nie był to pierwszy raz, gdy Musk przekonywał do tej kontrowersyjnej wizji przyszłości. Już dwa lata temu przekonywał ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Rishiego Sunaka, że gdy „AI będzie w stanie robić wszystko", praca zawodowa stanie się jedynie czymś w rodzaju hobby. Według Muska dożyjemy tych czasów za mniej niż 20 lat, a może i za 10. Naprawdę nie ma więc czego zazdrościć miliarderom…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



PROSTO ZYGZAKIEM

Żądam ETS2 jak najszybciej!

PIOTR GABRYEL

Jestem wściekły, że Donald Tusk znów już niemal postawił na swoim, czyli już niemal doprowadził do opóźnienia wejścia w życie postanowień ETS2 o rok (choć próbował opóźnić o trzy lata). A to oznacza, że jeśli jego niecny plan się powiedzie, to ETS2 zamiast, jak zakładano, wejść w życie 1 stycznia 2027 r. – przed wyborami do Sejmu i Senatu, planowanymi na jesień 2027 r. – zacznie obowiązywać 1 stycznia 2028 r., a zatem już po tych wyborach.

I o to właśnie wszystkim jawnym i skrytym wyznawcom Zielonego Ładu – od całej lewicy, przez całą Koalicję Obywatelską, aż po niemało polityków PiS – chodzi. O to, żeby pierwsza fala tsunami, którą dla portfeli polskich wyborców będzie wejście w życie ETS2, przyszła już po tym, gdy znów na dobre rozsiądą się w swoich poselskich i senatorskich fotelach.

Co dla Polaków oznacza ETS2, wiadomo, bo niejeden ośrodek analityczny już w tej sprawie alarmował. Horrendalne podwyżki cen prądu, gargantuiczne podwyżki cen ogrzewania, gigantyczne podwyżki cen paliw do aut, ogromne opłaty za użytkowanie wszelkich pojazdów spalinowych – a w ślad za tym wielkie podwyżki cen po prostu wszystkiego – podwyżki tak drastyczne, że odbiją się na życiu nas wszystkich tak bardzo, iż słowo Armagedon nabierze całkiem nowego znaczenia, a obecne podwyżki cen wskutek topienia nas przez ETS1 będziemy wspominać z prawdziwym rozrzewnieniem; z łezką w oku.

A zatem Parlament Europejski, pełen jawnych i skrytych zielonoładowców, poparł wniosek o odroczenie wprowadzenia unijnego systemu ETS2 o rok – z 2027 r. na 2028 r., czyli objęcia tym horrendum naszych domów i aut. A ja domagam się – po prostu żądam! – żeby do tego odroczenia nie doszło i żeby w ten sposób nie ułatwiać polskim krętaczom spod znaku Zielonego Ładu poprawiania przez nich swego wyniku w wyborach do Sejmu i Senatu w 2027 r. Niechże wybory te odbędą się jesienią 2027 r. w takich okolicznościach, jakie zielonoładowcy wcześniej zaplanowali, czyli kilka miesięcy po wejściu 1 stycznia 2027 r. w życie ETS2. Wtedy zobaczymy, na ile ciepłych posadek w polskim parlamencie mogą liczyć jawni i skryci wyznawcy Zielonego Ładu.

A raczej – wtedy zobaczylibyśmy, bo przecież zielonoładowcy Tuskowcy zapewne i tak, niestety, postawią na swoim, czyli odłożą o rok termin wprowadzenia ETS2, odkładając tym samym rozliczenie ich za doprowadzenie milionów Polaków do ubóstwa co najmniej energetycznego do wyborów w 2031 r. Wszelako, mam nadzieję – co się odwlecze, to nie uciecze; rzecz jasna, pod warunkiem, że tymczasem nie pozamarzamy w swych domach na śmierć. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Niech PiS pije to piwo

ŁUKASZ WARZECHA

Czegoś takiego jednak w PiS jeszcze nigdy nie było: otwarte, publiczne rozliczenia, szarpanina, dokładne zaprzeczenie rutynowych apeli starzejącego się prezesa o jedność.

Jacek Kurski, człowiek, który zrobił z TVP propagandowy biuletyn władzy, publikuje na X obszerny wpis, ostro uderzający w Mateusza Morawieckiego po tym, jak ten nie stawił się na spotkaniu „pojednawczym", zwołanym przez samego Naczelnika. Pisze: „Obecna zniżka w sondażach PiS wynika ze złamania odwiecznego zwycięskiego paradygmatu Prezesa, że na prawo od PiS nie ma realnej konkurencji politycznej. Tymczasem na prawo od nas jest dziś ponad 20 proc. wyborców w dużej części wygonionych tam z obozu Zjednoczonej Prawicy osobistymi decyzjami albo ustępstwami Morawieckiego, podjętymi bez mandatu Prawa i Sprawiedliwości".

Skoro politycy PiS wciąż tego nie rozumieją – to niech piją to piwo, którego nawarzyli

Odpowiada mu Piotr Müller: „Jacku, […] po Twojej kompromitacji w wyborach do PE jesteś ostatnią osobą w zakresie doradzania, jak je wygrać […]. I zapewniam Ciebie, że nic nie działo się bez odpowiednich uzgodnień (o których nie masz pojęcia) i bez wiedzy Pana Prezesa Jarosława Kaczyńskiego, więc nie atakuj szefa naszego obozu!".

Tym samym Müller stwierdza, że wszystkie najgorsze decyzje premiera Morawieckiego, w tym te dotyczące polityki klimatycznej, miały akceptację Jarosława Kaczyńskiego.

Europoseł Waldemar Buda pisze: „Dzwonię do Kurskiego, naszego doradcy w ECR, mamy posiedzenie w Strasburgu, mnóstwo spraw, nie ma kontaktu, nie wiecie, co teraz robi?". Europosłowi przypominam, że ktoś jednak skompromitowanego Kurskiego tym doradcą zrobił.

Skłamałbym, twierdząc, że patrzę na to bez satysfakcji. Koniec PiS był ogłaszany już wielokrotnie i do takich prognoz należy podchodzić z ogromną ostrożnością. Lecz teraz sprawy wyglądają poważniej niż chyba kiedykolwiek. Mówimy jednak o partii, której ośmioletnie rządy pod wieloma względami ogromnie zawiodły, pod innymi były wręcz fatalne, a która była całkowicie niezdolna do wyciągnięcia z tego wniosków. I to ten właśnie, zaordynowany przez Kaczyńskiego kurs na nietłumaczenie się z niczego, jest głównie winny kryzysowi poparcia oraz przepływom do obu Konfederacji. Skoro politycy PiS wciąż tego nie rozumieją – to niech piją to piwo, którego nawarzyli. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

Ameryka eats



Joanna Bojańczyk

W Ameryce jest wszystko – uważają nawet ci, którzy nigdy tam nie byli. Kuchnie całego świata, hamburgery wielkości talerza, wiadra lodów. Nawet zwykły turysta, jeśli się postara, może liczyć na doznania kulinarne nieco bardziej zaawansowane



FOT. ADOBE STOCK

Od takiego miłego śniadanka w trzygwiazdkowym hotelu na Manhattanie rozpoczęliśmy nasz pobyt w Ameryce:

1. Grzanki z chleba (maszynowo pokrojonego i zapakowanego w plastik), przemysłowego wypieku o idealnie kwadratowym kształcie i śnieżnej białości.

2. Pojemniczek z czymś do smarowania chleba, co z masłem nic wspólnego nie miało, ale sugeruje, że służy do smarowania.

3. Pojemniczek z dżemem quasi-truskawkowym – masa w kolorze buraczkowym o konsystencji ścisłej galarety. Produkt nie miał styczności z truskawkami.

4. Trzy plasterki sera w kolorze pomarańczowym, o konsystencji gumy arabskiej i smaku trudnym do określenia.

5. Sok à la pomarańczowy z automatu.

Hotel nie luksusowy, ale przyzwoity. Ale takie marne śniadanie nikogo tu nie zaskakuje.

Pal licho jedzenie. Sam widok menu serwowanego na papierowym talerzyku, z plastikowym nożem i widelcem, (Po co widelec?) odbiera człowiekowi ochotę do jedzenia.

Na pocieszenie jest kawa à discrétion. Do papierowego kubka można sobie nalać z maszyny; lura, bo lura, trudno. Lepiej już było iść do Starbucksa, przynajmniej tam kawa jest w porządku.

JAJA W PROSZKU

Czy w ogóle w Ameryce można dobrze zjeść? O tym zapewniają przewodniki, sami mieszkańcy oraz dziennik „New York Times", który codziennie oferuje pomysły nowych, interesujących dań. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wciąż serwują tę samą, ładnie sfotografowaną, lekko zmodyfikowaną wersję zapiekanki z warzyw i jajek. Ale rubryka kulinarna uważana jest za cenną wartość dodaną do gazety: płatna jest ekstra poza abonamentem cyfrowym „NYT".

W Ameryce jest wszystko, jak mi zawsze mówiono w Polsce. Kuchnie świata (pizza przyszła do nas nie z Włoch, tylko z Ameryki), chińska, tajska, koreańska, meksykańska, hiszpańska i argentyńska. Nawet polska. Są hamburgery wielkości talerza, porcje frytek w kuble o pojemności 20 litrów, gigantyczne porcje lodów. Wszystkiego jest bardzo dużo, wszystko jest duże, ludzie też.

W naszym słowiańskim plemieniu razem z Halloween, Starbucksem i Netflixem Amerykanom udało się zaszczepić ich niedobre, sztuczne słodycze: donuty, brownies, marshmallows, cheese cakes. Przynajmniej na instagramowych urodzinach te różowe świństwa się jada. Ja dziękuję i poproszę o pączki, kruche ciasteczka, krówki i sernik.

Jadąc do Stanów na parę tygodni, nie nastawialiśmy się na doznania gastronomiczne, zresztą nie uważamy

eprasa.pl 2049cc1e0e

się za foodies, którzy analizują każdy zjedzony kęs. Liczyliśmy, że przetrwamy te parę tygodni, nie rujnując się, jedząc na śniadanie słodki przemysłowy chleb i bajgle, które uchodzą za tutejsze flagowe pieczywo, a resztę próbując załatwić obiadokolacją w średniej klasy restauracji.

Serwis w restauracjach w Stanach jest świetny. Obsługa pojawia się natychmiast po tym, jak gość zajął miejsce przy stoliku. Kelnerzy są skuteczni i uprzejmi nie bez powodu – system napiwków działa tak, że właściwie mogą one nawet stanowić równowartość rachunku za jedzenie. Personel w gastronomii zarabia mało i właściciele liczą, że utrzymają go z napiwków klienci. Człowiek przyzwyczajony, że w Europie zostawia na stoliku 5 euro, może być zdziwiony albo wściekły. Najczęściej jedno i drugie. System jest od dawna krytykowany, ale nikt z tym nic nie robi. Bywalcom drogich restauracji, a takich tu dużo, widocznie to nie przeszkadza, a kelnerzy też są zadowoleni.

W czasie wędrówki wzdłuż Zachodniego Wybrzeża śniadania jadaliśmy w hotelach. Wrażenia jak wyżej, chociaż do rytualnych niejadalnych grzanek z białego (lub troszkę zabarwionego otrębami) chleba należy dodać omlet, który figuruje w każdej hotelowej ofercie śniadaniowej i jest odpowiednikiem naszej jajecznicy. Jajecznicę oczywiście też można zamówić, ryzykując, że będzie z jajek w proszku, co łatwo rozpoznać po homogenicznej konsystencji. Za omletem na śniadanie nie przepadam, ale jajecznicy w tej wersji już absolutnie nie jestem w stanie przyjąć.

Człowiekowi zgnębionemu tą sytuacją, przyzwyczajonemu do polskiego smacznego chleba, nastrój może poprawić amerykańska oferta owocowa. Sok ze świeżych cytrusów, z mango, pół awokado czy melona dodane do śniadania pomagają na chwilę zapomnieć od smaku całej reszty. No i kawy tu nie żałują. Wypijesz jedną, zaraz kelner dolewa ci następnej.

KREWETKI NA PLASTIKU

W Stanach na szczęście dla turystów nie ma stałej pory obiadu, jak w Europie śródziemnomorskiej, gdzie jak się nie zmieścisz w godz. 12–15, to musisz głodować do wieczora. A jak człowiek jest w podróży, to wpasować się w ten regulamin nie zawsze się da.

Z poprzedniego pobytu zapamiętałam fajne miejsce z owocami morza. To był Legal Seafood w Bostonie, gdzie po raz drugi w życiu zjadłam homara. Teraz jesteśmy niedaleko Seattle. Red Lobster to też sieciówka, chociaż z tych trochę lepszych, bo nie wpędza człowieka w poczucie winy, że odejmuje dzieciom i wnukom od ust. I w menu też jest homar. Wystrój brzydki, jak to w sieciówce, klienci zwyczajni, w dresach i adidasach, system stolików kolejowy. Nie wiem, dlaczego oni tak lubią ten system, może dlatego, że wprowadza porządek przestrzenny i że wszędzie jest tak samo. Ale to znak, że nie jesteś w prawdziwej restauracji, tylko w sieciówce.

Homar pyszny i jest go na tyle mało, żeby nie zauważyć, że już nic się nie da wyskrobać z czerwonej skorupy. Na dodatek na kolejowym siedzeniu zostawiam czapkę i potem jest za daleko, żeby wracać.

Następnego dnia kuzyni zapraszają nas na obiad w prawdziwie eleganckiej restauracji w Seattle. Jest pełno ludzi, ale dostajemy stolik z widokiem na zatokę. Elegancko i drogo: porcje małe, ostrygi, ryby, owoce morza i tym podobne rzeczy. Nouvelle cuisine. I trzeba przyznać, że jest to kuchnia bardziej zaawansowana niż w sieciówkach. Jednak jest ten rodzaj knajpy, gdzie na osobę trzeba liczyć ok. 150 dol., z winem i deserem. My w takich raczej w Ameryce nie bywamy. Na razie.

Polak – jak wiadomo – ma nieustanną fazę na krewetki, uważając, że musi nadrobić czasy PRL, kiedy kontakt z krewetką ograniczał się do wietnamskich czipsów o smaku rybnym. W reszcie świata krewetka jest jedzeniem banalnym, niezbyt drogim i niespecjalnie wyszukanym. A tutaj jest okazja zaszaleć – w nadmorskiej miejscowości w stanie Oregon krewetki są właściwie jedyną opcją w małej knajpce przy plaży. Smaczne i świeże, ale oczywiście na plastiku. Jesteśmy w Ameryce.

Jeszcze jeden proszony obiad w zanadrzu zwalnia nas z konieczności szukania kolejnego Red Lobstera. I jemu podobnych. Teraz znajomi, Polacy zasiedziali w Ameryce od 40 lat, przygotowali dla nas prawdziwie amerykański obiad. W wielkim gazowym grillu w ogrodzie od wczoraj pichci się wieprzowina szarpana, pulled pork, którą zjadamy z domowym chlebem i sałatą, a to wszystko w cudownym ogrodzie, właściwie w lesie w miejscowości Ithaca w stanie Nowy Jork.

Moja mieszkająca w Nowym Jorku kuzynka twierdzi, że nasze wyobrażenie o beznadziejnym żarciu w Stanach jest niesprawiedliwe. „W Ameryce jest dobre jedzenie, tylko trzeba wiedzieć, gdzie iść, no i oczywiście mieć pieniądze". Na dowód czego jesteśmy zaproszeni do uroczego mieszkania na środkowym Manhattanie, należącego do niej i jej męża. Świeżo palona kawa, bajgle przyniesione ze sklepu na dole oraz jajka po benedyktyńsku i domowe konfitury z jeżyn.

KRÓLESTWO SIECIÓWEK

Stany Zjednoczone są królestwem gastronomicznych sieciówek. Jest ich tu kilkadziesiąt rodzajów, z czego do nas dotarły McDonald's, Pizza Hut, Burger King, KFC. Tutaj każdy rodzaj kuchni ma swój odpowiednik sieciowy. Są burgerownie, kanapkownie, sałatkownie, jedzenie meksykańskie, zdrowa kuchnia, kurczaki, słodycze... Tańsze, droższe, średnie; Amerykanie lubią sieci, bo wiadomo, czego można się tam spodziewać i ile trzeba będzie zapłacić. Z całym uznaniem dla tego gatunku cieszę się, że Amerykanom nie udało się go przeforsować w Europie. Lepiej pozostańmy przy europejskich kawiarniach, restauracjach, lepszych czy gorszych, ale różnorodnych, nie ze sztancy.

Jednak nam, turystom, było w amerykańskiej podróży z sieciówkami wygodnie. Bez zaskoczeń, wiesz, że cię nie obedrą ze skóry. W Panda Express można było zjeść całkiem przyzwoitą chińszczyznę, w Red Lobsterze (jak powyżej) zaliczyliśmy homary. Mój mąż, wielbiciel steków, polecał dwie firmy: Outback i Ruth's Chris, przy okazji chwaląc się, że w Dubaju na najwyższej wieży jadł japońską wołowinę Wagyu. Phi, ją też można zjeść w Ameryce bez całej tej okropnej dubajskiej oprawy. Ale to może następnym razem, chociaż osobiście nie mam wielkiej ochoty, żeby jechać znowu do Ameryki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2049cc1e0e



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Rzeź szlachty w Humaniu

Humań na Bracławszczyźnie, nad rzeką Umanką, dopływem Bohu, ok. 200 km na południe od Kijowa, wziął nazwę od okolicznych pustych stepów zwanych Umanami. Pierwsze wzmianki o tym miejscu pochodzą z 1497 r., kiedy książęta Michał i Konstanty Ostrogscy dopadli przy źródłach wspomnianej Umy, czyli Umanki, uciekających Tatarów, po czym wygolili ich do szczętu. W późniejszych latach wspomniane tereny były regularnie pustoszone przez Ordę, w 1558 r. kolejny raz pobił ją tutaj książę Roman Sanguszko. Dopiero w XVII w. założono tutaj osadę, a potem zbudowano obronny zamek.

W 1648 r. Humań został zdobyty przez wojska Krzywonosa i Gandży. Kozacy wzmocnili jeszcze fortyfikacje, które okazały się nie do zdobycia, kiedy pod miasto dwukrotnie podszedł hetman Stanisław Rewera Potocki.



RYS. MART

Humań wrócił do Rzeczypospolitej po traktacie w Karłowicach, kończącym wojny polsko-tureckie w 1699 r. Właścicielem miasta został Stanisław Potocki, wojewoda bełski, który wzmocnił fortyfikacje zamku i miasta. Po jego śmierci w roku 1732 włość humańska przeszła na Franciszka Salezego Potockiego, który zarząd Humańszczyzny powierzył Rafałowi Despocie Mładanowiczowi.

Kiedy w lutym 1768 r. w Barze zawiązano konfederację przeciwko rządom Moskwy, przyłączyło się do niej wiele szlachty z Bracławszczyzny, która ogołocona została zarówno z uzbrojonej czeladzi, jak i prywatnych oddziałów. Wówczas na wiosnę wybuchła chłopska rebelia zwana koliszczyzną od okrzyków buntowników: „Koli, koli!" (Kłuj, kłuj). Została ona prawdopodobnie zainspirowana przez Moskwę, ponieważ przywódca chłopów i hajdamaków, Maksym Żeleźniak powoływał się na rzekomą Złotą Hramotę, w której caryca Katarzyna miała nakazywać wypędzenie z Ukrainy Lachów, Żydów i księży unickich. Wyruszył z oddziałem Kozaków z monasteru Motronińskiego nad Dnieprem, atakując dwory i miasta, mordując szlachtę, Żydów i księży, wymuszając haracze i dokonują rabunków. Buntownicy często wieszali na jednej szubienicy Polaka, Żyda i psa, wznosząc okrzyki i dołączając napis: „Lach, Żyd i sobaka, wse wira odnaka", później także chętnie wykorzystywany przez UPA.

Jednym z najtragiczniejszych wydarzeń związanych z buntem stała się rzeź Humania. Miasto obsadzone było silną załogą 1,5 tys. Kozaków nadwornych Potockiego pod dowództwem Iwana Gonty, oprócz tego było tam 500 dragonów i piechoty, a także 22 działa. Za wałami miasta schroniły się okoliczna szlachta i rzesze Żydów, od których hajdamacy w najlepszym wypadku domagali się pieniędzy, „sypiąc im za cholewy i w spodnie rozpalone węgle". W tym samym czasie pod miasto podeszły watahy Żeleźniaka. Żydzi wysłali wówczas do Gonty deputację, prosząc, aby bronił miasta do końca, i obiecując, że w zamian złożą się wszyscy na okup, a nawet kupią mu wioskę.

Największym problemem obrony Humania okazał się fakt, że Mładanowicz skłócony był z Gontą i rywalizował z nim o łaski wojewody Potockiego. Dowódca Kozaków miał obiecane, że jeśli pozostanie wiernie przy boku zarządcy, to otrzyma w dzierżawę dwie wsie – Rosuszki i Chrymowę – jednak zazdrosny Mładanowicz prawdopodobnie nie przekazał mu tej wieści. Być może zamierzając sam przejąć te dobra, czyli zachowując się jak współcześni oligarchowie na Ukrainie.

Na początku doszło do rozmów z Żeleźniakiem, na które wysłany został właśnie Gonta. I w trakcie pertraktacji zdradził – ponoć gdy przywódca buntu obiecał mu oddać całe Prawobrzeże. 21 czerwca kozacy nadworni Potockiego przyłączyli się do buntu i wspólnie z czernią zdobyli Humań. Jako pierwszy z ręki Gonty padł ponoć sam Mładanowicz, opór stawiła tylko grupka konfederatów barskich.

Rzeź trwała trzy dni. Do największych mordów doszło w kościele, unickiej cerkwi i synagodze. Hajdamacy podpalali je i potem wyłapywali uciekających, mordując bez litości kobiety i dzieci. Liczba ofiar trudna jest do oszacowania. Ogólnie ocenia się ją na od 12 do 20 tys. szlachty, mieszczan, księży, unitów i Żydów. W pierwszych doniesieniach pojawiały się liczby 5 tys. zabitej szlachty oraz 7 tys. Żydów, jednak – jak twierdził Andrzej Serczyk – dokładnej liczby zamordowanych nie da się dziś ustalić. Gonta wkrótce założył własny obóz, obwoławszy się księciem humańskim. Został jednak pojmany w nocy z 6 na 7 lipca, w wyniku akcji wojsk polskich i rosyjskich, i wydany Franciszkowi Branickiemu, a następnie obdarty ze skóry i poćwiartowany we wsi Serby, obecnie Gontiwka koło Mohylowa Podolskiego. Zdradziecki „książę" wyniesiony został wysoko. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

KIA NIRO HEV



FOT. JAP

Ten model kompaktowego crossovera południowokoreańskiej marki nadal wygląda nowocześnie, ale nie to jest jego największą zaletą. Niro w odmianie hybrydowej jest przede wszystkim autem oszczędnym. Średnie spalanie podczas testu w cyklu mieszanym (miasto, drogi krajowe, autostrada) wyniosło 5,2 l/100 km. Przy spokojnej jeździe na drogach krajowych można zaś zejść nawet do 3,7 l/100 km.

Auto napędza jednostka 1.6 GDI współpracująca z silnikiem elektrycznym. Łączna moc systemowa wynosi 129 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 265 Nm. W Niro HEV nieźle sprawdza się 6-stopniowa, automatyczna skrzynia biegów, która przekazuje moc tylko na przednią oś.

Mierząca 442 cm długości Kia Niro HEV jest też crossoverem praktycznym. Pod względem wielkości kufra wyprzedza wszystkich liczących się konkurentów. Bagażnik z zestawem naprawczym zamiast koła zapasowego ma pojemność 451 l (w wariancie z kołem zapasowym to 425 l). Po złożeniu tylnej kanapy przestrzeń załadunkowa rośnie zaś do 1445 l. Do dyspozycji jest też sporo schowków. Jest też podłokietnik (który mógłby być jednak nieco większy).

Niro szczególnie dobrze sprawdza się w mieście. W trasie nie daje może szczególnie wielkiej frajdy z jazdy, ale auto zwinnie pokonuje zakręty. Dość bezpośredni układ kierowniczy sprawia zaś, że Niro posłusznie wykonuje polecenia kierowcy. I chociaż próżno szukać w tym aucie sportowego charakteru (sprint od zera do setki zajmuje ok. 11 s), to wciąż da się Niro dynamicznie wyprzedzać (zwłaszcza w trybie Sport). Prędkość maksymalna wynosi 160 km/h. Nie jest to więc wyścigówka. Auto z prześwitem wynoszącym 16 cm nie próbuje też nawet udawać stworzonego do jazdy w terenie. I dobrze.

Wnętrze jak na tę klasę cenową jest wykończone starannie. Również jakość użytych materiałów nie budzi zastrzeżeń. Na desce rozdzielczej dominuje zakrzywiony ekran dotykowy systemu multimedialnego o przekątnej 10,25 cala. Na szczęście inżynierowie z Korei Południowej nie zaszyli obsługi wszystkiego wewnątrz jednego systemu. Łatwość obsługi to zasługa m.in. pozostawienia starych dobrych fizycznych przycisków. Kierowca ma oczywiście do dyspozycji kolorowy wyświetlacz (a w wersji Business Line przed oczami kierowcy jest nie tylko wyświetlacz cyfrowych zegarów, lecz także kolorowy Head-up Display).

Auto bez problemów obsługuje zarówno Apple Car Play, jak i Android Auto. Już w standardzie w najtańszej wersji M jest też automatyczna dwustrefowa klimatyzacja. Miejsca jest dużo zarówno z przodu, jak i z tyłu pojazdu. Wnętrze mogłoby być jednak nieco lepiej wytłumione.

Za najtańszą Niro HEV w wersji M trzeba zapłacić 134,9 tys. zł. Wariant L został wyceniony na 143,6 tys. zł. Najdroższa odmiana Business Line kosztuje zaś 153,6 tys. zł.

ZAMEK EZVIZ DL04 PRO



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Solidne wykonanie, możliwość otwarcia drzwi za pomocą odcisku palca, kodu PIN, „pchełki" autoryzacyjnej lub aplikacji, zdalne powiadomienia o otwarciu zamka, alarm w przypadku próby włamania, a także możliwość szybkiego sprawdzenia, o której godzinie dzieci wróciły ze szkoły – to największe zalety inteligentnego zamka chińskiej marki EZVIZ (która jest częścią znanej grupy Hikvision).

Solidnie wykonany zamek EZVIZ DL04 Pro może zwiększyć nie tylko wygodę codziennego funkcjonowania w „inteligentnym domu", lecz także bezpieczeństwo domowników. Inteligentny rygiel umożliwia otwieranie drzwi za pomocą odcisku palca, kodu PIN, pchełki autoryzacyjnej lub darmowej aplikacji (tej samej, za której pomocą można też sterować inteligentnym oświetleniem, domofonem lub kamerami IP). Fajne jest też to, że zamek współpracuje z innymi urządzeniami – można więc np. tak skonfigurować urządzenia, aby po otwarciu zamka od razu uruchamiała się kamera, by zobaczyć, kto rzeczywiście wchodzi do domu lub mieszkania.

W aplikacji dostępna jest również historia zamka – daje to możliwość błyskawicznego sprawdzenia, o której godzinie dzieci wróciły ze szkoły, czy opiekunka dotarła na czas albo czy przypadkiem cierpiący na alzheimera dziadkowie nie próbowali wyjść z domu bez należytej opieki. DL04 Pro umożliwia przyznanie dostępu nawet 50 różnym osobom. Jeśli zaś spróbuje się do niego dobrać włamywacz, to natychmiast zamek wyśle nam powiadomienie na smartfona.

Ważną zaletą jest to, że zamek łączy się bezpośrednio z siecią wi-fi i nie wymaga użycia dodatkowej bramki. Na wszelki wypadek producent wyposażył też ten model w wejście na tradycyjny klucz, które może być przydatne w razie wyczerpania się baterii (w takiej sytuacji jest też możliwość zasilenia zamka energią z powerbanka).

Wady? Zamek EZVIZ DL04 Pro do model, którego pionowa konstrukcja nie pozwala zazwyczaj na prosty montaż tuż pod klamką. Można więc zainstalować go jako drugi rygiel (np. w górnej części drzwi) lub tradycyjnie pod klamką, ale wówczas w bardzo wielu przypadkach wymagać to będzie dodatkowego wiercenia w drzwiach. Nawet bez wiercenia sama instalacja wymaga zaś nieco cierpliwości i trwa mniej więcej godzinę. Warto się jednak pomęczyć, bo stosunek ceny do możliwości tego modelu jest bardzo dobry.

Cena: 479 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 2049cc1e0e



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Śledzie kresowe

Nieopodal Radziejowic, pod Warszawą w Kuklówce Radziejowickiej (to obok Kuklówki Zarzecznej, gdzie mieszkał i tworzył Józef Chełmoński), rozłożył się piękny dwór – ostoja polskości, stanica szlacheckiej tradycji. Miejsce wypełnione po brzegi pamiątkami, historycznymi przedmiotami, meblami, książkami i wszystkim tym, co sprawia, że dom jest domem. Wnętrza wiernie odtwarzają dawny dwór kresowy, bo też sam budynek jest dokładnym odwzorowaniem dworu, który stał kiedyś na Kresach i należał do przodków dzisiejszej gospodyni. Mieści się w nim Muzeum Lwowa i Kresów, które każdy może odwiedzić. Gospodarze regularnie organizują spotkania artystyczne czy też prelekcje. Ich oprawą są zawsze piękne występy artystyczne – zimą, przy płonącym kominku. Dwór Biniszewicze pokazuje, jak bogata była dawna kultura dnia codziennego, obyczaju i tradycja gościnności. Wiele przedmiotów służyło wyłącznie temu, aby godnie i elegancko przyjmować przybyszów.

FOT. XAOOBE STOCK



Napis nad wejściem głosi: „Bóg stworzył Człowieka, Człowiek Rodzinę, Rodzina Ojczyznę, Jam Dwór Polski, co strzeże tego mężnie".

Co do świąteczno-noworocznego menu – na stole zawsze stoi wiele własnoręcznie przygotowanych sałatek i potraw. Zwróciłyśmy uwagę na sałatki śledziowe, bo były dość nietypowe. I choć gospodyni – zgodnie z radą swojej babki – nie zdradza nigdy do końca całego przepisu, zawsze zostawiając małe niedopowiedzenie, to udało nam się namówić panią Olę Biniszewską – właścicielkę dworu – na kilka kulinarnych niedyskrecji.

Na przykład pani Ola proponuje prostą, a bardzo wytworną sałatkę z buraków i orzechów włoskich. Buraki trze się na grubej tarce, orzechy kruszy na małe kawałki, dodaje troszkę majonezu i oliwę truflową. Podobno rewelacja.

Inną potrawą są bardzo ciekawe, a rzadko robione śledzie kresowe, czyli korzenne w winie. To może być interesująca odmiana wśród różnych śledziowych potraw. Otóż śledzie z zalewy moczymy kilka godzin w mleku. Następnie kroimy je na kawałki i odkładamy. W tym czasie na oleju szklimy cebulę, dodajemy do niej sparzone wcześniej rodzynki oraz przyprawę piernikową bądź po prostu zmielone goździki, cynamon, gałkę muszkatołową. Na koniec zalewamy to wszystko czerwonym winem. Kiedy przyprawy połączą swój smak z cebulką, a sos nabierze słodyczy rodzynek, zalewamy całość czerwonym winem. Zdejmujemy z ognia i odstawiamy na noc. Po przebudzeniu zalewamy tym sosem śledzie, które nabiorą lekko różowego koloru i lekko winnego aromatu...

Wszystkiego dobrego w nowym roku! ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Apaszka i miliardy

Już po świętach i być może niektórzy z państwa pochylają się z radością nad prezentem francuskiej marki Hermes. Nie liczę, żeby było was wielu, zważywszy ceny produktów z literką H. Ale może chociaż małe perfumy albo kultowa apaszka.

Sklep Hermesa mieści się w Warszawie, w wyremontowanym Hotelu Europejskim i zawsze ma intrygująco piękne wystawy, które mogą podziwiać spacerujący Krakowskim Przedmieściem Warszawiacy i turyści. Ceny również należą do intrygujących.

W czasach, gdy większość francuskich i włoskich marek wysokiej mody została przechwycona przez grupy należące do konkurujących ze sobą magnatów: pana Arnault i pana Pinault, Hermes nie tylko szczyci się niezależnością, ale uważany jest za najbardziej luksusowy wśród luksusowych. Rok założenia 1837. Na torebkę Birkin czy Kelly czas oczekiwania wynosi kilka miesięcy. Powszechnie wiadomo, że niezależność Hermesa stoi panu Arnault kością w gardle. W swoim portfolio ma już wszystko, brakuje mu tylko perły w koronie.

I oto wokół Hermesa wybucha afera, która dowodzi, że w wyższych sferach finansowych nie wszystko odbywa się w białych rękawiczkach.

Osiemdziesięciodwuletni Nicolas Puech, spadkobierca założycieli Hermesa, oskarża Bernarda Arnault i jego grupę LVMH, że został przez nich pozbawiony akcji Hermesa wartych miliardy euro. Pozew wniesiony przez Puecha przeciwko Arnaultowi następuje ponad dekadę po tym, jak LVMH zaskoczył francuski establishment biznesowy, po cichu gromadząc 23 proc. udziałów w Hermesie, co zapoczątkowało jedną z najbardziej zaciętych batalii korporacyjnych w historii francuskiej giełdy.

Teraz Puech twierdzi, że jego akcje zmieniły właściciela bez jego wiedzy i w niejasnych okolicznościach. Nie wiadomo, kiedy ani za jaką cenę zostały sprzedane. Zarówno strona skarżąca, jak i pozwani odmawiają komentarza. Wiadomo, duże pieniądze lubią ciszę.

Pozew cywilny szacuje wartość 6 mln akcji Hermes należących niegdyś do Puecha na ok. 15 mld euro. Poszkodowany domaga się odszkodowania w wysokości 6 mln akcji Hermes od „każdego, kto zostanie uznany za winnego zarzutów karnych". Ale na razie oskarżonych i podejrzanych brak.

W centrum zarzutów znajduje się Eric Freymond, menedżer finansowy Puecha, którego szef oskarża o sprzeniewierzenie majątku. Freymondowi trudno będzie się bronić, gdyż zmarł w lipcu. Arnault oczywiście odrzuca oskarżenia i twierdzi, że nigdy nie nabywał tych akcji bez zgody właściciela.

Kłopoty miliarderów są podobne do kłopotów biedaków. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e



PIOTR KOWALCZUK

PIECZEŃ RZYMSKA

O agitce we włoskich szkołach

Tradycyjnie przed Bożym Narodzeniem przez włoskie szkoły przetoczyła się bitwa o szopki, jasełka, choinki i kolędy. Dla zideologizowanych pedagogów to symbole wstecznictwa i zabobonu. Są więc przeganiane ze szkół w ramach sekularyzacji lub/i w trosce o samopoczucie uczniów z rodzin islamskich. I to mimo że islamskim rodzicom te chrześcijańskie tradycje w ogóle nie wadzą. Ale postępowiec wie zawsze lepiej. Alternatywnie organizowane są uroczystości „świeckiego Bożego Narodzenia", co jest kretyństwem samym w sobie, tak w nazwie, jak w praktyce.

W jednej ze szkół podstawowych w Reggio Emilii, notabene pw. św. Jana Bosko, nauczycielka postępówka, reżyserując jasełka, zastąpiła pojawiające się dwukrotnie w kolędzie imię „Jezus" jakąś pustą głupotą do rymu. Z jasełek w innej szkole wynikało, że w Wigilię czekamy na kosmitę. Duże wrażenie zrobiła też szopka, w której pastuszków zastąpili migranci, a Trzech Królów propalestyńscy aktywiści w arafatkach.

Poza tym, choć nie w szkołach, znów pojawiły się „szopki bluźniercze". W jednej stanął św. Józef w wersji drag queen, a w innej Maria upozowana na prostytutkę. Ale Italia nie takie rzeczy widziała. We Florencji kilka dobrych lat temu na jednym z placów na ogromnej planszy wymalowano św. Józefa, który wyglądał jak przemawiający Lenin, a Maria przypominała Nadieżdę Krupską.

Niedawno pisałem wam o Francesce Albanese, sprawozdawczyni ONZ do spraw okupowanych terytoriów palestyńskich, która de facto jest ziejącą nienawiścią do Żydów propalestyńską agitatorką polityczną (ostatnio pośpiesznie wyszła ze studia TV podczas programu na żywo na wieść o tym, że za chwilę wejdzie senator Liliana Segre [95 lat], która przeżyła Auschwitz).

Postępowi włoscy nauczyciele, zapewne w ramach nauki o tolerancji, zaczęli zapraszać Albanese do szkół na spotkania z uczniami albo organizować webinary. Jak się okazało, kobieta tłumaczyła młodzieży, że atak Hamasu na Izraelczyków z 7 października 2023 r., w którym zginęło ponad 1,2 tys. osób, był wyłącznie aktem samoobrony, który należy usprawiedliwić. Co więcej, agitowała, by w ramach poparcia dla kwestii palestyńskiej młodzież rozpoczęła okupację szkół.

Minister edukacji Giuseppe Valditara wydał okólnik, w którym zakazał organizowania takich agitek. Nakazał, by w kwestiach kontrowersyjnych były to spotkania z ludźmi reprezentującymi różne poglądy i punkty widzenia.

Co na to pedagodzy i politycy lewicy? Podnieśli larum, że to zamordyzm i atak na wolność słowa. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Yankee go home?

Rozlega się płacz, że USA zostawiają Europę samą. Przyznam, że nie rozumiem. Przecież cała (zachodnia) Europa ziała i zionie nienawiścią do Ameryki. Jak rozwikłać tę niewątpliwą sprzeczność?

Zacznijmy od początku. Skąd to się wzięło? Ano – trzeba się przyjrzeć analogiom. Zachód przeszedł już apogeum antyamerykańskości. Było to w latach 60.–70. zeszłego wieku, a czyniono to pod pretekstem ruchu pod hasłem „better red than dead", czyli postulatu (dodajmy – jednostronnego) rozbrojenia atomowego, które było wyraźnie skierowane przeciwko Ameryce. Jako równowagę tej „wymiany" podstawiono zadeklarowaną w piosence Stinga nadzieję, że „Rosjanie też kochają swoje dzieci". Dla rozsądnych już wtedy, a dla olśnionych dopiero niedawno, ewidentnie widać było i jest, że te wszystkie ruchy pokojowe działały z inspiracji Moskwy, gdyż pacyfikowały wszelkie działania odpornościowe Europy i wypychały ze Starego Kontynentu jedyną rzeczywistą opokę – NATO. Przeszło to zresztą na aktualny do dziś opłakany stan europejskich militariów, a jest to stan wymarzony przez Rosję. A więc kto był i jest tu, z obecnymi efektami, ruską onucą?

Tak samo można oceniać, aktualne do dziś, europejskie postulaty „europeizacji Europy", czyli ideę wygonienia Amerykanów ze Starego Kontynentu – też marzenie Putinów. Jednocześnie to samobójstwo, gdyż Europa nie jest w ogóle przygotowana do dania samodzielnego odporu Moskwie. Ta samobójcza ideologia dziś została zweryfikowana przez Trumpa poprzez „sprawdzam". Tu jest jak z Matką Boską, która wielokrotnie napomina zatwardziałych grzeszników, by w końcu… spełnić ich zachcianki. To największa pokuta za nieodpowiedzialność. Chcieliście, to macie.

Jak to pogodzić z tym, że pomstowało się na Amerykę, jak w Europie była, i pomstuje się na nią, że nie zostaje? Pierwszy powód to orwellowskie dwójmyślenie: wytrenowany, jak widać szeroko, stan umysłu. Obok siebie mogą spoczywać bezkonfliktowo sprzeczne oceny tego samego faktu, ba – zmieniać się bez jakiejkolwiek refleksji poznawczej w ciągu dnia na nowe przekonania, sprzeczne z niedawno wyznawanymi dogmatami. Ale to tylko kwestia percepcyjna.

Drugi powód takiej sprzeczności to kwestia narracyjna. Po prostu władze Europy, a zwłaszcza Unii, tak bardzo narozrabiały, że muszą, dla odwrócenia uwagi od własnych błędów, znaleźć nie tyle kozła ofiarnego, ile uniwersalnego wroga. Uosobienie wszelkich naszych nieszczęść, jakby te spadły na nas z kosmosu zdrady dziejowej, nie były zaś wynikiem błędów wybrańców demokracji przedstawicielskiej. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Trudna sztuka podziękowań

Ciekawymi radami podzielił się z ukraińskim prezydentem Wołodymyrem Zełenskim były premier Polski, Leszek Miller. Jak wielu polskich polityków, których kariery należą już do przeszłości, nabrał on nagle ochoty na udzielanie publicznych pouczeń w kwestiach dobrych obyczajów i dyplomatycznej kurtuazji.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Wołodymyr Zełenski budzi swoimi manierami zrozumiałe kontrowersje. Sam Donald Trump stanowczo krytykował niedbały strój ukraińskiego przywódcy, zwłaszcza podczas dyplomatycznych spotkań. Wspominał też kilkakrotnie o jego „niewdzięczności". „»Przywództwo« Ukrainy wyraziło zerową wdzięczność za nasze wysiłki" – skarżył się jeszcze w listopadzie 2025 r., na portalu X, prezydent USA.

Ośmielony jego przykładem odezwał się Leszek Miller. „Ja bym sobie wyobrażał, że prezydent Zełenski wystąpi na tle kilku MiG-ów, które Polska ma przekazać, i serdecznie podziękuje Polsce. I za te MiG-i, i za te wcześniejsze, i za wszystko inne, co było przekazane […]. Przyjedź, stań na tle tych MiG-ów i podziękuj Polsce" – rozmarzył się w Polsacie były lider SLD.

W obliczu toczącej się na Ukrainie wojny polscy politycy i wojskowi rozstrzygnąć muszą pilnie, czy oddanie Ukrainie kolejnych samolotów myśliwskich nie osłabi bezpieczeństwa naszego kraju. Warto by również ustalić, komu zawdzięczamy to, że pomimo wieloletniego przekazywania Ukrainie wartej wiele miliardów dolarów pomocy wojskowej, transfer ukraińskich technologii dronowych do Polski wciąż pozostaje w sferze negocjacji i planów. Czy nie jest to, z punktu widzenia polskich interesów i bezpieczeństwa, rażące zaniedbanie?

W pochodzącym z roku 2023 artykule Sławomira Cenckiewicza pt. „Jak to z moskiewską pożyczką Millera było? Dolary przekazano kanałem KGB" znaleźć można pasjonujące szczegóły udziału Leszka Millera w przekazaniu i spłacie „moskiewskiej pożyczki". Działo się to w latach 1989–1990. Tak opisywał kulisy sprawy w roku 1990 ówczesny wiceprezydent ZSRS Giennadij Janajew: „Podczas mojej roboczej wizyty w Polsce (17–20 października 2025 r.) Rakowski i sekretarz generalny OKW SdRP L. Miller (w przeszłości członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR) poinformowali mnie w zaufaniu, że Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej jest w wyjątkowo trudnej sytuacji materialnej z powodu dyskryminacyjnych działań obecnych władz, które pozbawiły partię praktycznie całego majątku i źródeł dochodów. Z otrzymanego od nas kredytu pozostało ok. 700 tys. dol., 300 tys. wydano na założenie nowej gazety partyjnej »Trybuna«, 200 tys. – na wypłatę odpraw. Kierownictwo SdRP gotowe jest już teraz zwrócić KPZR 500 tys. dol., a pozostałe 200 tys. puścić w obieg, aby z tytułu otrzymanych dochodów wypłacić dług ratami. Uważamy za celowe wyjść naprzeciw polskim przyjaciołom".

Leszek Miller szybko o tej pomocy zapomniał. Śledztwo w sprawie „moskiewskiej pożyczki" zostało w następnych latach umorzone. Czy KGB ZSRS doczekało się ze strony Leszka Millera jakichkolwiek publicznych podziękowań, choćby i pozbawionych serdeczności? Stosy przekazywanych dolarów zostały wprawdzie sfotografowane przez Rosjan, jednak na zdjęciach tych Leszka Millera nie widać, nie mówiąc już o filmie z wyrazami wdzięczności. Kiedy 13 lat później w ambasadzie USA w Warszawie przekazano polskim oficerom wywiadu 15 mln dol. w gotówce, w zamian za zgodę na założenie w Polsce nielegalnych więzień i izb tortur CIA, ówczesny szef rządu polskiego, Leszek Miller, także nikomu podziękowań nie składał. Utrzymuje on do tej pory, że o żadnych pudłach z dolarami, przechodzących z rąk do rąk, nie wiedział.

Jest polską specyfiką, że osoby najbardziej „umoczone" w rozmaite brudne sprawki pozują w wieku podeszłym na „autorytety moralne", a przynajmniej nauczycieli dobrych manier. Rodzimy savoir-vivre raczej się dzięki temu nie poprawi. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Luna Brystigerowa jako pisarka

Pułkownik Luna Brystigerowa, wysoka funkcjonariuszka stalinowskiej bezpieki, symbol jej okrucieństwa, niebezpodstawnie nazywana krwawą, a nawet bestią, bo jeśli nawet sama nie biła i nie torturowała, to czarną robotę wykonywali podwładni jej resortu, odpowiadała zatem za stosowane przez nich metody. Uciekła z bezpieki, z tonącego okrętu w odwilżowym Październiku 1956 r., gdy postawiono przed sądem głównych sadystów bezpieki: Różańskiego, Fejgina, Romkowskiego, i nie mogła spać spokojnie. W wieku 54 lat odeszła więc na własną prośbę, dostała wysoką, resortową emeryturę, odprawę i zaczęła konstruować swój nowy wizerunek.
W odróżnieniu od większości ówczesnych bezpieczniaków po paru klasach była absolwentką lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza i paryskiej Sorbony, miała tytuł doktora filozofii, znała języki, sprawnie pisała.

Już w 1939 r. w zajętym przez bolszewików Lwowie publikowała w polskojęzycznych gadzinówkach: „Nowych Widnokręgach" i „Czerwonym Sztandarze", ulokowano ją zatem w wydawnictwie Nasza Księgarnia, a potem w PIW. Funkcja redaktorki nie zaspokajała jednak jej ambicji, postanowiła zaistnieć jako pisarka. Zamknęła się w swoim apartamencie przy Litewskiej, napisała powieść „Krzywe litery" o stosunkach między Polakami, Ukraińcami i Żydami na pograniczu wschodniej Galicji oraz dwa tomy opowiadań: „Znak H" i „Przez ucho igielne", słusznie dziś zapomniane, nieistniejące. „Znak H" np. to socrealistyczy produkcyjniak o ideowych komunistach. Bohaterami opowiadania „Śmierć prowokatora" są członkowie młodzieżówki lwowskiej partii komunistycznej, likwidujący „prowoka", który wydał trzech wspaniałych warszawskich towarzyszy: Kniewskiego, Rutkowskiego i Hibnera. Bohaterką „Gwirydona" – komunistka Blumka, która popełniła samobójstwo po rozwiązaniu KPP.

Iwona Kienzler, autorka książki „Krwawa Luna i inni", popełniła duży błąd albo też świadomie przedstawiała Lunę jako ofiarę, pisząc, że w obawie o swoją reputację, Czytelnik nie wydał jej „Krzywych liter", choć, co potwierdza Wikipedia, wyszły w 1960 r., opowiadania w 1962 i 1965. Opublikowała je pod swoim panieńskim nazwiskiem Julia Prajs. Antoni Słonimski wyzłośliwiał się zatem, że w angielskim inaczej się pisze, inaczej czyta – prize, czytaj prajs, to nagroda, a u nas? Pisze się Prajs, a czyta Brystigerowa. W jej książkach brakowało nazwisk redaktorów, którzy je przygotowywali, a na okładkach zachęcały do lektury postaci najczarniejsze: Kazimierz Koźniewski (TW „33") i sędziwa towarzyszka Jadwiga Siekierska. A w swoich wspomnieniach milczeli o nich redaktorzy Czytelnika: Irena Szymańska, Ryszard Matuszewski, Maria Iwaszkiewiczowa.

Choć to właśnie Brystigerowa odpowiadała za rozpracowywanie Kościoła i pisarzy, próbowała po cichu wślizgnąć się do Związku Literatów, popierana przez organizację partyjną i Putramenta, nie dopuścił jednak do tego, nagłaśniając sprawę, kładąc się Rejtanem, prezes oddziału warszawskiego, AK-owiec, Lesław Bartelski. Urażona, przerzuciła się wtedy na Kościół, zaczęła jeździć do podwarszawskich Lasek, do Zakładu dla Niewidomych prowadzonego przez ss. franciszkanki, do swojej znajomej jeszcze z lwowskiego Uniwersytetu, zakonnicy Bonifacji Goldman, a także na inicjowane przez ks. Antoniego Marylskiego intelektualne dyskusje, na które zapraszał również lewicujących twórców, m.in. Leszka Kołakowskiego, Jana Strzeleckiego. Choć była tam tylko kilka razy, jej hagiografowie i wybielacze, jak reżyser „Zaćmy", filmu o Lunie, Ryszard Bugajski, uznali to za szukanie przez nią drogi do Boga, nawrócenia na katolicyzm. Nie ma jednak na to najmniejszych dowodów – świadectwa chrztu ani też jej zapisków, listów, w których by o tym wspominała, żałowała swojej działalności, przepraszała swoje ofiary. Inwigilujący ją za kontakty z rewizjonistami agenci donosili, że krytycznie wyraża się o Kościele, zakonach, papieżu. Do końca była w partii. Pogrzeb miała świecki, bez księdza, a na jej grobie na wojskowych Powązkach brak religijnych symboli – krzyża i słów: „świętej pamięci", a zadbałaby o to, gdyby faktycznie się nawróciła. Odeszła jako ideowa komunistka. Jej grób należy do najczęściej dewastowanmych, oblewanych czerwoną farbą. Jak mówił Kisiel, „metod nie pochwalam, ale wybór – dobry". ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

BOMBKI



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy mój ojciec był małym chłopcem, dostał na święta wiatrówkę. Był najstarszy i miał młodszych braci. Oni dostali prezenty normalnie – od Świętego Mikołaja, który podłożył paczki dyskretnie – a wiatrówka była jedynym prezentem, który przyniósł ktoś inny, w dodatku na oczach wszystkich zgromadzonych przy stole wigilijnym.

Mój dziadek wręczył memu ojcu wiatrówkę oraz puszkę śrutu i powiedział: „Mikołaj miał dla Ciebie tylko rózgi i sam wiesz czemu. Rózgi wrzuciłem do pieca. Mikołajowi nic nie mów, bo wtedy ja dostanę rózgi. Masz tu wiatrówkę i naucz się strzelać. Przyda ci się lub nie, ale masz umieć strzelać. Zrozumiano? Na początek będziesz zabijał szczury w piwnicy. Tylko nie potłucz słoików z kompotem".

Młodsi bracia natychmiast znienawidzili mego ojca, bo on BĘDZIE STRZELAŁ, a oni nie. Zaplanowali więc, że potłuką kilka słoików z kompotem, wina spadnie na mego ojca i wiatrówka zostanie skonfiskowana.

Ojciec poradził sobie z tym spiskiem jeszcze tej samej nocy. Gdy wszyscy dorośli poszli na pasterkę, obudził braci i zaproponował wspólne strzelanie. Wstali z łóżek, wzięli wiatrówkę i celowali ze śrutu w bombki na choince. Szło im tak sobie. Trafili tylko kilka. Pozamiatali szkło. Potem przewiesili pozostałe bombki, tak aby zamaskować ubytki, i poszli spać. W kolejne dni trenowali w ten sam sposób. Bombki znikały, przewieszali inne z tyłu choinki na przód… Dopiero gdy moja babcia zabrała się za porządki po świętach, odkryła, że w ścianie za choinką jest masa dziur. Wtedy sama poszła po nowe rózgi.

***

Pierwsze kontakty mego ojca z ubecją to był tamten okres – kilka lat po wojnie. Szybka szkoła dorosłego życia. Są święta, dom pachnie ciastem i choinką, walenie do drzwi, wchodzi czterech smutnych panów, dziadek wyskakuje z sypialni na drugim końcu korytarza, trzyma w ręku strzelbę na kaczki, krzyczy, żeby chłopcy schowali się pod łóżka, i strzela w tyłek ostatniemu ubekowi, który nie zdążył wybiec za drzwi. Całe miasteczko śmiało się potem z tej sceny: „Cejrowski rozwalił ubekowi dupę". Chłopcom, w domu pachnącym ciastem i choinką, nie było do śmiechu. Trzęśli się ze strachu. Dom pachniał teraz prochem, a oni wynosili broń porozkręcaną na kawałki, aby ukryć ją u zaufanych sąsiadów. W jedną noc nauczyli się konstrukcji dorosłej broni. Teraz umieli rozkładać ją na małe kawałki, które da się zmieścić do szkolnego tornistra. Ubecy wrócili i zabrali dziadka. Chłopcy nie wiedzieli, czy wróci. Ćwiczyli pilnie – schodzili do piwnicy zabijać szczury. Bo tak trzeba. Bo musisz umieć strzelać, aby się bronić.

***

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem roku 2025 umówiłem się na spotkanie z kumplem, który jest profesorem na Uniwersytecie Brown w USA. Ustaliliśmy dzień spotkania, a potem z mediów usłyszałem, że „uzbrojony napastnik wtargnął na teren uniwersytetu Brown i otworzył ogień. Zginęło dwoje studentów, a dziewięć osób trafiło do szpitala".

Dwoje studentów i dziewięć osób, czyli wśród tych dziewięciu osób może jest mój kumpel. Na szczęście odezwał się szybko i napisał tak: „Powoli dochodzę do siebie po strzelaninie. Szaleniec zabił dwoje naszych studentów tuż obok mojego biura. Po tych wydarzeniach, które miały miejsce nie »gdzieś tam«, ale u mnie w pracy, chyba przewartościowałem swoje poglądy dotyczące uzbrojenia. Będę się Ciebie radził w sprawie armaty, działa, bazuki. Mieszkając na Południu, masz pewnie taki sprzęt. Chyba wreszcie kupię coś takiego, wbrew zasadom. Z rąk obłąkanego ginąć jakoś nie wypada, niesmacznie".

***

Zacznijmy od wspomnianych ZASAD. Cóż to za zasady, które powodują, że ludzie nie chcą posiadać broni? Nie słyszałem ani uzasadnień moralnych, ani logicznych. Chodzi o to, że pewne środowiska czegoś nie robią, bo inne środowiska to robią. W Polsce osoby, które siebie uważają za nowoczesne i wykształcone, nie głosują na Braunów ani na PiS, nie słuchają Radia Maryja, chcą swobodnego dostępu do aborcji i całkowitego zakazu posiadania broni. Nie chodzi o logikę, lecz o to, co wypada, a czego nie wypada. W USA jest podobnie – ludzie postępowi i nowocześni uważają, że posiadacze broni to prymitywy, świry lub faszyści, a kulturalny człowiek broni nie chce, bo jej nie potrzebuje i bronią się brzydzi.

Odpisałem kumplowi, że oczywiście mu doradzę, ponieważ mieszkając w USA blisko granicy, która przez wiele lat była nieszczelna, jestem uzbrojony po zęby i nie dla ozdoby, lecz z powodu realnych zagrożeń. W Polsce też jestem uzbrojony, co wcale nie było łatwe do załatwienia. Dodatkowo moja ekipa filmowa „Boso przez świat" została przeszkolona ze strzelania przez pułkownika GROM-u. W jakim celu? W Afryce bywa różnie. Gdy wybuchnie strzelanina, chcesz umieć obsłużyć kałacha, a nie tylko kryć się pod łóżkiem. Broń to narzędzie – tak samo jak piła spalinowa. Trzeba się nauczyć, jak działa, i wtedy człowiek nie boi się wziąć tego do ręki. Nieumiejętna obsługa prowadzi do wypadków. Dlatego warto się nauczyć, jak działa pilarka, jak działa kałach – po to, by w razie potrzeby zastosować i nie zrobić sobie krzywdy. To człowiek zabija, nie broń.

***

Mój ojciec nauczył się strzelać jako dziecko. Nigdy nie musiał z tej umiejętności korzystać, ale umiał. Tak jak z pływaniem – masz umieć i tyle. To kwestia bezpieczeństwa twojego i innych. Liczba nielegalnych sztuk broni wzrosła w Polsce kolosalnie. Import z Ukrainy. Zawsze, gdy gdzieś jest wojna, to dookoła tej wojny pojawiają się wycieki broni. Choćby z tego powodu dobrym postanowieniem noworocznym, które Państwu doradzam, jest: Nauczę się strzelać. ©℗

eprasa.pl 2049cc1e0e

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2049cc1e0e

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026



A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION

15–17 FEBRUARY 2026 · KRAKÓW

15–17 lutego 2026 · Kraków | 2026. február 15–17 · Krakk

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl 2049cc1e0e